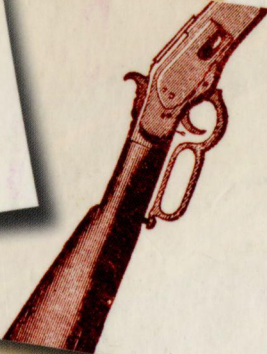


  
SALAMANDKA

ELIZABETH GILBERT

autorka  
„Jedź, módl się, kochaj”



IMIONA  
KWIAŁÓW  
I DZIEWCZĄT

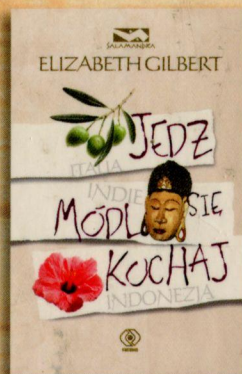
  
REBIS

**empik** poleca



Elizabeth Gilbert  
jest autorką  
opublikowanej  
przez Rebis  
Bestsellerowej  
książki

*Jedź, módl się, kochaj.*



Pracowała jako dziennikarka „GQ“, jej artykuły uzyskały trzy nominacje do National Magazine Award. Napisała też powieści *Stern Men* i *The Last American Man*.

Bohaterami *Imion kwiatów i dziewcząt* są zapadające w pamięć postaci: dziewczyna, która prowokuje kowboja, by uciekł z nią w Góry Skaliste; umierająca staruszka, która z zadowoleniem wspomina swoje rozwiązłe życie; twarda kobieta, która nie boi się życia w amerykańskiej głuszy, i inni - ludzie z krwi i kości, silni, szukający miłości i bez strachu oddający się pasji. I choć zdarza im się dokonywać złych wyborów, postępować głupio i działać na oślep, to jednak walczą o swoje związki z innymi i mają w sobie wiele odwagi.

Te barwne, napisane z dużym humorem, ale i powagą opowiadania nagrodzono Pushcart Prize i nominowano do PEN/Hemingway Award.

Patroni medialni:



INTERIA.PL

PANI



ISBN 978-83-7510-244-4



9 788375 102444

ELIZABETH  
GILBERT

IMIONA  
KWIATÓW  
I DZIEWCZĄT

Przekład:

MARTA JABŁOŃSKA-MAJCHRZAK

KATARZYNA KARŁOWSKA

DOM WYDAWNICZY REBIS



Gdy kwiecień deszczu rześystym strumieniem  
Marcową suszę zmoczy do korzeni  
I skąpie żyłę ziemi w takim płynie,  
Który kwitnienia moc daje roślinie;  
Gdy Zefir ciepłym oddechem owionie  
Wiotkie łodygi na polach i błoniach,  
A młode słońce na tarczy Zodiaku,  
Zbiegnie pół drogi spod Barana znaku  
I poczną śpiewać maleńkie ptaszęta,  
Których źrenica we śnie nie zamknięta,  
Bo w nich tęsknotę budzi przyrodzenie,  
Wtedy i ludzi ogarnia pragnienie  
Zbożnej pielgrzymki (...)\*

\* Geoffrey Chaucer, *Opowieści kanterberyjskie*, Wybór, przeł.  
H. Pręczkowska, Ossolineum 1963.

## Pielgrzymi

**K**iedy mój ojciec powiedział, że ją zatrudnił, byłem zdziwiony:

- Dziewczynę?

Do tej pory kobiety nie mogły pracować na tym ranchu, nawet jako kucharki, bo kowboje za bardzo się o nie strzelali. Strzelali się nawet o brzydkie kucharki. Nawet o te stare.

- Dziewczynę? - powtórzyłem.

- Jest z Pensylwanii - powiedział mój stary. - Będzie w tym dobra.

- Jest z czego?

Kiedy mój brat Crosby się o tym dowiedział, oświadczył:

- Jeśli dziewczyna ma robić to, co ja, czas, żebym sobie znalazł coś nowego.

Stary popatrzył na niego.

- Mówili mi, że w tym sezonie za każdym razem przechodziłeś przez Kocioł, śpiąc na końskim grzbiecie albo czytając jakąś cholerną książkę. Może rzeczywiście już czas, żebyś sobie znalazł inne zajęcie.

Powiedział nam, że przyjechała z tej Pensylwanii najgorszym gównianym rżęchem, jakiego w życiu widział.

Szukała roboty i obiecała, że zajmie mu tylko pięć minut, ale to nie trwało nawet tyle. Napięła biceps, żeby pomacał, ale nie pomacał. Spodobała mu się, powiedział, od razu. W tych sprawach, po tylu latach, ufa swojemu oku, oświadczył.

— Wam też się spodoba — zapewnił nas. — Jest seksowna, tak jak koń jest seksowny. Miła i duża. Silna.

— Masz osiemdziesiąt pięć własnych koni do wykarmienia i wciąż uważasz, że koń jest seksowny - powiedziałem, a mój brat Crosby dorzucił:

— Wydaje mi się, że takiej seksowności mamy tu w bród.

Nazywała się Martha Knox, miała dziewiętnaście lat i była mojego wzrostu. Nogi miała grube, ale nie tłuste, a dopiero co kupione kowbojki wyglądały na najtańsze, jakie udało jej się znaleźć, i na pewno pierwszy raz w życiu nosiła takie buty. Jej wydatna broda współgrała z czołem i nosem, a zęby miała z rodzaju tych, co to zajmują większość twarzy nawet wtedy, kiedy usta są zamknięte. Przede wszystkim jednak miała ciemnobrązowy warkocz, który sięgał do połowy pleców i był gruby jak dziewczęce ramię.

Na początku tego sezonu tańczyłem któregoś wieczoru z Marthą Knox. Mieliśmy dzień wolny, kiedy to można zjechać z góry, upić się, potelefonować tu i ówdzie, zrobić przepierkę, wziąć udział w bójce. Martha nie miała zwyczaju tańczyć i nie zamierzała tego robić. Powtórzyła mi to kilka razy, a kiedy się wreszcie zgodziła, nie odłożyła nawet papierosa. Trzymała go cały czas w opuszczonej ręce. No to ja nie odstawiłem swojej butelki piwa, żeby nie być gorszym, i obejmowaliśmy się nawzajem jedną ręką. Nie umiała tańczyć i nie miała na to ochoty, ale

i tak odnaleźliśmy wspólny powolny rytm, każde z jedną opuszczoną ręką, jak kowboje na rodeo, którym prawe ramię zwisa luźno. Spoglądała wyłącznie ponad moim lewym ramieniem, jakby ta jej połowa, całkiem dobrze radząca sobie w tańcu, była jakąś jej częścią, której jeszcze nie poznała i wcale nie miała zamiaru poznawać.

Mój stary powiedział o niej jeszcze jedno:

- Nie jest piękna, ale wie, jak dobrze sprzedać to, co ma.

Cóż, to prawda, że miałem ochotę potrzymać ten jej warkocz. Miałem na to ochotę od pierwszej chwili, kiedy go zobaczyłem, a już szczególnie podczas tańca, ale nie sięgnąłem po niego i nie odstawiłem swojej butelki z piwem. Martha Knox niczego nie sprzedawała.

Nie zatańczyliśmy drugi raz tego wieczoru, w ogóle już ze sobą nie tańczyliśmy, ponieważ był to długi sezon i stary za ostro nas gonił do roboty. Nie było już całych wolnych dni na tańce i bójki. A kiedy czasami zdarzyło nam się wolne popołudnie w środku męczącego tygodnia, szliśmy do baraku spać; spaliśmy twardym snem ludzi śmiertelnie wyczerpanych, na swoich pryczach, w butach, jak strażacy albo żołnierze.

Martha Knox spytała mnie o rodeo.

- Crosby mówi, że to najlepszy sposób, żeby dać się ukatrupić - oświadczyła.

- Najlepszy, jaki znam.

Siedzieliśmy naprzeciwko siebie po dwóch stronach ogniska z płonącą sośniną, tylko my dwoje, zdrowo popijając. W namiocie za jej plecami było pięciu myśliwych z Chicago, spali albo odpoczywali, wściekli na mnie, że nie wystawiłem im na pewny strzał żadnego z łosi, któreśmy widzieli tego tygodnia. W namiocie za mną

była kuchnia i prowiant oraz dwa piankowe materace ze śpiworami dla nas dwojga; ona dodatkowo przykrywała się derkami. Oboje spaliśmy na dzinsach, które mieliśmy włożyć nazajutrz, żeby nam nie zeszywniały od zimna. Była połowa października, ostatnie polowanie sezonu, i każdego ranka, kiedy siodłaliśmy konie, z ich pysków zwisały długie igły lodu.

- Jesteś pijana? - spytałem.

- Coś ci powiem - odparła. - To cholernie dobre pytanie.

Przyglądała się swoim dłoniom. Były czyste, oczywiście pokaleczone i ze śladami oparzeń, ale czyste.

- Jeździłeś na rodeo, zgadza się?

- O jeden raz za dużo - odparłem.

- Byki?

- Nieujeżdżone konie.

- Dlatego nazywają cię Bryk?

- Nazwali mnie Bryk, bo dużo brykałem, kiedy byłem mały.

- Przygniótł cię kiedyś koń na rodeo?

- Któraś wieczór wsiadłem na tego dzikusa i od razu wiedziałem, jeszcze w przejściu, przed otwarciem bramy, że ten to mnie strawi na swoim grzbiecie. Chciał, żebym zniknął, zginął, za to, co próbuję zrobić. Nigdy się tak nie bałem, siedząc na koniu, jak na tym sukinkocie.

- Myślisz, że on to wiedział?

- Wiedział? Skąd niby miał wiedzieć?

- Crosby mówi, że pierwszym zadaniem konia jest odkryć, kto na nim jedzie i kto kim rządzi.

- To odzywka mojego starego. Mówi tak, żeby przestraszyć kolesi. Jakby konie były takie mądre, to one by nas ujeżdżały.



- To odzywka Crosby'ego.  
- Nie. - Pociągnąłem z butelki. - To też odzywka  
mojego starego.

- Więc cię zrzucił.

- Tak, ale nadgarstek zaplątał mi się w uprząż i sukinkot włożył mnie trzy razy wokół areny pod swoim brzuchem. Tłum był zachwycony. Koń był zachwycony. Niemal rok przeleżałem w szpitalu.

- Mogę? - Sięgnęła po butelkę. - Chcę ujeżdżać właśnie te dzikie - oświadczyła. - Chcę jeździć na rodeo.

- Właśnie o to mi chodziło - powiedziałem. - Chciałem cię do tego namówić, opowiadając tę historyjkę.

- Czy twój tato był wściekły?

Na to nie odpowiedziałem. Wstałem i podszedłem do drzewa, na którego gałęziach wisiał cały nasz ekwipunek, tak jak wieszka się jedzenie dla ochrony przed niedźwiedziami. Rozpiąłem rozporek i powiedziałem:

- Zasłoń oczy, Martho Knox. Zamierzam spuścić ze smyczy największego zwierza Gór Skalistych Wyomingu.

Milczała, kiedy sikałem, ale gdy wróciłem do ogniska, oznajmiła:

- To odzywka Crosby'ego.

Wyciągnąłem z kieszeni puszczkę z tytoniem.

- Nie, to też jest odzywka mojego starego.

Postukałem puszczką o udo, żeby ubić tytoń do żucia, po czym wyjąłem odrobinę. To była moja ostatnia puszczką, prawie już pusta.

- Mój stary kupił tamtego konia - powiedziałem. - Odnalazł właściciela i dał mu dwa razy tyle, ile drań był wart. Zaprowadził go do baraku kucharza i strzelił mu w łeb, a potem pogrzebał w kupie kompostu.

- Żartujesz - nie kryła zaskoczenia.

- Nie zaczynaj przy nim tego tematu - poradziłem

- Jasne że nie. Za cholere.

- Odwiedzał mnie w szpitalu codziennie. Nawet żeśmy nie rozmawiali, był tak cholernie przybity. Tylko palił. Przytykał niedopałkami nad moją głowę - lądowały w muszli klozetowej i gasły z sykiem. Na kilka miesięcy unieruchomili mi szyję w kołnierzu ortopedycznym, tak że nawet nie mogłem odwrócić głowy, żeby na niego spojrzeć. Cholerna nuda. Właściwie żyłem chyba tylko po to, żeby oglądać, jak te pety fruują nad moją twarzą do kibla.

- To rzeczywiście nuda - przyznała.

- Czasami pojawiał się też mój brat Crosby, ze zdjęciami dziewcząt.

- Jasne.

- Cóż, na nie też dobrze było sobie popatrzeć.

- Jasne. Fruwające pety i podfruwajki.

Napiła się. Wziąłem butelkę, oddałem, ona jeszcze pociągnęła. Wokół leżał śnieg. Kiedy tu przyjechaliśmy, padał grad, a potem prawie każdej nocy śnieg. Popołudniami wielkie białe łaty na łące kurczyły się do małych kopczyków, przypominających stopy prania, konie je rozdeptywały. Trawy już prawie nie było i nocami konie zaczynały się oddalać w poszukiwaniu lepszej paszy. Powiesiliśmy im na szyjach krowie dzwonki i kiedy się pały, dzwoniły głośno i monotonnie. Nawet nieźle to brzmiało. Przyzwyczaiałem się do tego dźwięku na tyle, że zauważałem go, dopiero gdy milkł. Cisza oznaczała, że konie sobie poszły, i potrafiła mnie obudzić w środku nocy. Wtedy musieliśmy ruszać za końmi, tyle że ja na ogół wiedziałem, gdzie poszły. Martha Knox też starała się to odszyfrować i wcale nie narzekała, że musi się ubierać w środku nocy

i w tym zimnie, i w ciemnościach nasłuchiwać dzwonek. Lubiała to. Rozumiała.

- Wiesz, co ci powiem o twoim bracie Crosby? - spytała. - On rzeczywiście jest przekonany, że wie, jak postępować z dziewczętami.

Milczałem, więc mówiła dalej:

- A niby jak to możliwe, Bryk, skoro wokół nie ma żadnych dziewcząt?

- Crosby zna dziewczyny - odparłem. - Mieszkał w miastach.

- Jakich miastach? W Casper? Cheyenne?

- W Denver. Crosby mieszkał w Denver.

- W porządku, niech będzie Denver.

- No cóż, w Denver znajdują się jedna czy dwie dziewczyny.

- Jasne. - Ziewnęła.

- Więc w Denver mógł się nauczyć, jak postępować z dziewczynami.

- Rozumiem, Bryk.

- Dziewczyny przepadają za Crosby.

- Na pewno.

- Naprawdę. Którejś zimy pojedziemy z Crosby na Florydę i rozbijemy wszystkie małżeństwa, jakie się da. Tam jest mnóstwo bogatych kobiet. Mnóstwo bogatych, znudzonych kobiet.

- Musiałyby być nieźle znudzone - powiedziała Martha Knox i wybuchnęła śmiechem. - Musiałyby być śmiertelnie znudzone.

- Nie lubisz mojego brata Crosby'ego?

- Uwielbiam twojego brata Crosby'ego. Czemu miałabym go nie lubić? Uważam, że Crosby jest najwspanialszy.

- Brawo.  
- Ale uważa, że wie, jak postępować z dziewczętami, i to jest upierdliwe.

- Dziewczyny przepadają za Crosbym.

- Kiedyś pokazałam mu zdjęcie swojej siostry. Powiedział mi, że wygląda, jakby zadawała się z samymi kiepskimi fiutami. Jak można coś takiego powiedzieć?

- Masz siostrę?

- Agnes. Pracuje w Missouli.

- Na ranczu?

- Nie na ranczu, nie. Jest striptizerką. Nienawidzi tego, bo to miasto studentów. Mówi, że ci chłopcy z college'ów nie dają napiwków, nieważne, co im się podtyka pod nos.

- Zabawiałaś się kiedyś z moim bratem Crosbym? - spytałem.

- Hej, Bryk - odparła. - Nie bądź taki nieśmiały. Pytaj, o co tylko chcesz.

- O cholera. Nieważne.

- Wiesz, jak mnie nazywali w szkole średniej? Fort Knox. A wiesz dlaczego? Bo nie wpuszczałam nikogo...

- Czemu nie?

- Czemu nie? - Pogrzebała gałązką w ognisku, potem wrzuciła ją w ogień. Zdjęła dzbanek z kawą znad płomieni i popukała w ściankę łyżką, żeby fusy opadły. - Czemu nie? Bo nie uważałam tego za dobry pomysł.

- Niesamowity przydomek.

- Bryk jest lepszy.

- Ale już zajęty.

Martha Knox wstała i weszła do namiotu, a po chwili wyłoniła się z całym naręczem drew.

- Co ty wyprawiasz? — spytałem.

- Ogień już prawie zgasł.

- Niech gaśnie. Późno już.

Nic mi nie odpowiedziała.

- Muszę wstać o wpół do czwartej - oświadczyłem.

- No to dobranoc.

- Ty też musisz wstać.

Martha Knox położyła na ogniu kawałek drewna i usiadła.

- Bryk - odezwała się - nie bądź dzidziusiem. - Po-ciągnęła ostro z butelki. - Mamó, nie pozwól swoim kowbojom wyrosnąć na dzidziusie... - zaśpiewała.

- To odzywka Crosby'ego.

- Chcę cię o coś prosić, Bryk. Kiedy tutaj skończymy, pozwól mi pojechać na polowanie z tobą i z Crosby'm.

- Nie sądzę, żeby mój stary był tym zachwycony.

- Nie mówiłam, że chcę jechać z twoim starym.

- To mu się nie spodoba.

- Dlaczego?

- Strzelałaś kiedyś?

- Jasne. Kiedy byłam mała, rodzice wysłali mnie na lato do Montany, do wujka. Po kilku tygodniach zadzwoniłam do nich i powiedziałam: „Wujek Earl ustawił puszkę po kawie na kłodzie i pozwolił mi do niej strzelać, i trafiłam w to cholerstwo sześć razy”. - Kazali mi zaraz wracać do domu. Nie spodobało im się to, co usłyszeli.

- Teraz twój stary też chyba nie byłby zachwycony tym pomysłem.

- Nie musimy się przejmować moim ojcem - odparła. - Już nie.

- Naprawdę?

Zdjęła kapelusz i ułożyła go sobie na udzie. To był stary kapelusz. Należał kiedyś do mojego kuzyna, Richa. Mój

stary podarował go Marcie Knox. Któregoś ranka nadał mu nowy kształt, wyginając go nad parą z dzbanka do kawy, zrobił mu w główce eleganckie zagłębienie. Kapelusz pasował jak ulał. Był dla niej idealny.

- A teraz posłuchaj, Bryk - powiedziała. - To dobra historia i ci się spodoba. Mój tata założył sobie plantację choinek. Nie za wielką, dokładnie pięćdziesiąt drzewek, i pozwolił im rosnąć przez dziesięć lat. Na placu przed domem. Przez cały czas je przycinał kuchennymi nożycami, więc były śliczne, ale tylko takiej wysokości. - Uniosła rękę na jakieś trzy stopy nad ziemią. - Kłopot w tym, że mieszkaliśmy na wsi. Wszyscy mieli las za domem. Tam nikt nigdy nie kupował choinek. Tak że nie był to dobry interes, te pięćdziesiąt idealnych drzewek. To nie mogło przynieść pieniędzy. Ale on się tym zajmował, a moja mama pracowała. - Włożyła kapelusz z powrotem na głowę. - No cóż. Zeszłego grudnia rozpoczął działalność handlową, ale nikt się nie zjawił i wtedy pomyślał, że to dość dziwne, bo były to przecież takie ładne drzewka. Poszedł się upić. Ściążyliśmy z siostrą chyba ze dwadzieścia tych pieprzonych drapaków. Wrzuciłyśmy je do kombi. Jechałyśmy godzinę do autostrady, gdzie zaczęłyśmy wymachiwać do przejeżdżających i rozdawać im te choinki. Każdy, kto się zatrzymywał, dostawał drzewko gratis. To było jak... A co tam, niech to szlag. Było jak Boże Narodzenie.

Martha Knox znalazła w kieszeni kurtki papierosa i zapaliła go.

- No tak - mówiła dalej. - Wracamy do domu. Tam już czeka tata. Przewraca na ziemię Agnes, bierze rozmach i wali mnie pięścią w twarz.

- Uderzył cię kiedyś przedtem? - spytałem, a ona pokręciła głową.

- I już nigdy nie uderzy.

Spoglądała na mnie, chłodno i spokojnie. Patrzyłem, jak ona pali sobie papierosa dwa tysiące mil od domu, i myślałem o tym, jak sześć razy trafia w tę cholerną puszkę po kawie, i długo milczeliśmy oboje, a potem się odezwałem:

- Chyba go nie zabiłaś, co?

Nie odwróciła głowy i nie od razu odpowiedziała.

- Taa. Zabiłam go.

- Jezu Chryste - powiedziałem na to. - Jezu cholera jasna Chryste.

Podawała mi butelkę, ale jej nie wziąłem. Wstała, podeszła do mnie i usiadła obok. Położyła mi rękę na kolanie.

- Jezu Chryste - powtórzyłem. - Jezu cholera jasna Chryste.

Westchnęła.

- Bryk - powiedziała. - Złotko. - Poklepała mnie po nodze, a potem szturchnęła łokciem. - Jesteś najbardziej łatwowiernym facetem na ziemi, jakiego znam.

- Pieprz się!

- Zastrzeliłam mojego tatę i zakopałam w kupie kompostu. Tylko nie mów nikomu, dobrze?

- Pieprz się, Martho Knox!

Wstała i przeniosła się z powrotem na drugą stronę ogniska.

- Ale i tak był to wspianiały wieczór. Leżałam sobie na plecach, na podjeździe, z krwawiącym nosem. Wiedziałam, że już wkrótce mnie tam nie będzie.

Wyciągnęła butelkę i tym razem ją przyjąłem. Milczeliśmy długo, ale butelkę wykończyliśmy, a kiedy ognisko przygasło, Martha dołożyła do ognia. Trzymałem stopy tak blisko płomieni, że podeszwy butów zaczęły dymić,

więc się cofnąłem, ale niewiele. W październiku, tam w górze, rzadko jest człowiekowi ciepło, nie miałem więc ochoty za szybko rezygnować z bliskości takiego żaru.

Z łąki dochodził dźwięk dzwonek. Konie się poruszały, ale nie oddalały; takie dzwonienie oznaczało, że się pasą - to było dobre dzwonienie. Mógłbym zawołać po imieniu każdego konia i odgadnąć, który stoi obok którego, bo wiedziałem, jakie pary lubią tworzyć, i mógłbym powiedzieć, jak się jeździ na każdym z tych koni, a jak na koniach, które były ich rodzicami. Były tam wapiti, ale one schodziły już niżej, na bogatszą łąkę, tam, gdzie i konie najchętniej by się przeniosły. Owce gruborogie, niedźwiedzie i łosie też tam były i też wędrowały coraz niżej. Nasłuchiwałem ich wszystkich. Noc była pogodna. Jedyne obłoczki unosiły się wokół naszych ust i znikwały przy kolejnym wdechu. Księżyc był niemal w pełni i rozjaśniał mrok.

- Słuchaj - odezwałem się. - Myślałem, żeby wybrać się na przejażdżkę.

- Teraz? - spytała, a ja skinąłem głową, chociaż ona już wcześniej wiedziała, że tak, teraz. Jeszcze zanim spytała, już mi się przyglądała i zastanawiała, głównie nad tą wielką zasadą mojego starego, która brzmiała tak: Żadnych przejażdżek dla przyjemności podczas pracy, nigdy. Żadnej jazdy dla zabawy, żadnej nocnej jazdy, żadnej brawurowej jazdy, żadnej głupiej jazdy, żadnej ryzykownej jazdy, nigdy, a już w żadnym razie podczas obozowania w sezonie myśliwskim. Jeszcze zanim zapytała „Teraz?“, pomyślała o tym i jeszcze o tym, że jesteśmy zmęczeni i pijani. W namiocie za nią spali myśliwi i o tym też pomyślała. I ja też pomyślałem o tym wszystkim.

- Dobrze - powiedziała.

- Słuchaj... - nachyliłem się w stronę ogniska, które



było między nami - myślałem, żeby dziś w nocy pojechać w górę Przełęczą Washakee.

Przyglądałem się jej uważnie. Zdawałem sobie sprawę, że nigdy wcześniej nie pojechała tak daleko, ale wiedziała, co to takiego, ponieważ w promieniu wielu mil Przełęcz Washakee była jedyną drogą, która prowadziła na drugą stronę Wododziału Kontynentalnego, w sam środek Gór Skalistych. Mój brat Crosby nazywał ją Kręgosłupem. Była wąska i oblodzona i wznosiła się na wysokość trzynastu tysięcy stóp, ale przechodziła na drugą stronę i sięgała wnętrza gór, a Martha Knox nigdy nie dotarła tak daleko.

- Dobrze - powtórzyła. - Jedźmy.

- Wiesz, pomyślałem, żeby się tam nie zatrzymywać.

Nie przestawała mi się przyglądać z tym samym wyrazem twarzy dobrego myśliwego, szukającego dobrego celu. Wtedy jej powiedziałem.

- Każde z nas weźmie po jednym jucznym koniu i tyle prowiantu i sprzętu, ile da radę udźwignąć. Ja pojedę na Stetsonie, ty na Jake'u i już nie wrócimy.

- Ja pojedę na Prędkim.

- Tylko nie na tym kropkowanym skurwielu.

- Pojedę na Prędkim - powtórzyła, a ja całkiem zapomniałem, że przecież wymusiła na moim starym, by jej sprzedał tego szalonego wierzchowca.

- Dobra. Tylko on się zupełnie do tego nie nadaje.

- A co z myśliwymi?

- Nic im nie będzie, jeśli nie spanikują.

- Spanikują.

- Nic im nie będzie.

- Wyobraź ich sobie jako grupę pielgrzymów, Bryk - powiedziała. - Ci faceci nigdy nie wyszli nawet do ogródka za domem.

- Jeśli mają odrobinę rozumu, to wyruszą jutro, jak tylko się kapną, że zniknęliśmy na dobre. Szlak jest oznaczony jak jakaś cholerna autostrada. Nic im nie będzie. Dotrą do rancza najwcześniej jutro wieczorem, późnym wieczorem. Służba leśna może ruszyć za nami najwcześniej pojutrze. Jak pojedziemy równo, to wtedy będziemy już dziewięćdziesiąt mil na południe.

- Powiedz mi, że mówisz poważnie - rzuciła Martha Knox. - Bo jestem na to gotowa.

- Myślę sobie, że do pasma Uinta dojedziemy za cztery-pięć dni i jeśli do tego czasu nas nie złapią, to nie złapią już nigdy.

- W porządku. Zróbmy to.

- Potem ruszymy na południe. Będziemy musieli tak zrobić z powodu zimy. Nie widzę powodu, żebyśmy za kilka miesięcy nie mieli się znaleźć w Meksyku.

- Zróbmy to.

- Jezu Chryste. Wszystko sobie obmyśliłem. Jezu jasna cholera Chryste. Będziemy kradli bydło i owce i sprzedawali w tych wszystkich nędznych górskich osadach, gdzie nigdy nie zadają żadnych pytań.

- Bryk... - powiedziała.

- I będziemy wjeżdżać do tych wszystkich nędznych miasteczek u podnóża gór w Utah i Wyomingu i napadać na ich banki. Konno.

- Bryk... - powtórzyła.

- Minęło chyba ze sto lat od ostatniego cholernego konnego napadu na bank. Nie będą wiedzieli, jak sobie z nami radzić. Będą nas gonić samochodami, a my na przełaj, przez bariery ochronne, z powrotem w góry z całą tą forszą. I znikamy.

- Bryk - odezwała się, a ja tym razem na chwilę za-

miłkłem. - Bryk - powtórzyła. - Po prostu pieprzysz jak potłuczony, prawda?

- Kombinuję sobie, że możemy przetrwać cztery-pięć miesięcy, zanim nas w końcu ustrzelą.

- Pieprzysz jak potłuczony. Nigdzie się nie wybierasz.

- Uważasz, że nie zrobiłbym czegoś takiego?

- Nawet nie chcę o tym gadać.

- Uważasz, że bym tego nie zrobił?

- Chcesz wyruszyć z kilkoma końmi i sprawdzić, czy uda nam się tam zginąć? Świetnie, jestem za. Ale nie zwracaj mi głowy pieprzeniem o zabawie w przestępców.

- No już dobrze - powiedziałem. - Daj spokój, Martho Knox.

- Jesteś zwyczajnie ograniczony. Ograniczony.

- Przecież byś tak ni stąd, ni zowąd nie pojechała.

Spojrzała na mnie, jakby zamierzała powiedzieć coś zjadliwego, ale tylko wstała i połała kawę to, co jeszcze zostało z ogniska.

- Daj już spokój, Martho Knox - powiedziałem.

Usiadła, ale nie widziałem jej dobrze w mroku, za tą kupką mokrego popiołu.

- Nie zwracaj mi już głowy w taki sposób - odezwała się.

- Przestań. Nie mogłabyś przecież tak po prostu odjechać.

- Jasne, że bym mogła.

- Ukradłabyś konie mojego starego?

- Prędko to mój koń, do cholery.

- No już dobrze, Martho Knox - powiedziałem, ale ona wstała i weszła do namiotu.

Potem namiot zajaśniał od środka, tak jak to bywało

rankami tuż przed wschodem słońca, kiedy przygotowywała prowiant na polowanie. Z łąki, gdzie właśnie wtedy zaczynałem siodłać konie, widziałem ten słabo jarzący się namiot, oświetlony ledwo jedną latarnią.

Czekałem, a ona wyszła z tą latarnią na zewnątrz. Miała też uzdę zdjętą z haka obok kuchni, gdzie wieszaliśmy wszystkie uzdy, żeby wędzidła nie pokryły się zamarznątą rosą i rano konie nie miały w pyskach lodu. Minęła mnie i poszła w stronę łąki. Szła szybko jak zawsze i jak zawsze stąpała niczym chłopak.

Poszedłem za nią. Potknąłem się o kamień i złapałem się jej ramienia.

- Nie pojedziesz sama - powiedziałem.

- Owszem, pojedę. Pojadę do Meksyku. W środku nocy. Tylko ja i ta uzda. - A potem dodała: - Żartuję sobie, Bryk - mimo że ja się nie odezwałem.

Trzymałem się jej ramienia i szliśmy przed siebie. Teren był nierówny, ziemia miejscami mokra, a gdzie indziej pokryta śniegiem. Potykaliśmy się o kamienie i wpadaliśmy na siebie, ale się nie przewróciliśmy; oświetlaliśmy sobie drogę latarnią. Podążaliśmy za głosem dzwonek, aż wreszcie znaleźliśmy się przy koniach. Martha Knox postawiła latarnię na pieńku. Patrzyliśmy na konie, a one patrzyły na nas. Niektóre się od nas odsunęły, stanęły bokiem albo tyłem. Stetson jednak podszedł do mnie. Wyciągnąłem rękę, a on ją powąchał, a potem oparł na niej pysk. Po chwili odszedł, opuścił łeb i znowu zaczął się paść, a dzwonek na jego szyi zadzwonił, jakby ten ruch był ważny, ale dzwonki zawsze dzwoniły i nic to nie znaczyło.

Martha Knox była pomiędzy końmi, mówiła to, co zawsze mówimy do koni: „Hola, wolnego, spokojnie,

pomalutku, kolego", jakby one rozumiały te słowa, kiedy tak naprawdę liczy się tylko głos, a słowa mogą być jakiegokolwiek.

Znalazła Prędkiego, a ja przyglądałem się, jak zakłada mu uzdę. Patrzyłem, jak on pozwala jej założyć sobie uzdę. Łaty na jego grzbiecie i zadzie były brzydkie, jak zrobione przez przypadek błędy. Podszedłem, a ona przemawiała do Prędkiego i zapinała mu uzdę przy uchu.

- Wiesz - powiedziałem - że mój stary kupił tego konia od jego poprzedniego właściciela za jedyne sto dolarów, bo facet aż tak bardzo go nienawdził.

- Prędkie jest najlepszy. Popatrz na te ładne nogi.

- Mój stary mówi, że powinni go byli nazwać Pa-skud.

- Raczej Przystojniak - powiedziała, a ja się roześmiałem, ale roześmiałem się za głośno i Prędkie szarpnął do tyłu głowę.

- Hola - powiedziała do niego. - Wolnego, spokojnie, mały.

- Wiesz, dlaczego Indianie jechali do bitwy na ap-paloosach?

- Tak, wiem.

- Żeby się porządnie wkurzyć, zanim tam dotrą.

- Chcesz zgadnąć, ile razy słyszałam ten dowcip tego lata? - spytała Martha Knox.

- Nie znoszę appaloosów. Nie znoszę ich wszystkich.

Stała obok Prędkiego i przesuwiała dłoń po jego grzbiecie. Trzymając jedną ręką cugle, drugą chwyciła się jego grzywy i wskoczyła na niego, szybko, tak jak nauczyłem ją w czerwcu. Zatańczył do tyłu, ale ona pociągnęła za cugle, dotknęła jego szyi, zatrzymała.

- Jedziesz czy nie? — spytała.

- Za żadne pieniądze nie wsiądę na tego kropkowanego skurwiela.
- Wskakuj.
- Nie weźmie dwóch osób.
- Weźmie. Wskakuj.
- Spokojnie, mały - powiedziałem i wsiadłem na konia.

Zanim się usadowiłem za Marthą, zatańczył w bok, ale tym razem mu na to pozwoliła, potem szturchnęła go piętami, a on ruszył od razu swobodnym kłusem, kiedy ja jeszcze wyciągałem ręce, by złapać się jego grzyw. Pozwoliła mu kłusować; potem jednak sam zwolnił i szedł sobie stępa. Pozwoliła mu iść, gdzie miał ochotę, a on dwukrotnie powoli okrążył stojącą na ziemi latarnię. Parsknął na klacz, która natychmiast od niego odskoczyła. Znalazł się pod drzewem i stanął nieruchomo.

- Niesamowita przejażdżka - powiedziałem.

Pogoniła go, tym razem nie delikatnym, ale mocnym szturchnięciem, i ruszył z kopyta, a kiedy jeszcze dwa razy wbiła mu piętę w bok, już pędził. Byliśmy na coś takiego zbyt pijani i było na to za ciemno i na tej łące było za dużo rzeczy, o które koń mógł się potknąć, ale my i tak pędziliśmy przed siebie. Jego dzwonek i kopyta hałasowały, co zaskoczyło inne konie, tak że się rozproszyły za naszymi plecami. Słyszałem, że kilka rozdzwonionych i szybkich podąża za nami.

Martha Knox trzymała cugle, ale ich nie używała. Nie mieliśmy już kapeluszy na głowach, obojgu nam sfrunęły. Możliwe, że Prędkci się potknął, a może wierzgnął, tak jak to czasem robią konie, które kochają biegać, a może się źle usadowiliśmy, w każdym razie oboje wylądowaliśmy na ziemi. Spadaliśmy razem, ja nadal z rękoma wokół jej pasa,

trudno więc powiedzieć, kto spadł pierwszy albo z czyjej to było winy. Ta łąka była najlepszym miejscem dla koni podczas dłuższych wypraw, ale podczas tej późnej myśliwskiej wyprawy była już całkiem wyeksploatowana. Wiosną będzie inaczej, wyrosnie świeża trawa, soczysta od spływającej z gór wody. Upadliśmy tak samo, oboje, uderzając o zamarznąłą, twardą ziemię barkiem i biodrem. Wiedziałem, że nic mi się nie stało, i domyślałem się, że jej też nie, ale nim zdążyłem o to zapytać, usłyszałem jej śmiech.

- Człowieku - powiedziała. - A niech to.

Wyciągnąłem spod niej rękę i przetoczyłem się z biodra na plecy i ona też przewróciła się na wznak. Byliśmy daleko od latarni, ale księżyc świecił jasno. Obróciłem głowę i zobaczyłem twarz Marthy tuż przy swojej twarzy. Masowała sobie ramię, nie patrzyła na nic konkretnego, tylko spoglądała w górę, prosto w niebo, takie niebo, jakie rzadko widzimy, bo zasłaniają je drzewa albo chmury, albo dlatego, że śpimy lub gapimy się w ognisko.

Wrócił Prędkci... najpierw usłyszeliśmy dzwonek, a potem jego wielkie, gorące chrapy zawisły tuż nad naszymi twarzami. Obwąchał nas, jakbyśmy byli roślinkami albo czymś, na co miałby ochotę.

- Porządny z ciebie koń, Prędkci - powiedziała Martha Knox, nie takim głosem, jakim zawsze przemawiamy do koni, ale tym zwykłym, i mówiła to szczerze.

Nie myślałem, by chciała, żebym ją pocałował, choć prawdą jest, że sam wtedy miałem ochotę to zrobić. Wyglądała wspaniale. Na tej zmarzniętej, martwej ziemi wyglądała tak świetnie i tak znacząco jak świeża trawa i jagody.

- Porządny z ciebie koń, Prędkci - powtórzyła z pełnym przekonaniem. Powąchał ją ponownie, uważnie.

Ja też podniosłem wzrok na niebo i wpatrzyłem się w gwiazdy, które już przecież nieraz widziałem, ale teraz wydały mi się bliższe i nowe. Patrzyłem wystarczająco długo, by zobaczyć jedną spadającą. Odbyła długą drogę nad nami. Tutaj to dość powszedni widok przy pogodnym niebie. Jednak ta jedna gwiazda, spadając, pozostawiała za sobą długi cienki łuk, jak rzucony ponad naszą głowę żarzący się niedopałek papierosa. Jeśli Martha Knox też ją zobaczyła, musiało to być wtedy, kiedy już sięgała jedną ręką do końskiej uzdy, w każdym razie nie wspomniała o tym ani słowem.



## Rozmowa z wapiti

**B**enny mieszkał z Edem i Jean ponad rok. Jean była siostrą jego matki, która leżała w szpitalu w Cheyenne, pogrążona w śpiączce od tamtego wieczoru, kiedy wracając do domu, wjechała samochodem w pług śnieżny. Jean natychmiast zaofiarowała się, że weźmie do siebie ośmioletniego siostrzeńca, i cała rodzina przyznała, że tak będzie dla Benny'ego najlepiej. Kiedy ludzie pytali Jean, gdzie się podziewa ojciec chłopca, odpowiadała całkiem po prostu: „Jest chwilowo nieosiągalny”, jakby był jakimś biznesmenem, który nie może podejść do telefonu.

Ed i Jean mieli jedną, zamężną już córkę, mieszkającą w Ohio. Kiedy wyprowadzali się z miasteczka do górskiej chaty, nie sądzili, że przyjdzie im dzielić ją z jakimś dzieckiem. A przecież teraz Benny tam był i codziennie rano Jean odwoziła go pięć mil drogą gruntową na szkolny autobus. Każdego popołudnia w tym samym miejscu na niego czekała. Zimą było to znacznie trudniejsze, z powodu nieuniknionych obfitych opadów śniegu, ale jakoś dawali sobie radę.

Ed pracował dla Departamentu Łowiectwa i Rybołówstwa i miał dużą zieloną półciężarówkę z herbem stanu na drzwiach. Był już na emeryturze, pracował tylko na

część etatu i w ostatnich miesiącach dorobił się brzucha, krągłego i twardego jak u ciężarnej nastolatki. Kiedy był w domu, rąbał i układał w stos drewno na opał albo pracował przy samym domku. Nieustannie go ocieplali, ciągle znajdowali i naprawiali jakieś uszkodzenia, starając się go lepiej przygotować na zimę. W lipcu i sierpniu Jean robiła przetwory i zamrażała warzywa z ogródka, a kiedy szła na spacer, zbierała suche patyki na podpałkę. Domek był niewielki, z wychodzącym na las płytkim gankiem od tyłu. Jean oddała Benny'emu salonik na sypialnię i chłopiec spał tam na kanapie pod puchową kołdrą.

Był koniec października i Ed wyjechał na weekend, by na konwencji w Jackson wygłosić referat o kłusownictwie. Jean właśnie wybrała się po Benny'ego na przystanek szkolnego autobusu, kiedy z przeciwka nadjechał z ogromną szybkością samochód osobowy kombi, ciągnący za sobą dużą przyczepę kempingową. Skręciła ostro kierownicą, ledwo unikając zderzenia. Aż się wzdrygnęła cała, kiedy bokiem auta przeszorowała po krzakach rosnących z prawej strony drogi. Minąwszy się szczęśliwie z tamtym pojazdem, zerknęła w lusterko wsteczne i przez gęsty obłok kurzu ledwo dojrzała oddalający się tył przyczepy.

Nie przypominała sobie, kiedy ostatni raz widziała na tej drodze jakiś samochód. Ich dom był jedyny w promieniu wielu mil i tylko sporadycznie pojawiali się tu myśliwi w samochodzie terenowym czy jakaś para nastolatków szukająca ustronnego miejsca na zaparkowanie. Nie było żadnego powodu, żeby przyjeżdżało tu kombi z przyczepą. Pomyślała, że to jakaś rodzina na wakacjach, która zgubiła się, jadąc do Yellowstone, z tyłu siedzą nieszczęsne dzieci, a za kierownicą ojciec, który za nic nie chce się zatrzymać, żeby spytać o drogę. Przy takiej szybkości pozabija ich wszystkich.

Tego dnia autobus Benny'ego przyjechał wcześniej i kiedy Jean dotarła do drogi głównej, chłopiec już na nią czekał, przyciskając do piersi pudełko na lunch, niewiele wyższy od słupka ze skrzynką pocztową, obok którego stał.

- Rozmyśliłem się - powiedział, wsiadłszy do auta. - Chcę być karateką.

- Ale przecież już mamy gotowy tamten strój, Benny.

- To nie jest prawdziwy strój. To tylko mój kostium Małej Ligi, początkujących bejsbolistów, nic więcej.

- Ben. Przecież chciałeś go włożyć. Powiedziałeś mi, że tak chcesz być ubrany na Halloween.

- Chcę być karateką - powtórzył. Nie marudził, tylko jak zawsze mówił głośno i powoli, tak jakby wszyscy, których znał, mieli problemy ze słuchem albo dopiero zaczynali się uczyć angielskiego.

- Cóż, przykro mi. Nie możesz nim być - powiedziała Jean. - Już za późno, żeby zrobić nowy kostium.

Jej siostrzeniec wyrzął przez okno i skrzyżował ręce na piersi.

- Naprawdę bardzo bym chciał być karateką - oświadczył po jakimś czasie.

- Bądź pomocny, Ben. Nie utrudniaj nam sytuacji, dobrze?

Nie odpowiedział, westchnął tylko z rezygnacją, jak mogłaby westchnąć matka. Jean prowadziła w milczeniu, wolniej niż zazwyczaj, na każdym zakręcie pamiętając o tamtym pędzącym kombi. Mniej więcej w połowie drogi do domu spytała:

- Miałeś dzisiaj plastikę, Benny?

Pokręcił głową.

- Nie? A w-f?

- Nie - odparł Benny. - Mieliśmy muzykę.

- Muzykę? Nauczyłeś się jakichś nowych piosenek? Wzruszył ramionami.
- Może mi zaśpiewasz coś, czego się dzisiaj nauczyłeś?

Benny milczał, więc Jean powtórzyła:

- Może mi zaśpiewasz coś, czego się dzisiaj nauczyłeś? Chciałabym usłyszeć te nowe piosenki.

Po jakimś czasie chłopiec wyciągnął z ust niebiesko-szarą grudkę gumy do żucia i przykleił ją do rączki pudełka na lunch. Potem, wbijając wzrok w przednią szybę, wyrecytował powoli i monotonicznie:

- Był sobie farmer, co miał psa, a pies miał na imię Bingo. O. B-I-N-G-O - przeliterował starannie, wymawiając wyraźnie każdą głoskę. - B-I-N-G-O. B-I-N-G-O. I miał na imię - powtórzył Benny - Bingo. O.

Zdrapał gumę z pudełka na lunch i włożył z powrotem do ust.

Tego wieczoru, po kolacji, Jean pomogła Benny'emu włożyć strój gracza Małej Ligi i przycięła paski taśmy odblaskowej, żeby nałożyć je na numer, który miał na plecach koszulki.

- Musisz to robić? - spytał.
- Chcę, żeby samochody widziały cię tak dobrze, jak ty je widzisz - odparła.

Przyjął to wyjaśnienie bez dalszych protestów. Wygrawszy wcześniejszą dyskusję na temat noszenia czapki i rękawiczek, ten punkt oddał ciotce. Jean wyciągnęła z szuflady biurka starego polaroida i przyniosła go do saloniku.

- Zrobimy zdjęcie, żeby pokazać wujkowi Edowi, kiedy wróci do domu - powiedziała. - Tak ładnie wyglądasz. Będzie chciał to zobaczyć.

Znalazła go w maleńkim kwadraciku celownika i cofała się, aż cały się w nim zmieścił.

- Uśmiech - powiedziała. - Robimy.

Nie zamrugał, nawet kiedy błysnął flesz, stał sztywno i uśmiechnął się w ostatniej chwili, robiąc jej uprzejmość. Oboje patrzyli, jak z aparatu wysuwa się powoli zamglone, jeszcze wilgotne zdjęcie.

- Trzymaj je ostrożnie za brzeżek - poinstruowała go Jean, podając mu zdjęcie - i zobacz, co się pokaże.

Rozległo się pukanie do drzwi. Jean zerwała się zaskoczona. Zerknęła na chłopca, który pomiędzy kciukiem i palcem wskazującym trzymał wystrzające się zdjęcie i spoglądał na nią z pełnym niepokojem zdziwieniem.

- Zostań tutaj - przykazała mu i podeszła do okna na tyłach domku. Zapadł zmrok i musiała przycisnąć twarz do szyby, żeby dojrzeć na ganku niewyraźne postaci. Rozległo się kolejne pukanie i do jej uszu dobiegł wysoki, przytłumiony grubą dębową ścianą głos:

- Cukierek albo figielek!

Jean otworzyła i zobaczyła dwoje dorosłych i dziecko, każde z nich miało na sobie brązowy zimowy kombinezon i długie gałązki przymocowane taśmą przyklepną do czapki z pomponem. Kobieta wysunęła się do przodu i wyciągnęła rękę.

- Nazywamy się Donaldsonowie - oświadczyła. - Jesteśmy waszymi sąsiadami.

- Jesteśmy wapiti - dodała dziewczynka, dotykając dwóch gałążek na swojej czapce. - To są nasze rogi.

- Poroże, skarbie - poprawiła ją matka. - Bizony i kozy mają rogi. Wapiti mają poroże.

Jean przeniosła wzrok z córki na matkę, a następnie na

stojącego obok nich mężczyznę, który spokojnie ściągał rękawiczki.

- Ucieka pani ciepło przez otwarte drzwi - powiedział głosem nie tyle głębokim, ile niskim i spokojnym. - Może wpuści nas pani do środka?

- Och - odezwała się Jean i odsunęła się na bok, żeby mogli wejść. Potem zamknęła za sobą drzwi i oparła się o nie plecami i dłońmi.

- No proszę, a to co? - spytała kobieta, przyklękając przy Bennym i podnosząc zdjęcie, które chłopiec upuścił na podłogę. - Czy to ty jesteś na tej fotografii?

- Przepraszam - przerwała jej Jean. - Bardzo przepraszam, ale nie znam państwa.

Cała trzysobowa rodzina odwróciła się jak jeden mąż, żeby na nią popatrzeć.

- Nazywamy się Donaldsonowie - powtórzyła kobieta, marszcząc lekko brwi, jakby poczuła się zakłopotana oświadczeniem Jean. - Jesteśmy waszymi sąsiadami.

- My nie mamy sąsiadów - oznajmiła Jean. - Nigdzie, z żadnej strony.

- Wprowadziliśmy się dopiero dzisiaj. - Ponownie odezwał się mężczyzna tym swoim dziwnym, niskim głosem. Dziewczynka stała obok, uczepona jego nogi, a on trzymał dłoń na jej głowie, pomiędzy dwoma częściami poroża.

- Gdzie się wprowadziliście? - spytała Jean.

- Kupiliśmy pół akra ziemi pół mili stąd. - Jego ton wskazywał, że uważa jej wypytywanie za nieuprzejme. - Mieszkamy w przyczepie.

- Przyczepie? - powtórzyła Jean. - To was widziałam dzisiaj, prawda? Na drodze?

- Tak — odpowiedział mężczyzna.

- Jechaliście okropnie szybko, nie uważa pan?

- Tak - powtórzył.  
- Spieszyliśmy się, żeby zdążyć przed zmrokiem - do-  
dała jego żona.

- Na tych drogach trzeba być bardzo ostrożnym - po-  
wiedziała Jean. - Jechał pan bardzo niebezpiecznie.

Milczeli; cała trójka patrzyła na Jean z uprzejmie pu-  
stym wyrazem twarzy, jakby czekali, że powie coś jeszcze,  
może coś bardziej stosownego.

- Nie wiedziałam, że przy końcu naszej drogi jest zie-  
mia na sprzedaż - powiedziała Jean i napotkała ten sam,  
jednakowy u całej trójki, wyraz twarzy. Nawet Benny  
przyglądał się jej z lekkim zaciekawieniem. - Nie spodzie-  
waliśmy się, że będziemy mieli sąsiadów - ciągnęła. - Nie  
na takim pustkowiu. - I znowu milczenie. Nie było nic  
nieprzyjemnego w tym ich wspólnym spojrzeniu, ale jej  
wydawało się ono obce i niepokojące.

Dziewczynka, która zapewne nie miała jeszcze czterech  
lat, odwróciła się do Benny'ego.

- A w ogóle to czym ty jesteś? - spytała.

Spojrzał szybko na Jean, szukając odpowiedzi, po  
czym przeniósł wzrok na małą. Jej matka się uśmiech-  
nęła.

- Ona chyba chce wiedzieć, co to za kostium, mój  
drogi.

- Jestem bejsbolistą - oświadczył Benny.

- My jesteśmy wapiti - poinformowała go dziewczyn-  
ka. - To jest nasze poróże. - Tak powiedziała: „poróże”.

Kobieta odwróciła się z uśmiechem do Jean. Zęby miała  
szerokie i równe, krótkie, jakie widzi się u tych starych  
Eskimosek, które spędzają życie na zuciściu skór.

- Mam na imię Audrey - powiedziała. - To jest mój  
mąż, Lance, ale woli, żeby zwracać się do niego L.D. Nie

lubi swojego prawdziwego imienia. Uważa, że przywodzi na myśl narzędzia chirurgiczne. A to jest nasza córeczka, Sophia. Skleciliśmy te kostiumy na chybcika, ale ona jest nimi bardzo podekscytowana. Upierała się, żebyśmy przyszli z „figlem albo cukierkiem”, kiedy tylko zobaczyła wasz domek.

- Właśnie wychodziliśmy - oznajmiła Jean. - Zabieram Benny'ego do jego szkoły na zabawę.

- Czy to nie wspaniale? - Audrey uśmiechnęła się promiennie. - Maluchom też wolno przyjść?

- Nie - rzuciła Jean, choć tak naprawdę nie wiedziała, jakie tam mają zasady.

- Zatem będzie to dzisiejszego wieczoru nasz jedyny przystanek - stwierdziła Audrey. - Może tylko później pójdziemy na spacer, żeby porozmawiać z wapiti.

- Słyszeliście je? - spytał L.D.

- Co proszę? - Jean zmarszczyła brwi.

- Pytam, czy słyszeliście wapiti.

- Cały czas słyszymy wapiti. Chyba nie bardzo wiem, o czym pan mówi.

L.D. i Audrey wymienili triumfalne spojrzenia.

- L.D. jest muzykiem - wyjaśniała Audrey. - Ubiegłego lata spędzaliśmy tutaj, w Wyomingu, wakacje i ryk wapiti zrobił na nim duże wrażenie. To wspaniały dźwięk, naprawdę.

Jean dobrze go znała. Prawie każdej jesiennej nocy wapiti nawoływały się w lesie. Trudno było stwierdzić, jak blisko domu podchodziły, ale dźwięk był potężny i przykuwający uwagę: długi ryk, niemalże ludzki, a po nim seria głębokich stęknień. Znała to od dziecka. Widziała, jak konie zatrzymują się na szlaku i stoją z podniesionymi głowami, parszając, strzygąc uszami, nasłuchują, gotowe do ucieczki.



- L.D. zrobił kilka nagrań. Okazało się to niezwykle inspirujące dla jego muzyki - ciągnęła dalej Audrey. - Mieszkaliście kiedyś w dużym mieście?

- Nie - powiedziała Jean.

- Cóż. - Audrey wzniosła oczy do góry. - Bo to jest tak, że wszystko ma swoje granice i w pewnym momencie człowiek już więcej nie znieś. Ledwie trzy miesiące temu właśnie się dokądś wybierałam, kiedy nagle zauważyłam, że wyjęłam z torebki wszystkie karty kredytowe, żeby oszczędzić sobie kłopotu z załatwianiem nowych, jeśli mnie napadną i obrabują. Zrobiłam to zupełnie automatycznie, jakby takie odruchy, takie życie było czymś zupełnie normalnym. I tamtego wieczoru powiedziałam do L.D.: „Wyjeżdżamy, musimy się wynieść z tego szalonego miasta”. Oczywiście z radością się zgodził.

Jean spojrzała na Benny'ego, który stał cicho, zasłuchany przez cały ten czas, i ogarnęło ją to samo poczucie winy, którego doświadczała podczas kolacji, kiedy podniósłszy wzrok, nagle zauważyła siostrzeńca siedzącego między nią i Edem przy stole.

- No cóż. - Jean popchnęła palcem okulary na nosie. - Musimy jechać.

- Posłuchajcie - powiedział L.D. i wyjął z kieszeni płaski, czarny krążek. Wsunął go do ust i w małym i dokładnie uszczelnionym saloniku domu Jean rozległ się pełen ryk wapiti. Zobaczyła, jak Benny podskoczył na ten dźwięk. L.D. wyjął krążek z ust i się uśmiechnął.

- Och, skarbie. - Audrey się skrzywiła. - We wnętrzu to brzmi tak głośno. Naprawdę nie powinieneś tego robić ludziom w domach. Nie bój się - zwróciła się do Benny'ego. - To tylko wabik.

Jean już kiedyś słyszała coś takiego. Przyjaciel Eda

był przewodnikiem myśliwych i używał podobnego przyrządu, żeby przywoływać dorosłe samce wapiti. Raz zademonstrował je Jean, a ona roześmiała się i powiedziała, że brzmi całkiem nieprawdziwie. „Równie dobrze mógłbyś stanąć na polanie i wołać: Tutaj wapiti, wapiti, wapiti, tutaj”, powiedziała wtedy. L.D. miał taki sam wabik, ale jego dźwięk był pełniejszy i brzmiał niepokojąco prawdziwie.

Benny uśmiechnął się szeroko do Jean.

- Słyszałaś to?

Skinęła głową.

- Wicie chyba, że na wapiti można polować wyłącznie w sezonie łowieckim i trzeba mieć na to pozwolenie - powiedziała sucho.

- Nie chcemy na nie polować - wyjaśniła Audrey. - Chcemy tylko z nimi rozmawiać.

- Czy zabrzmiało to prawdziwie? - spytał L.D. - Dużo ćwiczylem.

- Jak pan to robi? - spytał Benny.

L.D. podał mu krążek.

- Nazywają to membraną - wyjaśniał L.D., kiedy Benny obracał przedmiot w rękach i oglądał pod światło. - Jest zrobiona z gumy i wkłada się ją głęboko do ust i wydmuchuje przez nią powietrze. Nie jest to łatwe i trzeba być ostrożnym, żeby jej przypadkiem nie połknąć. Są różne rozmiary, dla różnych dźwięków. Ten ma brzmieć jak głos dojrzałego byka, jego wołanie godowe.

- Mogę spróbować?

- Nie - zaprotestowała Jean. - Nie wkładaj tego do ust. To nie twoje.

Benny niechętnie zwrócił przedmiot, a L.D. powiedział:

- Niech ci tata kupi taki.

Jean skuliła się na wzmiankę o ojcu, ale Benny skinął tylko głową, jakby rzeczywiście rozważał tę sugestię.

- Dobrze - powiedział. - Jasne.

Jean zdjęła kurtkę z wieszaka przy drzwiach i włożyła.

- Chodź, Ben. Czas jechać.

L.D. podniósł Sopię, która przysiadła mu na butach. Jeden z badyli poroża wyślizgnął się spod taśmy przyklepnej i zawisł jej na plecach jak warkocz.

- Czyż nie wygląda słodko? - rozczuliła się Audrey.

Jean otworzyła drzwi i przytrzymała, żeby Donaldsonowie mogli wyjść gęsiego na ganek. Benny podreptał za nimi, taki mały, bez poroża. Zgasiła światło, wyszła i zamknęła drzwi. Z dna torebki wygrzebała wytrych i pierwszy raz, odkąd zamieszkała w tym domku, przekręciła zamek.

Noc była pogodna, księżyc prawie w pełni. Nie spadł jeszcze śnieg, przynajmniej taki, który by dłużej poleżał, ale w ostrym zapachu zimnego powietrza Jean wyczuwała jego nadejście. Czytała gdzieś, że niedźwiedzie czekają z ułożeniem się do zimowego snu na pierwsze zamiecie, żeby ich tropy prowadzące do gawr zostały natychmiast przysypane. Pora jest już późna, pomyślała, i miejscowe niedźwiedzie na pewno są zniecierpliwione czekaniem na ten właściwy śnieg.

Donaldsonowie stali na ganku i spoglądali na skraj lasu tuż za małym ogródkiem Jean.

- Zeszłego lata wapiti mi odpowiedział - odezwał się L.D. - To było niesamowite przeżycie, takie porozumienie.

Wsunął wabik do ust i powtórzył ryk, głośniejszy niż we wnętrzu domu. Dźwięk jest potężniejszy od tych, do jakich człowiek ma prawo, pomyślała Jean, i niepokojąco realistyczny.

Potem nastąpiła cisza i wszyscy wpatrzyli się w las, jakby liczyli na to, że same drzewa im odpowiedzą. Jean zapomniała wziąć z domu rękawiczki. Zmarzły jej dłonie i chciała jak najszybciej znaleźć się w ciepłym samochodzie. Wyciągnęła rękę i dotknęła ramienia Benny'ego.

- Chodźmy, kochanie - powiedziała, ale on położył swoją dłoń na jej dłoni, w zaskakująco dorosły sposób.

- Poczekaj - szepnął. - Słuchaj - dodał po chwili.

Nic nie słyszała. L.D. postawił Sophię na ziemi i teraz cała rodzina stała na krawędzi ganku, a gałęzie udające poroże odcinały się wyraźnie na tle nocnego nieba. Lepiej, żeby nie robili sobie tych kostiumów zbyt realistycznych, pomyślała Jean, bo mogą zostać postrzeleni. Wcisnęła pięści w kieszenie kurtki i zatrzęsała się z zimna.

Po jakimś czasie L.D. powtórzył wołanie samca, długi wysoki ryk, zakończony kilkoma sapnięciami. Wszyscy nasłuchiwali w ciszy, wychyleni lekko do przodu, z głowami przekrzywionymi, jakby się obawiali, że odpowiedź może być nikła i jej nie usłyszą, choć przecież nie było potrzeby tak się starać: gdyby wapiti zaryczał w odpowiedzi, nie musieliby natężyć uszu, żeby go usłyszeć.

L.D. zaryczał ponownie i jeszcze raz, a kiedy umilkło ostatnie sapnięcie, Jean usłyszała. Usłyszała pierwsza. Kiedy inni zastygli, uświadomiwszy sobie, co słyszą, ona już zdążyła pomyśleć, że to pewnie niedźwiedź buszuje w poszyciu. Ale zaraz odgadła, co to takiego, tuż przed tym, jak wapiti wypadł z lasu. Ziemia była zmarznięta i twarda i kopyta zbliżającego się szerokim łukiem zwierzęcia wybijały lekki szybki rytm. Zatrzymał się na czarnej stwardniałej glebie ogródka Jean.

- O mój Boże - wyszeptała Jean i szybko policzyła

odnogi jego ciemnego poroża, zlewające się z gałęziami i drzewami w tle.

Zbliżył się do nich szybko i bez ostrzeżenia, pokazał w pełnej krasie, by rzucić wyzwanie lub stawić czoło. Było oczywiste, że ten wapiti nie chciał rozmawiać z Donaldsonami. Chciał sprawdzić, kto odważył się pojawić na jego terytorium i wabić łanię. A teraz stał, cały na widoku, i patrzył prosto na nich. Domek był jednak ciemny, ocieniony dodatkowo dachem nad gankiem, zatem wapiti nie mógł ich zobaczyć. Nie było też wiatru, który mógłby ponieść do niego ich zapach, wpatrywał się więc ślepo dokładnie w to miejsce, skąd przyszło wyzwanie.

Jean zobaczyła, jak Sophia wysuwa powoli rękę i dotyka ojcowskiej nogi, ale jeśli nie liczyć tego, panował całkowity bezruch. Po chwili wapiti wolnym krokiem postąpił w lewo. Zatrzymał się, znieruchomiał, wrócił na miejsce, w którym stał przed chwilą, i zrobił kilka kroków w prawo. Pokazał się w ten sposób z obu stron i ciągle widoczny nie odwracał wzroku od ganku. Nie rzucał głową, jak by to robił koń, nie przybierał też bardziej agresywnej, groźniejszej postawy. Ponownie zrobił kilka kroków najpierw w jedną, potem w drugą stronę, powoli, rozważnie.

Jean zobaczyła, jak L.D. podnosi rękę do ust i odpowiednio układa wabik. Pochyliła się do przodu i położyła mu dłoń na przedramieniu. Obejrzał się na nią, a ona wypowiedziała bezgłośnie „nie”.

Zmarszczył brwi i odwrócił się z powrotem. Zobaczyła, jak zaczyna nabierać powietrza, zacisnęła więc rękę na jego ramieniu i odezwała się tak cichutko, że nie usłyszałby jej nawet ktoś stojący trzy stopy dalej:

- Nie radzę.

L.D. wyjął wabik z ust. Jean odprężyła się. Z lasu

wyszły dwie łanie, jedna dorosła, druga jednoroczna. Najpierw popatrzyły na byka, potem na domek i powoli, jakby ze świadomością wywoływanego przez siebie wrażenia, wmaszerowały do ogródka. Wszystkie trzy wapiti stały jakiś czas razem, w ciszy, która Jean wydawała się absolutnie niezmacona. Pod ich niewidzącym wzrokiem czuła się, jakby brała udział w seansie spirytystycznym zorganizowanym dla zabawy, podczas którego przypadkowo wywołano prawdziwego ducha.

W końcu wapiti zaczęły się wycofywać. Dwa starsze robiły wrażenie stanowczych, ale jednoroczna samica dwukrotnie obejrzała się na domek i Jean nie potrafiła rozszyfrować tych jej powłóczystych spojrzeń. Zwierzęta odeszły i w jednej chwili zniknęły, wtapiając się w ścianę lasu. Na ganku nie poruszył się nikt, dopóki Sophia nie wyszeptła:

- Tatusiu.

Audrey odwróciła się i uśmiechnęła do Jean, kręcąc przy tym powoli głową.

- Czy kiedykolwiek - spytała - w całym swoim życiu czułaś się tak niewyobrażalnie zaszczycona?

Jean nie odpowiedziała, ujęła tylko dłoń Benny'ego i energicznym krokiem zaprowadziła go do samochodu. Nie spojrzała na Donaldsonów, stojących na progu jej domu, nawet wtedy, kiedy czekała jakiś czas na podjeździe, aż rozgrzeje się silnik.

- Widziałaś? - spytał Benny głosem ściśniętym zachwytem, ale jemu też Jean nie odpowiedziała.

Włączyła tylko światła mijania, prowadziła nierozważnie, przekraczając oś jezdni, nie biorąc w ogóle pod uwagę, że może natknąć się na kogoś jadącego z przeciwka albo na jakąś przeszkodę. Jechała po tej drodze szybciej niż

kiedykolwiek wcześniej, dając upust wściekłości, której opanowanie zajęło jej cztery długie niebezpieczne mile, i zaczęła zwalniać dopiero wtedy, kiedy uświadomiła sobie, że nie tylko stała się przedmiotem manipulacji, ale również jej uczestniczką. Nie mieli prawa, myślała w kółko, nie mieli prawa robić czegoś takiego tylko dlatego, że potrafili. Wreszcie przypomniała sobie, że tuż obok siedzi Benny, a ona jest całkowicie za niego odpowiedzialna, i wtedy zdjęła nogę z gazu i pojechała spokojnie.

Przez chwilę pragnęła obecności męża, ale natychmiast odrzuciła tę myśl, bo przecież i tak dookoła było już zdecydowanie za dużo ludzi.

## Alice jedzie na Wschód

Z domu Roya do centrum Verony jechało się dwadzieścia minut, drogą biegnącą wśród pól obsadzonych słonecznikami, równie płaskich i monottonnych jak akcent ze Środkowego Zachodu. Była to porządna droga, dobrze utwardzona, i nie przecinało jej nic oprócz horyzontu oraz torów Kolei Northern Pacific. Kiedy córka Roya, Emma, była jeszcze mała, Roy nauczył ją jeździć rowerem po żółtej linii, oddzielającej tych, którzy jechali na wschód, od tych, którzy jechali na zachód. Nic jej raczej nie groziło; w tamtych czasach nie było aż takiego ruchu, toteż nie-liczne samochody, które przejeżdżały tą drogą, widziało się z dystansu wielu mil. Zawsze było mnóstwo czasu, żeby podjąć decyzję, zjechać na pobocze, nastawić się.

W odległości około dziesięciu mil od miasta na widoku pojawiał się elewator zbożowy, sterczący z arogancją, jakiej nietrudno się spodziewać po jedynej w okolicy budowli, która ma więcej niż dwa piętra. Roy właśnie mijał ten punkt, kiedy zauważył w oddali nieznamy obiekt; podjechał bliżej i zobaczył, że to samochód, biały pick-up, który zjechał na pobocze i błyskał światłami awaryjnymi. Zwolnił, odnotował tablicę rejestracyjną z Montany, a po-



tem zatrzymał się za pick-upem z takim zdecydowaniem, jakby parkował tu codziennie, przez całe życie.

Wysiadł z samochodu i uszedł kilka kroków, zanim zauważył ich w rowie. Zatrzymał się i powolnym ruchem przyłożył rękę do maski, pod którą skrywał się ciepły, pulsujący silnik. Było ich dwoje, nastolatki. Dziewczyna stała. Chłopak klęczał u jej stóp, rozciął scyzorykiem jedną z nogawek jej jeansów. Roy najpierw się przestraszył, a zaraz potem zawstydził, bo w tej scenie było coś dziwnie intymnego: dziewczyna stała z lekko rozstawionymi nogami, z rękoma na biodrach, chłopak klęczał, a do tego jeszcze te nagłe błyski noża, stopniowe odstawianie się ciała, w miarę jak spodnie przeobrażały się w szorty.

Po chwili dziewczyna odwróciła się i spojrzała na Roya z niejakim zaciekawieniem. Jej włosy, krótkie i ciemne, przylegały do czaszki, jakby dopiero co zdjęła baseballówkę. Była ubrana w biały, męski podkoszulek, za wycięcie w szpic miała zatknięte okulary słoneczne.

- Cześć! - powiedziała.

- Zauważyłem, że zjechaliście z drogi - wyjaśnił Roy. - Pomyślałem, że potrzebujecie pomocy.

Dziewczyna wskazała gestem ich samochód.

- Tak. Nagle się rozkraczył.

- To pompa paliwowa - dodał chłopak. - Wysiadła.

- Chcecie, żebym ją obejrzał?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Sekundkę - odparła.

Roy zaczekał, aż chłopak przetnie ostatni gruby szew; wtedy dziewczyna wyciągnęła nogę z jeansowej rury, podszytej u dołu i postrzępionej od góry. Z jedną nogą gołą, a drugą w długiej nogawce podeszła do pick-upa, otworzyła drzwi i podniosła maskę. Roy zaszedł z przo-

du, zauważając martwe motyle i pasikoniki przylepione do kraty chłodnicy. Oboje z dziewczyną popatrzyli na zakurzoną bryłę silnika, po czym dziewczyna wycelowała palcem w płataninę wężyków i rurek.

- Pete mówi, że to tutaj się zepsuło - powiedziała. - Pompa paliwowa.

- Jeśli tak jest, to potrzebujecie nowej - stwierdził Roy.

- Pete też tak mówi.

- Co to jest? Trzystapięćdziesiątka?

- To **Chevrolet** - odparła.

- Pytam o silnik. Co to jest?

- Trzystapięćdziesiątka - zawołał chłopak z drugiej strony samochodu.

- Wiedziałam, że będziemy mieli kłopoty i w ogóle - wyznała dziewczyna. - Ale żeby takie coś? Myślałam, że dojedziemy przynajmniej do Dakoty Północnej.

- Jesteście z Montany?

- Tak. Mieszkamy pod samą granicą. A ty jesteś stąd?

- Tak - odparł Roy. - Mieszkam tuż za Veroną. - Sam się zdziwił, że powiedział to takim tonem, jakim inni ludzie mówią, że mieszkają tuż za Chicago albo w odległości dziesięciu minut od Manhattanu. Jakby to coś miało znaczyć. Tymczasem w Veronie nie było prawie nic, a już zupełnie nic na jej obrzeżach, wyjąwszy pola słoneczników i dom Roya.

- Jeszcze nie minęły dwa dni, jak jesteśmy w drodze, a tu... - Dziewczyna nie dokończyła swojej myśli i uśmiechnęła się do Roya. - Mam na imię Alice - powiedziała. Razem z głoską „s” między jej zębami mignął przelotnie czubek języka.

- Jestem Roy. Znam kogoś w Veronie, kto może mieć taką pompę. Mogę was podwieźć. Jeśli chcecie.

- Muszę spytać Pete'a. To mój brat.

Wróciła do rowu, a Roy został za pick-upem i stamtąd się przyglądał. Bo jakoś dziwnie powiedziała to „mój brat”, najpierw podawszy jego imię. Z naciskiem i z wahaniem jednocześnie.

Pete leżał na plecach na uschłej trawie, ale na widok Alice podniósł się, przetarł czoło wewnętrzną stroną przedramienia i poskarżył się, że mu gorąco.

- Dokończ robić mi szorty, a potem on nas podwiezie do miasta - rzuciła Alice. - Powiedział, że zna jakiegoś faceta, który może mieć taką pompę.

Pete wyjął z kieszeni scyzoryk, otworzył go i zaczął się wcinać w to, co jeszcze zostało z jeansów Alice. Roy przyglądał się dziewczynie, która stała tam, nieruchoma i spokojna, z oczyma utkwionymi w dal. Zauważył, że Pete, z głową pochyloną ze skupieniem, zupełnie jej nie dotyka, nawet nie muska kłykciami jej skóry. Tylko postrzępione końcówki szortów ocierały się o jej uda i w tym momencie do Roya dotarło, że gapi się właśnie na te uda. Prędko przeniósł wzrok na własne spodnie, przyglądając się szczególnie symetrycznym mankietom, spod których wystawały sznurowadła jego grubych buciorów.

Kiedy Pete skończył ciąć, Alice wyciągnęła nogę z drugiej jeansowej rury, tak jak to zrobiła z pierwszą, podniosła obie rury i udrapowała je sobie na ręce, tak jak się drapuje ręczniki dla gości na wieszaku.

- Możemy już ruszać, Roy? - spytała, bez skrępowania zwracając się do niego po imieniu.

- Jasne - przytaknął.

Pete wstał sztywno i otrzepał kolana z ziemi.

- No to jedziemy - powiedział.

Carl pił kawę za barem, kiedy tam weszli. Roy spytał, czy widział gdzieś Artiego, nieledwie z nadzieją, że Carl powie, że nie widział. W barze było chłodno i mroczno, a Roy wcale nie miał ochoty uganiać się za kimś w skwarze późnego popołudnia.

- Jego chłopcy dopiero co tu byli, żeby się napić oranżady - poinformował go Carl. - Mówili, że jest u siebie, bo czyści żółwie. Potrzebujesz czegoś? - Carl przyglądał się Pete'owi i Alice.

- Tym ludziom zepsuł się wóz, jakieś dziesięć mil stąd. Pomyślałem, że może Artie ma pompę paliwową, która by im pasowała.

- Może i ma - zgodził się Carl. - Kto by taką miał, jak nie Artie? - Znowu zerknął na Pete'a i Alice. - Macie, ludzie, szczęście, że rozsypaliście się tutaj. Gdzie indziej tak nie pomagają.

- No to może tak po piwku? - spytał Pete. - Alice? Chcesz piwa?

Pokręciła głową.

- No to tylko jedno. Jakiegokolwiek, byle z beczki.

Carl uniósł brew i Roy wiedział, że się namyśla, czy chłopak nie jest przypadkiem nieletni. Roy nie miał pojęcia, ile lat ma Pete, i wcale go to nie obchodziło, ale przez chwilę się zastanawiał, kiedy po raz ostatni Carl obsługiwał gościa, który nie był stąd.

- Zaraz wracam - oznajmił Roy i ruszył na poszukiwanie Artiego.

Przez miasto przebiegał chodnik; Roy zdążył pokonać jego połowę, kiedy dogoniła go Alice.

- Hej - powiedziała. - Miałybyś coś przeciwko, gdybym się przyłączyła?

Roy pokręcił głową.

- Ten cały Artie ma jakiś zakład czy coś w tym stylu? - spytała. - Warsztat samochodowy?

- Nie. Tylko podwórko pełne silników.

- A jeśli nie będzie jej miał? Tej pompy paliwowej?

- To będziemy musieli się kopnąć do La Moure.

- To daleko?

- Jakies pół godziny. Może czterdzieści pięć minut.

Roy zauważył, że musi wydłużyć krok, żeby nadążyć za Alice, choć wcale mu się nie chciało tak maszerować w tym upale.

- Ten facet źle zrobił, że podał Pete'owi piwo.

- Carl? A bo co?

- Pete ma tylko siedemnaście lat.

- No cóż. To jego bar.

- A jednak źle zrobił, że mu sprzedał piwo. Jeszcze tego mi trzeba, żeby Pete pił o czwartej po południu.

Szli dalej i Alice rozglądała się dookoła, choć nie miała specjalnie czego oglądać. Przy ulicy nie było ani jednego sklepu czy lokalu, który nie byłby zabity deskami albo zamknięty, z wyjątkiem baru Carla i poczty. W Veronie nie mieli też już żadnego banku. Nawet nie mieli sklepu spożywczego.

Doszli do domu Artiego i Roy zauważył, że frontowe drzwi leżą na werandzie, obok sterty byle jak rzucanych tam kołpaków; pożałował, że Alice nie została u Carla, tak jak Pete. Nie chciał, by sobie pomyślała, że w Veronie wszyscy tak traktują swoje posesje. Jeden z chłopców Artiego wybiegł z domu i zatrzymał się na widok Roya i Alice na podwórku.

- Dobry, panie Menning - powiedział.

Roy uśmiechnął się, choć nie umiał sobie przypomnieć imienia chłopca. Tych chłopców było trzech, wszyscy

mniej więcej w tym samym wieku, wszyscy przyszytych na jeża domowym sposobem. I wszyscy mieli twarde, okrągłe brzuchy typowe dla dzieci, które jedzą dużo, ale jeszcze więcej biegają.

- Jest tu gdzieś twój tato? Czyści żółwie?

- Skończył dziś rano - wyjaśnił chłopiec. - Teraz naprawia piłę łańcuchową.

Artie wyłonił się z tyłu domu, wycierając ręce o jeansy, a chłopiec zniknął we wnętrzu, jakby na podwórku starczało miejsca tylko dla trzech osób. Wszyscy trzej chłopcy byli bardzo grzeczni. Każdy tak o nich mówił. Roy słyszał, że panicznie się boją ojca.

- Chciałem spytać, czy masz przypadkiem pompę paliwową do chevroleta trzysta pięćdziesiąt - zagaił Roy. - Jednym ludziom samochód się zepsuł za miastem.

Artie przyglądał się Alice z zainteresowaniem.

- Co mogę dla ciebie zrobić? - spytał, jakby Roy w ogóle się nie odezwał.

Alice zapewne się połapała, na czym polega zabawa, bo powtórzyła pytanie o pompę. Najwyraźniej nie odstręczyły jej ani długie włosy Artiego, ani też tatuaże, które niczym damskie rękawiczki pokrywały jego ręce po łokcie. Artie wyjechał z miasteczka, kiedy był nastolatkiem, prawie dziesięć lat później wrócił na pogrzeb swojego ojca, razem z chłopcami, włosami i tatużami. Roy go nie lubił, ale odkąd w Veronie przestała istnieć stacja benzynowa, Artie był kimś najbardziej zbliżonym do mechanika.

- Mam części od chevroleta, ale tylko do takiego. - Artie wskazał niewielkiego sedana z wymontowanymi kołami, ustawionego na czterech bierwionach. Maskę sprawiała takie wrażenie, jakby ktoś ją podniósł wiele lat wcześniej i tak już zostawił.

- Jesteś pewien? - spytał Roy, ale Artie go zignorował i po prostu zapytał Alice, skąd jest.

- Z Montany.

- A dokładnie gdzie z Montany?

- Z Fort Peck. To pod samą granicą.

- Znam je - powiedział Artie. - Zaraz przy rezerwacie.

- Prawda.

- Ja pierniczę. Ty chyba nie jesteś jakąś *squaw* czy coś tam?

- Nie.

- No myślę. Bo jakby co, to lepiej się nie interesuj moim skalpem, dobra? - Artie uśmiechnął się, ale to był nienaturalny, niemalże bolesny uśmiech, jakby w kącik jego ust wbił się haczyk od wędki i ktoś teraz za niego ciągnął.

- Skoro nie masz tej części, to w takim razie jedziemy do La Moure - oświadczyła Alice, wprawiając Roya w podziw, bo wyraziła ten zamiar takim tonem, jakby to był jej autorski pomysł. Jakby miała jakiegokolwiek pojęcie, gdzie jest La Moure.

- Nie, dzisiaj już nie ma po co - odparł Artie. - Wszystko będzie zamknięte, zanim tam dojedziecie.

Alice zerknęła na Roya i było widać, że osłabła pod wpływem tej informacji. Roy zauważył, że Pete przyciął jej jeansy nierówno i że spod prawej nogawki wystaje kawałek sfatygowanego, szarego płótna wyściełającego kieszeń. Ta kieszeń zresztą obwisała ciężko, jakby Alice nosiła w niej mnóstwo pieniędzy. Royowi nie spodobał się pomysł, że Artie byłby zdolny stwierdzić, co Alice nosi w kieszeniach. Nie podobał mu się sposób, w jaki Artie patrzy na Alice.

- W takim razie pojedziemy do La Moure jutro - za-

decydował, ale zanim Alice zdążyła mu odpowiedzieć, znowu wtrącił się Artie.

- Jesteś podobna do takiej jednej, z którą się poznałem w Beaumont w Teksasie.

Alice spojrzała na niego, ale nic nie powiedziała.

- Nie grasz na flecie, co? - ciągnął.

- Nie - odparła. - Nie umiem.

- Pytam, bo ta dziewczyna z Beaumont grała na flecie. Tak wyglądasz, jakbyś była jej siostrą. Aż się zdziwiłem. Powiedziałaś, że jak masz na nazwisko?

- Sysk.

- A jak to się pisze?

- S-Y-S-K.

- Sysk. - Artie gwizdnął. - No proszę, słowo, za które dostałabyś z tysiąc punktów w scrabblach.

- Ale to przecież nie jest jakieś normalne słowo - wskazała Alice.

- Dla mnie tam brzmi normalnie - stwierdził Artie.

Roy uznał, że na nich już czas. Podziękował Artiemu, który z kolei zapytał, kiedy już opuszczali podwórko:

- Siedzicie wszyscy u Carla?

- Ale już niedługo - odparł Roy.

- Posprzątam tu i wpadnę.

- Powiedziałem ci, że nas już wtedy pewnie tam nie będzie.

- No to ja tam do was dobiję - obiecał Artie i przestąpił przez kołpak, by wejść do domu, przez siatkowe drzwi, które tak wściekle go chroniły.

Pete zaklął, kiedy usłyszał wieści.

- Będziemy musieli zatrzymać się u ciebie na noc - oświadczył Royowi.



- Cholera jasna, ale z ciebie cham - stwierdziła Alice, a Pete w odpowiedzi przeszedł na drugą stronę baru, żeby przeczytać listę piosenek na szafie grającej, niepodłączanej do prądu od czasu, kiedy Carl kupił kuchenkę mikrofalową.

- Ależ oczywiście zapraszam do siebie - powiedział Roy. - Miejsca jest mnóstwo.

- Prześpimy się w wozie. Pete to idiota. Chamowaty idiota.

Roy zamówił dla Alice kanapkę, a dla siebie piwo. W barze panowała cisza jak w bibliotece.

- Czym się zajmujesz? - zapytała Alice.

- Ja? Zimą jeżdżę pługiem śnieżnym, a latem kombinuję.

- Nie jesteś farmerem?

- Już nie.

Carl przyniósł Royowi piwo i odegnał gestem jego dolara, ale Roy złożył banknot i wsunął go pod pojemnik z serwetkami, kiedy Carl się odwrócił.

- Lubisz to robić? - spytała Alice.

- Jasne. Kiedy odśnieżam, zawsze znajduję takich, co utknęli.

Alice parsknęła śmiechem.

- I też ich ratujesz?

- Zawsze mam przy sobie stos czasopism.

- Po co?

- Każę im siedzieć w samochodach i czytać te czasopisma, dopóki nie nadejdzie pomoc. Dzięki temu mają coś do roboty. Bo w przeciwnym razie nie potrafią usiedzieć na miejscu, postanawiają się przejść i wtedy właśnie umierają.

- Od chodzenia.

- Po śniegu.
- Z nudów. Umierają, bo im się nudzi. Super. Gdybyśmy dzisiaj zaczęli iść, to tylko byśmy się zgrzali.
- Zawsze lepiej zostać przy samochodzie - powiedziała Roy i Alice mu przytaknęła.
- Jesteś żonaty? - spytała.
- Moja żona umarła na zawał, tej zimy będzie dwa lata.

Alice nie powiedziała, że mu współczuje, tak jak to zazwyczaj robili inni ludzie, więc Roy nie musiał mówić, że to nic takiego, jak to zazwyczaj robił.

- Ja postanowiłam, że zostanę pielęgniarką - oznajmiła Alice. - Być może.

- Powiadasz?

- Tak. Jadę na Florydę do szkoły pielęgniarskiej. Pete jedzie ze mną, żeby dopilnować, czy ze mną wszystko w porządku, i pracować, w razie gdybym potrzebowała pieniędzy.

- To miło.
- Mama kazała mu jechać.
- Ach tak.
- Masz dzieci?
- Córkę. Ma trzydzieści dwa lata.
- Mieszka tu gdzieś?
- Pracuje w Minneapolis. Jest modelką, pozuje do katalogów i czasopism.
- Musi być piękna.
- Bo jest.
- Też chciałabym to robić, ale mam za duży nos.
- Ja tam się na tym nie znam.
- Pewnie robi mnóstwo pieniędzy.
- Owszem.

- Często cię odwiedza?
- Raczej nie - wyznał Roy. - Przestała po śmierci swojej matki.
- Powiem ci, jaki zawód jest świetny - powiedziała Alice. - Fotograf.
- O tym to wiem tyle co nic.
- Ja też niewiele. - Alice obejrzała się za siebie, na Pete'a i szafę grającą, na wysoką kasę. - Ten cały Artie to niezły artysta - stwierdziła.
- Znałem jego ojca.
- To jakaś ofiara losu, mam rację?
- Nie wiem.
- Przypomina mi mojego brata. Mojego najstarszego brata. Z tymi tatuażami i w ogóle. Wszyscy moi bracia są durni, ale ten najstarszy to ci mówię, jest jak opóźniony w rozwoju. Weź to, na przykład. Kiedy służył w wojsku w Niemczech, jego dziewczyna tu w kraju zaszła w ciążę. No więc co zrobiła? Wysłała mu list, w którym napisała: „Bardzo za tobą tęsknię, chciałabym mieć z tobą dziecko”. I jeszcze: „Gdybym miała z tobą dziecko, to ono przypominałoby mi ciebie i nie byłabym taka samotna”. A musisz wiedzieć, Roy, że brat od zawsze chciał się ożenić z tą dziewczyną. No więc przysłała mu pornosa oraz pusty słoik po musztardzie i kazała mu... nie wiem, jak to powiedzieć... no zrobić to do słoika i odesłać jej ten słoik, żeby ona mogła zająć w ciążę. Rozumiesz?
- Rozumiem - powiedział Roy.
- No więc mój brat, kompletny idiota, zrobił to. A potem jej uwierzył, kiedy napisała do niego, że spodziewa się ich dziecka. Potrafisz w to uwierzyć?
- To twój najstarszy brat? - spytał Roy.
- Tak. Debil. Cały świat wiedział, że to był szwindel,

i niektórzy nawet mu to mówili w twarz, ale on wierzy jej do dzisiaj. Nawet ja mu powiedziałam, że ona go zrobiła w konia, ale on i tak jej wierzy. Nadal wierzy, że to jego dziecko. Jakby z tego, co jej przesłał z Niemiec do Montany, po nie wiadomo ilu dniach w paczce, mogło powstać dziecko.

Roy nie miał pojęcia, jak to skomentować, więc tylko przytaknął.

- Przepraszam - powiedziała Alice. - To było ohydne.

- Nic nie szkodzi.

- Ale to dowodzi, jaką ja mam durną rodzinę. A raczej braci.

- No cóż. I tak niezła historyjka.

- Nie nabijaj się ze mnie.

Do baru wszedł Artie. Związał włosy w kucyk i włożył zieloną baseballówkę z jakimiś inicjałami. Miał koszulkę zapinaną na białe zatrzaski i kiedy przechodził przez snop promieni słonecznych, zaświeciły niczym mętne, idealnie kształtne perły.

- Wygląda na to, że masz nowe towarzystwo - powiedział do Carla, siadając obok Alice. - Goście z dalekiej Montany.

- Twoje chłopaki były tu dzisiaj - zauważył Carl.

- Naprzykrzali się?

- Powiedzieli mi, że nałapałeś żółwi, to wszystko.

- Jeśli będą kiedyś tu rozrabiali, to tylko mi powiedz.

- Lepiej mnie zaprosz na zupę - powiedział Carl, a Artie zwrócił się do Alice:

- Lubisz żółwie?

- Żółwie? Nigdy nie jadłam.

- Może cię zaproszę. Może by ci zasmakowały.

Alice obróciła się w stronę Roya.

- Mój drugi z kolei najstarszy brat ma na imię Judd i też nie jest geniuszem. Dał nogę i przez trzy lata nie mieliśmy od niego żadnych wiadomości. Myśleliśmy, że nie żyje. A potem jednego popołudnia matka odbiera telefon...

- Już ci opowiada historię swojego życia? - spytał Artie Roya, ale Alice ciągnęła swoje.

- No więc odebrała telefon i to był Judd. „Cześć, mamó. Jestem w New Jersey w ośrodku rekrutacyjnym i ta miła pani tutaj mówi mi, że będę dostawał trzy posiłki dziennie i nowe ubranie, jeśli zaciągnę się do wojska. No więc powiedz mi, mamó”, mówi Judd, „jaki ja mam numer ubezpieczenia?”

- I jaki był ten numer? - spytał Artie.

- I tak oto Judd się zaciągnął - ciągnęła Alice, ignorując go. - Moja mama mówi, że wojsko to jedyne przytulisko dla takich durniów jak mój brat. Gdyby Pete nie jechał ze mną na Florydę, to pewnie też by wylądował w wojsku.

- Byłem na Florydzie - pochwalił się Artie. - Pracowałem tam na łodzi rybackiej. Mieszkałem w takim jednym różowym domu. Nad samym oceanem.

- No co ty nie powiesz - rzuciła Alice.

Carl przyniósł jej kanapkę; zjadła połowę, zanim znowu się odezwała.

- Wychodzą mi zęby mądrości. Tobie wyrosły? - spytała Roya.

- Wyrosły - powiedział Artie. - Boli jak jasna cholera, ale nie ma mądrości bez bólu. - Zaśmiał się, pojedynczym, ostrym wybuchem, niczym silnik na mrozie, a potem spytał Alice: - Dlaczego się obcinasz na krótko?

- Bo tak mi się podoba - wypaliła.  
- Dziewczyny powinny mieć długie włosy.  
- A chłopaki powinni mieć krótkie włosy. - Wskazała jego kucyk.

- Kot ci nadepnął na język, co?  
- Nie rozumiem, co to znaczy.  
- Że jesteś pyskata i tyle - odrzekł Artie i w tym momencie przy barze wyrósł jak spod ziemi Pete.

Roy połapał się, że pewnie cały ten czas stał za nimi i tylko czekał.

- Nie odzywaj się tak do mojej siostry - powiedział Pete.

Artie znowu się zaśmiał, tym samym pojedynczym, mechanicznym wybuchem.

- Proszę, mamy tu Billy Kida - burknął. - Taki młody, a już twardziel.

- Wal się, koleś - odparował Pete. - Powiedziałem, że masz się tak nie odzywać do mojej siostry.

- O Boże! - jęknęła Alice.

Dziewczyna zsunęła się ze swojego stołka i usunęła z drogi, jakimś sposobem przewidziawszy, co zaraz nastąpi. Roy nie miał tak szybkiego refleksu. Pete wyprowadził cios i uderzył Artiego, a ten całym ciałem zatoczył się na ramię Roya. A potem Pete stał tylko spokojnie, nie przyjmując postawy obronnej, gdy tymczasem Artie wstał, potrząsnął raz głową i wyprostował swoją czapkę. Z wyćwiczoną precyzją zamierzył się i uderzył Pete'a w środek twarzy, po czym przyglądał się, jak chłopak leci w tył, po idealnej przekątnej, na koniec zahaczając głową o kant baru. Trzask był głośniejszy niż jakikolwiek inny dźwięk słyszany w tym wnętrzu przez całe popołudnie. Po czym znowu zaległa cisza.

Ku zdziwieniu Roya Alice podeszła najpierw do niego, wręcz przestąpiła ponad ciałem brata, żeby dotknąć tego obolałego miejsca na jego ramieniu, na które wcześniej upadł Artie.

- Nic ci się nie stało? - spytała.

Roy potrząsnął głową.

- Strasznie mi głupio - powiedziała.

- Twój brat powinien trzymać głębę na kłódkę - oświadczył Artie.

- A ja wolałabym, żebyś ty się do mnie nie odzywał. - Alice mówiła cicho i nawet nie patrzyła na Artiego. - Naprawdę chciałabym, żebyś zostawił mnie w spokoju.

W tym momencie wtrącił się Carl, bez cienia złośliwości czy zdenerwowania:

- Lepiej idź już sobie do domu, Art. - Powiedział to w taki sam sposób, w jaki lekarz Roya powiedział rok wcześniej: „Lepiej przestań jeść sól”. Powiedział to w taki sam sposób, w jaki żona Roya mówiła kiedyś Emmie: „Lepiej dziś rano włóż ten ciepły płaszcz”. To był taki cichy, spokojny rozkaz.

I Artie rzeczywiście sobie poszedł, jakby został skarcony przez własnego ojca; klął bezgłośnie, ale był posłuszny.

Carl ukląkł obok Pete'a.

- Nic mu nie będzie - orzekł. - Nic więcej oprócz wielkiego siniaka.

- Strasznie mi głupio - powtórzyła Alice, a potem jeszcze spytała: - Możemy go gdzieś zabrać, jak myślicie?

- Pojedziemy do mnie - powiedział Roy. Wstał i stwierdził ze zdziwieniem, że bardzo drżą mu nogi; musiał na kilka chwil oprzeć się o bar, zanim znowu mógł iść. Wszyscy troje do spółki podźwignęli Pete'a z podłogi

i na poły wynieśli go za drzwi, a potem po schodkach do samochodu Roya.

- Połóżcie go na tylnym siedzeniu - poinstruował ich Roy.

- Ale co z jego nosem? - zauważyła Alice. - Wszystko zakrwawi.

- Nic nie szkodzi.

Kiedy wsunęli Pete'a do samochodu, ten na chwilę otworzył oczy, z trudem skupił się na twarzy Alice i powiedział:

- Mama mi mówiła...

- Zamknij się, Pete. Będziesz tak miły i zamkniesz się? - przerwała mu Alice i Roy pomyślał wtedy, że ona zaraz się rozpłacze, ale wcale się nie rozpłakała.

- Masz więcej, niż się spodziewałeś, Roy - powiedział Carl i się roześmiał.

- Nawet sobie nie wyobrażasz, jak mi głupio z powodu tego zajścia - znowu przeprosiła Alice, ale Roy tylko podprowadził ją na stronę pasażera i pomógł jej wsiąść do samochodu, tak samo jak pomógł Pete'owi.

Pojechali. Poza granicami Verony słońce właśnie skończyło zachodzić, bezceremonialnie, bezbarwnie, bez żadnego wysiłku. Mimo że już zmierzchało, nadal panoszył się upał. Alice znowu przeprosiła, a Roy ją zapewnił, że to nie jej wina.

- Wszyscy moi bracia to idioci, wszyscy bez wyjątku. Moja mama mówi, że jestem jedyna w całej rodzinie, która umie sobie poradzić ze użytą chusteczką do nosa.

- Ilu masz tych braci? - spytał Roy. Pytanie wydało mu się głupie, zważywszy na okoliczności, ale Alice odpowiedziała mu natychmiast.



- Pięciu - odparła. - Steven, Lenny, Judd, Pete, Eddie.

- I ty.

- I ja. Wszyscy są w wojsku z wyjątkiem Pete'a i Eddiego, bo są za młodzi. Eddie ma tylko sześć lat. Moi bracia nie potrafią zrobić niczego dobrze.

Jechali w milczeniu między polami słoneczników. Roy chciał powiedzieć Alice, że rankiem słoneczniki zawsze obracają się ku wschodowi, a o zmierzchu ku zachodowi. Uznał, że to mogłoby ją zainteresować albo wręcz jej pomóc, gdyby kiedykolwiek się zgubiła w Dakocie Północnej. Alice jednak wyraźnie nie miała ochoty na rozmowę, dlatego zatrzymał to dla siebie. Bez żadnego komentarza minęli białego pick-upa, porzuconego na poboczu, i Alice dopiero wtedy znowu się odezwała:

- Mój najmłodszy brat, Eddie, omal nie umarł zeszłego roku - powiedziała. - Naprawdę mało brakowało. Nocował u sąsiadów, u których wybuchł pożar. Wszyscy oprócz niego wybiegli na zewnątrz i kiedy strażacy weszli do tego pokoju, Eddie ukrył się pod łóżkiem. Zauważył maskę tlenową i wymyślił sobie, że przyszedł po niego jakiś potwór.

- To straszne.

- Wszystko skończyło się dobrze. Znaleźli go i w ogóle, nic mu się nie stało. Ale kiedy mi o tym opowiedzieli, to najpierw sobie pomyślałam, że mój brat jest jeszcze taki mały, a już głupek. Ma tylko sześć lat, wiem, ale żeby się ukrywać przed strażakiem podczas pożaru... Chodzi o to, że gdyby umarł, to nie pomyślałabym, że jest głupi. Po prostu bym za nim tęskniła. To chyba wielka różnica między tym, że ktoś prawie umarł, a tym, że ktoś naprawdę umarł.

Jesteś jeszcze młoda, więc możesz tak myśleć, omal nie powiedział Roy, ale nawet dla niego brzmiało to zbyt gorzko, więc się nie odezwał.

Jechał znajomą drogą i rozmyślał o pustych, zrujnowanych domach ludzi, wśród których dorastał, ludzi, których już nie było, bo umarli albo prawie umarli. Co dla Roya było prawie tym samym. Sama Verona była już prawie martwa, podobnie jak niezliczone inne znane mu miasteczka. Rozmyślał o swojej żonie, która dwa razy prawie umarła, zanim zabił ją ostatni zawał. „Zimno mi”, powiedziała jego żona, po tym jak przeszła bez butów i płaszcza po styczniowym śniegu do garażu, gdzie Roy polerował ich stół do jadalni. „Zimno mi”, powiedziała i potem umarła, nie prawie, ale naprawdę. A teraz i Roy, z siniakiem na ramieniu, z nieprzytomnym chłopcem na tylnej kanapie samochodu, który kupił jeszcze dla swojej żony, z dziewczyną siedzącą obok, która miała o połowę lat mniej niż jego córka, tak się czuł, jakby on też był bardzo blisko śmierci, jakby już prawie umarł.

Alice, jakby cały czas czytała mu w myślach, przysunęła się przez środkowe siedzenie i położyła dłoń na jego dłoni. To był dotyk matki, kochanki, córki, a Roy aż westchnął i mimowolnie opuścił głowę na pierś, bo minęło tyle czasu, odkąd ktoś go tak dotykał. Zamknął oczy. Alice wyciągnęła rękę do kierownicy i Roy jej na to pozwolił, bo wiedział, że droga jest prosta i bezpieczna, że na razie będzie lepiej, jeśli to ona poprowadzi.

- Nie przejmuj się - powiedziała, sięgnęła ręką pod kierownicę i zapaliła reflektory. Jeszcze nie było ciemno, ale dzięki tym światłom mogli widzieć każdego, kto jechał na wschód, albo każdego, kto obserwowałby ich przejazd po pustkowiach Dakoty Północnej.

## Strzelanie do gołębi

Gazownia" Johnson przyjechał po Tannera Rogersa tuż przed dwunastą w południe. Zapukał do drzwi Rogersów i potem czekał, krążąc nerwowo po werandzie i przyglądając się stolarce. Jego pies, Snipe, chodził za nim krok w krok, utykając jak człowiek, któremu uwięzła kula w kręgosłupie. W końcu do drzwi podeszła matka Tannera, Diane. Jej piękne włosy koloru blond były odgarnięte gładko do tyłu.

- Diane - powitał ją Gazownia.

- Gazownia.

- Będę dziś strzelał do gołębi. Chciałbym zabrać z sobą Tannera.

Diane uniosła brwi. Gazownia czekał na odpowiedź, ale nie udzieliła mu żadnej.

- Myślę, że to by mu się spodobało - podjął temat Gazownia. - Na pewno chciałby zobaczyć, jak się strzela do gołębi.

- Nic z tego - oświadczyła Diane.

- Kiedy naprawdę chciałbym go zabrać. Przez wzgląd na jego ojca.

- Nigdy nie był na strzelaniu. Ze swoim ojcem też nie.

- O co chodzi, Diane? Wprowadziłaś u siebie jakąś zasadę czy jak?

- Możliwe.

- No coś ty, Diane.

- Dla mnie strzelanie do gołębi to obrzydlistwo najgorsze na świecie. Autentycznie. Nie znam nic obrzydliwszego niż strzelanie do gołębi.

- Kiedyś to uwielbiałaś.

- Nigdy tego nie uwielbiałam. Nigdy, nawet przez chwilę.

- Ale jeździłaś na strzelanie.

- Faktycznie jeździłam. Ale nigdy tego nie uwielbiałam.

- Ed to uwielbiał.

- Tanner nie pójdzie - znowu oznajmiła Diane. - Jego to w ogóle nie interesuje.

- Są tacy ludzie, którzy kochają Eda. Chłopak powinien poznać ludzi, którzy kochają jego ojca. To zdrowe dla małego chłopca, żeby poznawał takich ludzi.

Diane nic nie powiedziała.

- Dzisiaj strzelam za Eda - dodał Gazownia. - Dopóki nie znajdą kogoś, kto go zastąpi na stałe. Albo dopóki Ed nie wydobrzeje.

- To ładnie z twojej strony.

- Mam dryg do strzelania, Diane. Kiedy byliśmy młodzi, miałem cholernie dobrego cęla.

- I dobrze.

- Ale oczywiście nie dorównuję Edowi.

- Ile gołębi zamierzasz dzisiaj zabić?

- Dużo. - Gazownia uśmiechnął się. - Zamierzam ukatrupić mnóstwo gołębi. I dopilnuję, żeby Tanner też zabił całe tony gołębi.

Diane przytaknęła mu ze znużoną miną.

- A co tam, zabiję tyle gołębi, że starczy ich na kurtkę dla ciebie - powiedział i wtedy Diane wreszcie się uśmiechnęła. Gazownia Johnson uśmiechnął się jeszcze szerzej. - A może tak to załatwimy, Diane? Ty mi pozwolisz zabrać tam twojego syna, a my ci w zamian przywieziemy piękną kurtkę podbitą gołęmbim puchem.

Diane przeniosła spojrzenie z Gazowni Johnsona na Snipe'a, który próbował się ułożyć na werandzie i wyraźnie miał z tym trudności.

- Co się stało twojemu psu? - spytała.

- Zestarzał się.

- Beznadziejnie wygląda. Jakby coś go przejechało.

- Jest po prostu stary.

- To nie jest miejsce dla psów - stwierdziła Diane. - Ani dla psów, ani dla dzieci. Psy mogą oberwać przez pomyłkę.

- Nie. Tam się strzela do gołębi. Nikt tam jeszcze nigdy nie postrzelił ani psa, ani dziecka.

- Ed zastrzelił raz psa za to, że gonił za postrzelonymi ptakami.

- Nic mi o tym nie wiadomo. - Gazownia wyjął chusteczkę i wydmuchał nos.

- Może tak wejdiesz do środka? - spytała Diane.

- Nie, nie będę ci przeszkadzał.

Snipe położył się obok pary roboczych butów leżących przy schodkach i zaczął gryźć własny ogon. Łeb miał równie wielki i brązowy jak jeden z tych butów, a gryząc ogon, patrzył na Diane. Jego pysk był całkowicie pozbawiony wyrazu.

- Ile on ma lat? - spytała Diane.

- Jedenaście.

- Tyle samo co mój Tanner.
- Mam nadzieję, że twój chłopak trzyma się lepiej niż mój pies.

Diane znowu się uśmiechnęła. Chwilę na siebie patrzyli, po czym Diane spytała:

- Byłeś u Eda w szpitalu?
- Dziś rano.
- On ci kazał tu przyjść i mnie sprawdzić? Tak to było?

- Nie.
- Chciał, żebyś spędził trochę czasu z Tannerem?
- Nie.
- No to co mówił?
- Ed? Ed powiedział: „Uważasz, że nie ma to jak pierwszy poranny papieros? To zaczekaj, aż ci założą potrójne by-passy, i wtedy sobie zapal”.

Tym razem Diane już się nie uśmiechnęła.

- Mnie też powiedział ten dowcip - odparła. - Tyle że ja nie palę.

- Ja też nie. Ja żuję.

- No popatrz - odparła Diane. - A ja piję.

Gazownia spojrział na swoje dłonie. Długo się przyglądał kciukowi.

- Masz coś na brodzie - zauważyła Diane. - Okruch czy coś tam.

Startł to coś.

- Możliwe, że zostało z grzanki - powiedział.
- Wyglądało raczej jak jakiś kłak.
- A co teraz robi Tanner, Diane? No zgódź się, Diane. Wystarczyłoby, gdybyś poszła spytać syna, czy chciałby wziąć udział w prawdziwym strzelaniu do gołębi.

- Ty to jesteś prawdziwy optymista, Gazownia. Cały ty.

- No zgódź się, Diane. Co on teraz robi?
- Chowa się przed tobą.
- Będzie zachwycony - powiedział Gazownia. - No chyba że ktoś go postrzeli...
- Może wcale nie będzie chciał iść - stwierdziła Diane, na co Gazownia odparł:
- Spytaj go. Po prostu go spytaj.

Nieco później Tanner Rogers i Gazownia Johnson jechali przez miasto pick-upem Gazowni. Chłopiec był ubrany w grubą, zimową kurtkę, czerwoną czapkę myśliwską i wysokie, sznurowane buty. Był nieśmiały i dopiero po jakimś czasie odważył się zadać Gazowni pytanie, nad którym skrycie się biedził.

- A prawo tego nie zabrania? Znaczy się strzelania do gołębi?

- Nie - odparł Gazownia. - Strzelanie do gołębi nie jest nielegalne. Nielegalne jest obstawianie ludzi, którzy strzelają do gołębi.

- To jak jest z moim tatą?

- Z twoim tatą? No przecież on nie gra na zakładach. On tylko strzela do gołębi. Wszyscy obstawiają tych, którzy strzelają. Rozumiesz? Wszyscy się zakładają na twojego ojca, zgadując, ile gołębi potrafi zestrzelić. Twój tato nie musi się zakładać.

- A pan?

- Ja tam się zakładam jak opętany. A ty?

Tanner wzruszył ramionami.

- Ile pieniędzy masz przy sobie, synu?

Tanner wyjął z kieszeni garść monet oblepionych paprochami.

- Dolara i osiemnaście centów.

- Postaw je wszystkie - poradził Gazownia. A potem się zaśmiał i zagrział: - Podwój je! - Uderzył dłonią w kierownicę. - Podwój je! Potrój! Ha!

Snipe szczeknął raz, głuchym szczekiem psa myśliwskiego. Gazownia obrócił głowę i spojrział na Tannera, nagle spoważniały.

- Powiedziałaś coś, chłopcze?

- Nie - zaprotestował Tanner. - To nie ja, tylko pana pies.

Gazownia wychylił się do przodu i przetarł rękawem przednią szybę.

- Synu, ja sobie tylko żartowałem. Przecież wiedziałem, że to mój pies zaszczał.

- Jasne - odparł Tanner. - Ja też wiedziałem.

- Mądry chłopak. Obaj sobie trochę pożartowaliśmy, racja?

- Jasne - powiedział Tanner. - Jest OK.

Kiedy wyjeżdżali z miasta, Gazownia zatrzymał się przy sklepie spożywczym Milesa Spivaka, żeby kupić naboje do strzelby. Za ladą stał sam Miles, wyglądał posępnie i staro. Znalazł naboje, o które prosił Gazownia.

- Miles! - krzyknął Gazownia. - Strzelam dzisiaj za Eda Rogersa. Powinieneś chociaż raz się tam przejechać. Rozerwałbyś się, Miles! Popatrzyłbyś na piekielnie dobre strzelanie w moim wydaniu.

Miles powoli omiótł wzrokiem sklep, jakby się spodziewał, że zza jego pleców zaraz się ktoś wyłoni.

- Mowy nie ma, Gazownia. Wiesz przecież, że jestem sam w sklepie. Wiesz, że nie mogę jechać.

- Ale dzisiaj ja strzelam, Miles! Warto zamknąć wcześniej z tego powodu. Kiedyś byłem cholernie dobrym strzelcem.



Miles zaczął się zastanawiać.

- Znasz chłopaka Eda? - Gazownia położył swoją wielką dłoń na głowie Tannera.

- Sam mam pięciu chłopaków. Ostatni urodził mi się nie dalej jak dwa miesiące temu. To była cesarka. Widziałeś kiedy cesarkę? - spytał Miles Tannera.

- Zlituj się, Miles - jęknął Gazownia. - To przecież jeszcze dzieciak.

- Podwiązali jej tam jajowody, więc już nie będziemy mieli więcej dzieciaków. To jest dopiero widok, twoja własna żona cała taka rozerżnięta. Kobiety to mają niezłą mechanikę w środku, zupełnie kieszonkową. Widziałeś kiedyś te wężyki? Znaczą się jajowody?

- Boże święty, Miles - znowu upomniał go Gazownia. - Uwierzyłybyś, gdyby ten dzieciak ci powiedział, że je widział?

- Cudeńka - ciągnął swoje Miles. - Powiadam, takie maluśkie cudeńka.

- Zabieramy się stąd, Tanner - zarządził Gazownia. - Mamy tu świra!

Ruszyli w stronę drzwi, a Miles pożegnał ich okrzykiem:

- Moja żona jest wspaniałą kobietą!

- Powiem ci coś na temat tego gościa - rzucił Gazownia, kiedy już byli na zewnątrz. - Jest za głupi, by mrugnąć obiema powiekami naraz.

Kiedy już siedzieli w wozie, Gazownia wyjął pudełko z nabojami z kieszeni i dokładnie przeczytał treść etykiety.

- Cholera - mruknął. - Nie wiem. - Obrócił pudełko w dłoniach i jeszcze raz przeczytał etykietkę.

Tanner odczekał chwilę i spytał:

- Jaką pan ma broń?  
- Kaliber dwanaście. - Spojrzał na chłopca. - Znasz się na tym?

- Mój tato ma dubeltówkę kaliber osiemnaście.

- Szesnaście - poprawił go Gazownia, chowając pudełko do kieszeni. - Ed ma dubeltówkę kaliber szesnaście. Minęło dużo czasu, synu. Powiem ci to prosto w oczy. Minęło cholernie dużo czasu, odkąd ostatni raz strzelałem. - Gazownia westchnął, a potem jeszcze raz walnął dłonią w kierownicę. - Hej! A co tam! To nawet nie moja strzelba! To strzelba Dicka Claya! Ha!

Snipe znowu szczerknął.

- Ja nic nie mówiłem - zażartował Tanner.

- Ha! - Gazownia walnął się dłonią w kolano. - Ha! Złapałeś dowcip, synu! Zrozumiałeś! - Zapuścił silnik i wyjechał z parkingu. - To dobrze, że ci się spodobał dowcip, bo dzisiaj jedziemy na wielki ubaw, bez dwóch zdań. Jak czegoś nie wiesz, to zaraz mnie pytaj.

- Dlaczego nazywają pana Gazownia? - spytał Tanner.

- Bo ja tak pierdzę - palnął Gazownia bez wahania. - Jestem jak istna sieczkarnia. Albo lodołamacz. Ale teraz już ze mną lepiej, nie tak jak dawniej. Dałem sobie spokój z nabiąłem.

- Mój tato też pana tak nazywa?

- Tak.

- Mama też pana tak nazywa?

- Tanner - powiedział Gazownia. - To był taki konsens. Wiesz, co to jest konsens?

- Nie.

- No więc to właśnie był konsens - wyjaśnił Gazownia.

Przy następnym znaku stopu Gazownia opuścił szybę i wrzasnął do jakiejś rudowłosej kobiety na chodniku:

- Ej, ty tam! Ej, ty, smakowity naleśniczku!

Kobieta uśmiechnęła się i machnęła ręką, takim ruchem, jakby wyrzucała papierek od cukierka.

- Ej, ty! Ej, ty, porcyjko frytek! Ej, ty, szarlotko z lodami!

Kobieta posłała mu pocałunek i szła dalej.

- Do zobaczenia, ślicznotko! - wrzasnął Gazownia Johnson, zasunął szybę i powiedział do Tannera: - To moja dziewczyna. Uwierzysz, że ma pięćdziesiąt lat? Kto by się domyślił?

- Ja ją chyba znam ze szkoły - odparł nieśmiało Tanner.

- Możliwe - stwierdził Gazownia. - Możliwe, bo ona czasami uczy w zastępstwie. Wygląda świetnie, nie uważasz? Przystojna kobieta. W życiu byś się nie domyślił, ile ma lat, prawda? Dopóki jest ubrana, racja?

Tanner zaczerwienił się i pochylił, by poklepać Snipe'a po łbie. Pies obudził się i sapnął z wdzięcznością, wionąc gorącym, cuchnącym oddechem.

Mężczyzna i chłopiec jechali dalej, nic nie mówiąc. Wyjechali z miasteczka na szosę, która biegła obok wysypiska śmieci, cementarza, farm, pola kukurydzy, przy którym stał wóz strażacki. Po jakimś czasie skończył się asfalt i wkrótce koła ich wozu zaterkotały hałaśliwie na szerokiej kracie zagradzającej drogę bydłu. Gazownia jechał dalej, samotną polną drogą. Znienacka skręcił w lewo, na drogę biegnącą do kopalni, powoli pokonując głębokie koleiny, wyżłobione albo przez koła samochodów, albo przez wodę. W pewnym miejscu linia drzew urwała się nagle i wtedy wyjechali na skraj rozległej, płaskiej niecki

pełnej kamieni i błota, prymitywnego grobowca po zlikwidowanej kopalni odkrywkowej.

Stało tam już kilka pick-upów, ustawionych w równym szeregu niczym pojazdy w kolejce do okienka z fast-foodem. Mężczyźni rozmawiali w małej grupce, rozkopując kamyki, psy kłębiły się przy ich ubłoconych butach. Gazownia i Tanner wysiedli z wozu. Snipe z wyraźnym bólem pokuśtykał ich śladem.

- Hej! - Gazownia pozdrowił Dicka Claya. - Robić zakłady!

- Nie da się - odparł Dick. - Nie ma ptaków. Willis musiał zamknąć interes.

- Kto mu kazał? Kto, do jasnej cholery?

- No... - Dick zawahał się. - Władze mu kazały.

- I masz - powiedział Gazownia. - Czuję się jak zadek, któremu ktoś dał klapsa.

- Zdarza się. - Dick wzruszył ramionami.

- Wcale że nie, od dwudziestu lat ani razu się nie zdarzyło - wskazał Gazownia. - Naprawdę władze kazały Willisowi zamknąć interes? Ja cię kręcę. Jakie znowu cholerne władze?

Pozostali mężczyźni popatrzyli po sobie. Jeden z nich kaszlnął i powiedział:

- Normalni policjanci, którzy robili, co do nich należy.

- Normalne, poczciwe chłopaki - dodał inny. - Chociaż raz ktoś pilnował prawa.

- Strzelanie do gołębi nie jest zabronione - zauważył Tanner.

Mężczyźni spojrzeli na niego.

- Gazownia? - spytał cicho Dick Clay. - To chłopiec Eda Rogersa?

- A owszem. - Gazownia znowu położył swoją wielką dłoń na głowie Tannera.

- Ed nie chce, żeby jego chłopak tu był, Gazownia - powiedział Dick.

- To nieprawda, Dick. To Diane nie chce, żeby chłopak tu był.

- A co ty zrobiłeś? Porwałś go?

- Zaprosiłem - odparł Gazownia. - Zaprosiłem, żeby tu przyjechał i popatrzył, jak zastępuję jego staruszka. Zaprosiłem, żeby tu przyjechał i popatrzył na mnie, jak strzelam do ptaków za jego ojca.

Mężczyźni popatrzyli na siebie, popatrzyli na swoje buty, popatrzyli na swoje psy.

- Przyjechałem tu strzelać do gołębi i, przysięgam na Jezusa, będę do nich strzelał - ciągnął swoje Gazownia. - Złożę wizytę Willisowi. Dowiem się, co to za granda. Dowiem się, o co tu idzie. Władze kazały mu zamknąć interes. Sprawdzę, może coś się da z tym zrobić.

- Właściwie to... - powiedział Dick - ...właściwie to jest bez znaczenia. Nikt i tak nie przyjdzie. A to dlatego, że Ed leży w szpitalu. Na razie strzelanie do gołębi jest w zasadzie odwołane.

- A ja i tak strzelam za Eda - odparował Gazownia i uśmiechnął się, jakby właśnie rozwiązał jakiś problem. - Strzelam za Eda i wszyscy ludzie, którzy normalnie obstawiają Eda Rogersa, mogą obstawiać mnie.

Dick nic nie powiedział.

- No co z tobą, Dick? Wiesz, że dzisiaj strzelam. Przecież pożyczyłeś mi swoją przeklętą strzelbę, Dick.

- Muszę ci coś powiedzieć - odparł Dick - bo jesteś moim dobrym kumplem. Prawda jest taka, Gazownia,

że władze wcale nie zamknęły Willisa. Taka jest prawda, Gazownia.

Niektórzy z mężczyzn zaczęli wracać do swoich wozów, jak gdyby nigdy nic.

- Dick? Dokąd, do diabła, oni idą? - spytał Gazownia.

- Gazownia - powiedział Dick. - Ja to powiem. I powiem ci tylko to, co zasłyszałem. To nie ja to mówię. Ja tylko powtarzam, co mówią inni. Powiedziałem kilku facetom, że chcesz strzelać za Eda, i niektórzy stwierdzili, że już wolą odwołać strzelanie. Uważają, że zakłady na ciebie to żadne zakłady. Uważają, że lepiej zostać w domu, dopóki nie znajdziemy kogoś innego.

Pozostali milczeli, niczym żałobnicy albo geodeci.

- No tak... - odezwał się wreszcie Gazownia. - Tak, tak, tak... Nie będziemy nikogo za to winić. Prawda, Tanner? Nie będziemy, synu?

Willis Lister trzymał w swojej szopie dziesiątki gołębi. Pozamykane w klatkach siedziały na pokładach starych piór i odchodów. Wszystkie zbiorowo gulgotały, niczym gęsta ciecz, która lada chwila ma się zagotować.

- Dick Clay powiedział, że mam się tam nie pokazywać - tłumaczył Willis Lister. - Przez wzgląd na Eda. Powiedział, że na jakiś czas odwołują strzelanie do gołębi.

- No tak... - odparł Gazownia. - Już teraz rozumiem. Ale ja wpadłem na pomysł, że Tanner mógłby chcieć popatrzeć, jak strzelam za jego tatę. Ojciec Tannera leży w szpitalu, wiesz przecież.

- Wiem.

- I pomyślałem, że dla tego dzieciaka to byłoby coś wyjątkowego, gdyby sobie zobaczył strzelanie do gołębi.

Przez ten wielki szacunek, jaki ci wszyscy faceci mają do jego staruszka. Pomyślałem, że może chciałby popatrzeć, jak strzelam do ptaków w zastępstwie jego ojca. Przez wielki szacunek, jaki mam do jego ojca. I przez wielki szacunek, jaki mam do jego matki.

Gołębiarz przykucnął i popatrzył na Tannera.

- Przykro mi - powiedział - z powodu twojego taty.

Willis był stary, ale twarz miał gładką, bez żadnych skaz, jeśli nie liczyć małej różowej blizny w kształcie sierpa, która błyszczała na jego policzku jak plamka miki.

- Podziękuj panu. - Gazownia trącił Tannera.

- Dziękuję - powiedział Tanner.

Willis nie wyprostował się.

- Synu - powiedział - słowo daję, twoje włosy dzisiaj wierzgają. - Wyjął grzebień z kieszeni na piersi kombinezonu i podsunął go w stronę chłopca.

- Nie potrzebuję - oświadczył Tanner.

Willis nadal patrzył na niego i czekał.

- Już się dzisiaj cesałem - wyjaśnił Tanner.

- A jednak naprawdę wierzgają. Chłopiec powinien być schludny.

- Wczoraj poszedłem spać z mokrymi. Nie dają się ułożyć.

Willis wciąż jednak podsuwał mu grzebień. Gazownia znowu trącił Tannera.

- A może tak użyjesz tego grzebienia, synu?

Tanner wziął grzebień z ręki Willisa Listera i przejechał nim raz po włosach. I zaraz potem go oddał.

- A może tak podziękujesz panu za pożyczenie grzebienia? - powiedział Gazownia.

- Dziękuję panu.

- Nie ma za co, synu - odparł Willis. - Czy nie wyglą-

dasz teraz bardziej schludnie? - Wstał i spojrzął w twarz Gazowni. - A ty czego tutaj szukasz?

- Ptaków.

- Nie ma tu nikogo, kto by obstawiał, Gazownia. Nie będzie dzisiaj strzelania.

- Nikt nie musi obstawiać - odparował Gazownia z szerokim uśmiechem. - Ja tylko potrzebuję ptaków. Będę strzelał do nich tutaj.

Willis nie odpowiedział, a Gazownia tupnęła i zaśmiała się tak głośno, że wśród gołębi zawrzało.

- Hej! To znaczy nie tutaj! Nie będę strzelał do twoich gołębi tutaj, w ich cholernych klatkach. Chłopiec nie przyszedł po to, żeby oglądać, jak strzelam do ptaków w klatce! Zastrzelę kilka na twoim podwórku. Żeby po prostu chłopak miał jakieś pojęcie.

Przestał się śmiać, wyciągnął z kieszeni chustkę i wydmuchał nos. Willis popatrzył na niego i na Tannera, który przyklepywał sobie włosy obiema dłońmi, a potem jeszcze spojrzął na Snipe'a, który lizał druciane drzwiczki pustej klatki.

- A ile? - spytał Willis. - Ile konkretnie ptaków będziesz potrzebował, żeby zrealizować swój plan?

Gazownia schował chustkę do kieszeni i wyciągnął z niej portfel, z którego wyjął banknot dwudziestodolarowy.

- Dasz mi cztery ptaki za dwadzieścia dolarów, co, Willis?

Willis zrobił zbolałą minę.

- Cztery ptaki? Co to są cztery ptaki? Więcej ptaków tygodniowo pożerają mi szczury. - Odwrócił się w stronę Tannera. - Ile gołębi zamierzasz zabić, synu?

- Ja? - Tanner spojrzął nerwowo na Gazownię John-sona.



- Ja będę strzelał, Willis - powiedział Gazownia. - Wyjaśnię ci to jeszcze raz. Chodzi o to, że chcę, by chłopiec zobaczył, jak to robi jego ojciec. Chcę, żeby się przekonał, dlaczego jego ojciec jest taki sławny.

- Ile ptaków? - spytał Willis.

- Chyba wystarczy, jeśli zabiję jednego.

- A co tam, Gazownia, możesz sobie wziąć jednego ptaka. Co mi tam jeden ptak więcej czy mniej?

Gazownia obejrzał starannie swój kciuk.

- Ale chodzi o to, że być może będę potrzebował kilku ptaków, żeby zabić jednego...

- Jezus Maria, facet!

- No co się dziwisz, Willis? Minęło dużo czasu. Mogę nie trafić w pierwszego ptaka i w ogóle. - Urwał. - No wiesz, kiedyś cholernie dobrze strzelałem, kiedy...

- Możesz wziąć trzy ptaki - przerwał mu Willis.

- Kiedyś byłem cholernie dobrym strzelcem.

- Ale chyba trafisz jednego ptaka na trzy, co?

- Mój Boże - powiedział Gazownia. - Lepiej się wszyscy módlmy, żeby tak było.

Willis podszedł do najbliższej klatki, przestępując nad Snipe'em, który nadal lizał drzwiczki, jakby to był sos od pieczeni. Otworzył zasuwkę i zaczął wyciągać ptaki, po jednym - za nogę albo za skrzydło - krzywiąc się, bo spanikowane ptaki wznieciły tuman kurzu i puchu. Wetknął sobie pod pachy po jednym gołębiu, jakby to były szkolne podręczniki, trzeciego ptaka wręczył Tannerowi.

- Przyciśnij mu skrzydła - poinstruował chłopca - żeby nie zaczął nimi machać jak opętaniec.

Tanner wyszedł z szopy śladem mężczyzny, niosąc gołębia nadzwyczaj ostrożnie, jak najdalej od siebie, jakby ten gołąb był czymś, co mogło się na niego rozlać. Zaczekał

na polu razem z Willisem, gdy tymczasem Gazownia poszedł do swojego pick-upa po strzelbę. Snipe siedział przed Willisem Listerem, wpatrując się z nadzieją w jego gołąbie.

- I co ty na to, piesku? - spytał Willis. - Myślisz, że mam dla ciebie biskopta?

A potem już milczeli. Tanner czuł się nieswojo w towarzystwie Willisa Listera. Trawa na podwórku była gęsta, mokra i wysoka, sięgała Tannerowi do połowy łydek. Niebo przybrało odcień tej szarości, która mogła oznaczać, że lada chwila spadnie deszcz albo że nie będzie deszczu przez wiele miesięcy. Gołąb Tannera był gorący i gruby, nie mieścił się w kołysce stworzonej z obu jego dłoni. Stojący za nim Willis oddychał ciężko przez usta, niczym człowiek pogrążony w głębokim śnie; po bardzo długim czasie odezwał się znowu cichym głosem:

- Myślisz, że mam dla ciebie biskopta, piesku? Tak myślisz?

Gazownia Johnson wrócił ze strzelbą i nabojami. Ukląkł na trawie, żeby załadować broń.

- Rany boskie, co ty za naboi używasz? - spytał w tym momencie Willis. - Zamierzasz polować tu na niedźwiedzie?

Gazownia spojrzał na pudełko i nie odpowiedział.

- Tak się nie strzela do ptaków, człowieku. Trafisz tym cholerstwem w ptaka i będziesz miał szczęście, jeśli potem znajdziesz chociaż kawałek. Rozleci ci się w drobny mak.

Gazownia załadował strzelbę i wstał.

- Ty naprawdę chcesz strzelać tymi granatami? - dopytywał się Willis.

- Wiesz co? - odparł Gazownia. - Z ręką na sercu mam gdzieś, jakie to naboje. Chcę po prostu wystrzelać

te ptaki i iść sobie do domu. - Przyłożył broń do ramienia i czekał.

- Wiesz, co tacy chłopcy jak ty robią na strzelaniu do gołębi? - spytał Willis Tannera. - Jest zawsze taka jedna praca właśnie dla chłopca w twoim wieku. Mógłbyś wykonać tę pracę? Jak myślisz?

- Jasne - zaryzykował Tanner.

- No więc ta praca dla chłopców polega na tym, że czekasz, aż strzelec trafi ptaka, a potem gonisz za tym ptakiem i jeśli nie zdechł, dobijasz go. Wystarczy skrócić mu kark. Myślisz, że potrafiłbyś wykonać tak lekką pracę?

Tanner spojrział na tłustego gołębia w swoich dłoniach.

- To robota dla chłopca - powiedział Willis. - OK. A teraz schowaj się za plecami tego człowieka, bo strzela tak beznadziejnie, że jeszcze mógłby ci odstrzelić głowę.

Tanner cofnął się.

- OK - powiedział Willis. - Zaczynamy.

Wyciągnął spod pachy jednego gołębia i podrzucił go w powietrze. Ptak załopotał skrzydłami, nisko, tuż nad ich głowami.

- A teraz czekaj - powiedział Willis do Gazowni. - Niech on nabierze jakiejś wysokości.

Ptak poleciał. Oddalił się od nich, frunąc prosto w stronę drzew rosnących przy przeciwległym krańcu pola. Gazownia strzelił jeden raz i omal nie runął całym ciałem na Tannera, bo odrzut broni okazał się tak potężny. Ptak leciał dalej i wkrótce zniknął między drzewami. Willis, który wciąż trzymał w dłoniach drugiego gołębia, popatrzył na Gazownię, który siedział w wysokiej, wilgotnej trawie i rozcierał sobie ramię.

- OK - powiedział. - Gotów?

- Ależ ta strzelba kopie - poskarżył się Gazownia. - Powala człowieka na dupę.

- To te naboje - odparł Willis. - Zaprzyj się mocniej. Gotów?

Gazownia wstał i podniósł broń. Willis podrzucił drugiego gołębia, który odfrunął po tej samej linii co tamten pierwszy.

- Teraz! - krzyknął Willis.

Gazownia strzelił, chybił, strzelił jeszcze raz, znowu chybił. Wszyscy trzej się przyglądali, jak ptak dolatuje do drzew i znika. Snipe leżał u stóp Tannera, żałośnie powarkując przy każdym wybuchu. Willis Lister gapił się w stronę krańca pola.

- Pozwól, że cię o coś spytam - powiedział Gazownia. - Czy te wszystkie ptaki wrócą w końcu do twojej szopy? Kiedyś tam? Nie chciałbym, żebyś tracił dwa zdrowe ptaki na darmo.

Willis spojrzał na Tannera.

- Kiedy ci powiem, podrzucisz swojego gołębia w górę. Nie za mocno. Gotów? Teraz! Teraz!

Tanner otworzył dłonie i podniósł je. Ptak poruszył się nieznacznie, ale nie odfrunął.

- No leć - szepnął chłopiec.

Machnął gwałtownie rękoma i gołąb wypadł bezwładnie z jego dłoni. Przefrunął niewielki dystans, po czym osiadł na kamieniu przed Willisem Listerem.

- Sio! - Willis machnął kapeluszem w stronę ptaka. - Sio!

Ptak przefrunął kilka metrów i wylądował w trawie. Willis zaklął i podniósł go.

- Chory ptak - powiedział i wręczył go Tannerowi. - Idź po jeszcze jednego. A tego wsadź do pustej klatki.

Tanner powędrował do szopy z mokrym, ciężkim ptakiem. Znalazł pustą klatkę. Ptak, kiedy go wrzucił do środka, upadł i tak już został, nawet nie patrząc na Tannera. Chłopiec zamknął druciane drzwiczki, jeszcze mokre od śliny Snipe'a. Gołębie w innych klatkach kłębiły się, depcząc się nawzajem i popychając w poszukiwaniu lepszego miejsca. Znalazł klatkę, w której było najmniej ptaków, powoli wsunął do środka rękę, złapał jednego za nogę i zaraz wypuścił, bo gołąb gwałtownie zatrzepotał skrzydłami. Tanner zamknął oczy, jeszcze raz wsunął rękę, schwycił na oślep jedno ze skrzydeł i wyciągnął gołębia. Biegł z trzepoczącym ciałem ukrytym pod kurtką, jakby ukradł tego ptaka i teraz ktoś go ścigał.

Gazownia Johnson i Willis Lister patrzyli, jak do nich biegnie, a kiedy stał już przed nimi, Willis odebrał od niego gołębia, a Gazownia powiedział:

- Dobry chłopak.

- Gotów? - spytał Willis i wyrzucił ptaka w powietrze, daleko od nich. Ptak zatoczył krąg i poleciał.

- Teraz! - krzyknął Willis. - Teraz!

Gazownia strzelił raz i ptak spadł. Prosto na trawę. Snipe puścił się pędem w jego stronę i znalazł go raczej przypadkiem, kiedy po nim przebiegł. Gołąb jeszcze żył. Nie upadł daleko od nich: podeszli do niego szybko i stwierdzili, że stracił jedno skrzydło.

- Weź go - powiedział Willis Lister.

Nie do Gazowni. Nie do Snipe'a. Powiedział to do Tannera.

- No dalej, weź go - powtórzył. - Wystarczy skrócić kark i po krzyku.

Tanner ani nie odpowiedział, ani nie wykonał ruchu.

- Twój ojciec potrafił zestrzelić dwadzieścia ptaków

pod rząd, ot, tak - odezwał się Gazownia. - Co ty na to, synu?

- Ja cię przepraszam - jęknął Willis Lister i kucnął obok ptaka. Podniósł go na tyle tylko, by móc obłapić dłońmi jego kark i go skrócić, a kiedy to robił, ptak sam wykonał skręt całym ciałem — słabowicie starając się wyrwać, a może stawiając opór - i zdechł. Willis rzucił go na ziemię. - Trzymaj się z daleka - ostrzegł Snipe'a i wytarł ręce o kombinezon.

Wrócili do wozu.

- Gdybym nie trafił w tego ostatniego ptaka, to zacząłbym celować w ścianę tej choleralnej szopy. Sprawdziłbym, czy potrafię trafić chociaż w ścianę. Ha!

- Ostrożnie z tą bronią - upomniał go surowo Willis. - Nie postrzel się w nogę jak jakiś idiota.

- Były kiedyś takie czasy, gdy miałem piekielnie dobrego cela. - Gazownia roześmiał się. - Oczywiście to było jakieś dwadzieścia kilka lat temu. Ale też niewykluczone, że już wtedy byłem gównem wart i tylko o tym zapomniałem. Ha!

Willis Lister przemówił do Tannera, nie patrząc na niego.

- Podczas strzelania do gołębi - powiedział obojętnym głosem - zawsze mali chłopcy skręcają karki ptakom ze strzelonym przez dorosłych mężczyzn.

Tanner przytaknął.

- To robota dla małych chłopców - dodał Willis. - Tak jest od zawsze.

- Chcesz iść na piwo? - spytał Willisa Gazownia Johnson.

- Nie.

- A ty, Tanner? Masz ochotę na oranżadę?

- Odwieź chłopaka do domu - powiedział Willis. -  
W dzisiejszych czasach nikt już nie pije oranżady.

Sukienka, którą Diane Rogers nosiła tego ranka, wisiała nad kuchennym zlewem, świeżo wyprana, kiedy Gazownia Johnson wrócił z Tannerem. To była sukienka z grubej bawełny i woda kapała z niej miarowo na brudne naczynia, jakby coś się topiło. Diane przebrała się w spodnie. Przyglądała się Gazowni Johnsonowi, który usiadł przy stole, ze Snipe'em u stóp.

- Opowiedz swojej matce, jaki ze mnie superstrzelec - powiedział do Tannera.

- Superpostrzeleniec - poprawiła go Diane.

- Daj spokój, Diane. Było co oglądać.

- Wygrałeś jakieś pieniądze?

- Ja nie obstawiałem. Ja strzelałem.

- Pytałam Tannera.

- Ja nie obstawiałem - odparł Tanner.

- I dobrze zrobiłeś.

- Nikt nic nie obstawiał - wyjaśnił Gazownia. - Nikogo tam zresztą nie było. Przez szacunek dla Eda. - Gazownia pochylił się i wycelował palec w Diane. - Przez szacunek. Odwołali z szacunku dla niego.

Patrzyli na siebie z powagą. A potem Diane parsknęła śmiechem. Podeszła do lodówki i wyjęła z niej dwa piwa. Tannerowi naląła szklankę soku.

- A tak nawiasem, to jak złym jesteś strzelcem? - spytała.

- Jestem świetnym strzelcem. Postrzelaliśmy sobie.

- Gdzie?

- Willis Lister dał nam trzy ptaki.

- Cztery - poprawił go Tanner.

- OK. - Gazownia wzruszył ramionami. - Strzelaliśmy do czterech ptaków.

- Do trzech - znowu poprawił go Tanner. - Jeden był za bardzo chory.

- Strzelaliście tylko dla zabawy? - spytała Diane.

- Żeby twój syn zobaczył, co robi jego ojciec.

- Jeden ptak umarł - powiedział Tanner.

Gazownia otworzył swoje piwo, odkręcając nakrętkę dłonią owiniętą mankietem koszuli. Schował tę nakrętkę do kieszeni.

- Diane? Mówiłaś kiedykolwiek Tannerowi, że Willis Lister to twój kuzyn?

- Nie - odparła. - Kiedy byłam małą, moja matka zwykła mówić: Nie pozwól, żeby twój kuzyn Willis cię pocałował. Powiedz mi, jeśli spróbuje cię dotknąć.

- To nieprawda.

- Misiu - powiedziała Diane. - Z całą pewnością nie było cię przy tym.

- Ale mogłem być.

- Nie chcę rozmawiać o Willisie Listerze.

- Tanner? - powiedział Gazownia. - Czy ja ci kiedykolwiek mówiłem, że twoja matka była pierwszą dziewczyną, którą w życiu pocałowałem?

- Nie - powiedziała Diane. - I tego też mu nie mów.

- Ha! - Gazownia zaśmiał się i walnął w stół tak mocno, że aż sok Tannera zafalował w szklance.

- Masz teraz jakąś dziewczynę? - spytała Diane. - Jakąś biedną kruszynkę?

- A mam.

- Blondynka?

- Brązowa.



- Brązowa?
- Brązowe włosy.
- Niebieskie oczy?
- Brązowe.
- No cóż. To nie pasuje do twojego gustu, Gazownia.
- I brązowa skóra.
- Wyjaśnisz to jakoś?
- Jest raczej cała brązowa.
- No cóż. - Diane upiła długi łyk. - Brzmi pięknie. Oboje zaczęli się śmiać.
- Jest fajna - dodał Gazownia. - Ale daleko jej do ciebie.
- Mnie też daleko. Już nie te czasy. Zestarzałam się.
- To nieprawda. Nie zmyślaj mi tu. Zawsze przyjemnie z tobą posiedzieć, Diane. Zawsze było miło z tobą posiedzieć.
- Hm - zadumała się Diane. - Odłożyłeś jakieś pieniądze?
- Pięć tysięcy w banku.
- Tak jak teraz rozmawiamy?
- Tak jak tu siedzimy.
- Zeszłej zimy byłeś winien Edowi mniej więcej tyle.
- A byłem.
- Nie rozumiem. Wydaje mi się, że człowiek, który w jednej minucie jest winien pięć tysięcy dolarów, a w następnej ma pięć tysięcy dolarów, tak naprawdę wcale nie odłożył tych pieniędzy. On ich po prostu jeszcze nie wydał.
- Może - odparł Gazownia.
- Nie wydaj wszystkiego na tę dziewczynę.
- No co ty, Diane.
- Znam cię.
- No mam nadzieję.

- Nazywa cię Gazownia?  
- Nazywa mnie Leonard. Le-o-nard. — Gazownia przesadnie wydłużył każdą z trzech sylab.

- Ile ona ma lat?

- Dwadzieścia — odparł Gazownia bez mrugnięcia powieką. A kiedy Diane nie odpowiedziała, dodał: - Kończy dwadzieścia jeden w przyszłym tygodniu. — Odczekał chwilę i powiedział jeszcze: - W przyszły czwartek, mówiąc dokładnie. Tak, proszę pani. Wielkie dwadzieścia jeden.

Diane wsunęła nogi pod siebie.

- Jak ona ma na imię, Gazownia?

Tu była prawdziwa puenta.

- Donna - odparł.

Diane nie odpowiedziała.

- Robię dla niej wielkie przyjęcie - ciągnął Gazownia. - Dla niej i dla jej koleżanek. Koleżanek ze szkoły. Wiesz, psiakość, jakie są dziewczyny.

- Gazownia - upomniała go łagodnie Diane. - Twoje kłamstwa są u mnie bezpieczne.

- Diane... - powiedział, ale przerwała mu krótkim, eleganckim machnięciem ręki. Pokazując, że milczenie jest złotem.

Oboje umilkli. Mały Tanner Rogers przez cały ten czas siedział na krześle, z jedną nogą podwiniętą; rozplątał nasiąkniętą wodą rzemieńne sznurowadło w swoim mokrym bucie, a potem ćwiczył na nim węzły. Sznurowadło było za krótkie, by wiązać na nim coś bardziej skomplikowanego, on jednak umiejętnie, prędkimi, pewnymi ruchami raz po raz powtarzał prosty węzeł ratowniczy, oparty na schemacie: wyszedł królik z nory, obleciał drzewo dookoła i wlaźł do dziury z powrotem. Diane spojrzała na

zapracowane dłonie swojego syna. Wstała, znalazła nóż do obierania jarzyn, usiadła z powrotem i ułożyła dłón na stole, wnętrzem do góry.

- Daj mi tę brudną łapę - powiedziała.

Tanner podał matce prawą dłón. A ona ją schwyciła z wyraźną wprawą. Wsunęła czubek noża pod pierwszy paznokiec, zdecydowanie, ale nie mocno, żeby nie zadrasnąć skóry, i wyciągnęła cienką, kruszącą się kreskę brązowej ziemi. Wytarła nóż o kolano, potem oczyściła drugi paznokiec i po nim następne. Gazownia Johnson obserwował to w milczeniu. Tanner też się przyglądał, siedząc nieruchomo, z lewą ręką w pobliżu świeżo zrobionego węzła - węzła prostego, ale dla kogoś, kto uprawia sport - który może długo, długo trzymać, ale można go też łatwo rozplatać, jednym pociągnięciem, kiedy zajdzie taka potrzeba albo kiedy przestaje być przydatny.

## Duże jest piękne

**W**dawnych, dobrych czasach, kiedy naprzeciwko baru „Duże Jest Piękne” znajdował się bar „U Wiejskiego Głupka”, między tym jednym a drugim lokalem trwały bezustanne wędrówki pijaków, w każdy wieczór bez wyjątku. Tak to wtedy wyglądało, jakby oba te bary były w istocie jednym barem, dziwacznie tylko rozpołowionym przez cztery pasy Pierwszej Alei.

Właścicielką „Duże Jest Piękne” była Ellen, właścicielem „U Wiejskiego Głupka” był jej mąż, Tommy. Małżeństwem byli od piętnastu lat, w separacji od trzytnastu, nie spali z sobą od dwóch, ale raczej nie chcieli im się zabierać do rozwodu i towarzyszącej mu polityki. Tommy był legendarnym moczymordą. Nikomu nigdy nie groziło, że zostanie wykopsany z jego baru - ani za burdy, ani za chwiejne ruchy, ani za brak pieniędzy, ani za nieletniość: Tommy godził się absolutnie na wszystko. Ellen dla odmiany słynęła z barmanek. Nie wszystkie wprawdzie zasługiwały na miano wielkich piękności, ale za to ucieleśniały jakieś wyspecjalizowane atrakcje typu empatyczne usposobienie, wielkie poczucie humoru, względnie krzepiący alkoholizm. Ellen zawsze trzymała jedną barmankę, która miała pamięć do imion, bo taka

gwarantowała domową atmosferę, i zawsze też trzymała jedną wredną barmankę, ponieważ są ludzie, którzy tego łakną. To znaczy takiej wrednej dziewczyny, która nazywa grubasów chudzielcami i własnoręcznie wyrzuca upitych w sztok na ulicę. Ellen nie zatrudniała takich dziewczyn, w których nie można się zakochać w pięć minut. Została pośrednikiem w branży takich osobliwych a niezastąpio-nych miłości i dobrze na tym wyszła. Tommy zresztą też nieźle prządl.

W „U Wiejskiego Głupka” był automat do gier i tar-  
cza do rzutek. W „Duże Jest Piękne” stał stół do bilardu. W niektóre wieczory w jednym lokalu były papierosy albo papier toaletowy, podczas gdy w tym drugim ich brakowało. A w upalne lata pijani goście przechodzili przez Pierwszą Aleję, jakby to było czyjeś podwórko, jakby przejeżdżające samochody były równie nieszkodliwe jak huštawki albo piaskownice, jakby tam nie było żadnych barów, tylko dwa pikniki organizowane przez sąsiadów dla sąsiadów, ku powszechnej radości, jak to na przed-  
mieściach.

Stało się jednak tak, że Tommy nie płacił czynszu przez osiem miesięcy i „U Wiejskiego Głupka” zostało zamknięte. Przez całą tamtą jesień goście Ellen porzucali znienacka swoje drinki, wychodzili z jej baru niby dla zaczerpnięcia powietrza, chwilę krążyli w kółko, po czym wracali do środka, podminowani i zeźleni.

W grudniu „U Wiejskiego Głupka” ponownie otwo-  
rzyło podwoje, ale zawisł nad nim ręcznie wykonany szyld: TOPLESS WALTERA. Frontowa szyba została zamalowana na czarno, a na niej naklejono afisz o treści: „Najpiękniejsze kobiety świata”. Poniżej widniał jeszcze je-  
den, zupełnie już mały afisz, a właściwie to zwykła kartka,

która wyjaśniała, że „Topless Waltera” będzie otwierane w każdy dzień tygodnia. W południe.

Ellen miała siostrzeńca o imieniu Al. Zatrudniła go w charakterze nadwornego hydraulika, do którego obowiązków należało wydtubywanie przegniłych skórek od cytryny z odpływów w zlewach oraz ponowne montowanie pisuarów, które młodzi ludzie czasami wyrwali ze ścian toalety, by w ten sposób uświetnić wielkie chwile przy stole do bilardu. Al miał przyjemną powierzchowność i dobrze się z nim rozmawiało. Gdyby był dziewczyną, to nadawałby się idealnie na barmankę w „Duże Jest Piękne”. Byłby pięknocią tego narodu, za którą szaleją przedstawiciele klasy robotniczej, i Ellen dawałaby mu zmianę w czwartkową *happy hour*. Gdyby Al był dziewczyną, która pracuje w czwartkową *happy hour*, stolarze i kierowcy ciężarówek przychodziliby tam co tydzień i rozbestwialiby go piekielnie wysokimi napiwkami za to, że taki śliczny. Po rozstaniu z Tommym Ellen spędzała większość czasu z Alem i to właśnie Al jej towarzyszył, kiedy wreszcie przeszła na drugą stronę ulicy, by zwiedzić „Topless Waltera”.

Ellen знаła wszystkich, którzy owego wieczoru pili przy tamtejszym barze.

- To są sami moi ludzie - powiedziała do Ala.
- I Tommy'ego.
- Tommy już raczej nie może rościć sobie do nich prawa, nieprawdaż?

W środku wciąż wyglądało tak jak w czasach „U Wiejskiego Głupka”, z tą różnicą, że na miejscu automatów do gier wyrosła niewielka scena z szerokim lustrem z tyłu i długą poręczą z przodu. Aktualnie na tej scenie tańczyła jedna striptizerka - chuda dziewczyna, która miała kolana

szersze od ud i drobne biodra niczym gwiazda rocka, która nadużywa narkotyków. Ellen ją też знаła.

- To ta ćpunka Amber - powiedziała.

Amber uśmiechnęła się do Ala i potrząsnęła na jego użytek piersiami, a raczej nie piersiami, ale sutkami sterzczącymi pomiędzy żeber. Al odwzajemnił uśmiech.

- Jest przerażająca - zauważył.

- Dawniej przychodziła do mojego baru i przez cały dzień piła rum z colą - odparła Ellen. - Ciągłe próbowałam ją przyłapać w toalecie, jak pakuje sobie w żyłę, ale za każdym razem, kiedy tam wchodziłam, tylko myła zęby.

- Co jest chyba jeszcze bardziej ohydne.

- No chyba tak.

- Powinnaś zamontować niebieskie światła w toaletach. Tak robią w tych lokalach, gdzie sprzedają fast-food. Ćpuny nie widzą tam swoich żył i nie mogą się kłuć.

- To już raczej przesada.

- Ja tam lubię niebieskie światła - oświadczył Al. - W pomieszczeniu oświetlonym na niebiesko nie widzę swoich jaj.

- Przestań - skarciła go Ellen. - Nie gadaj głupot.

Za barem stała dziewczyna w ciemnym kostiumie kąpielowym, której Ellen nie znała. Miała czarne włosy ze srogim przedziałkiem biegnącym przez środek, a ten jej kostium był dość zwyczajny, jednoczęściowy, spłowiały, ze sfatygowanymi, szerokimi paskami.

- Na nogach ma pewnie japonki - stwierdził Al.

Za barem oprócz dziewczyny stał jeszcze jakiś mężczyzna.

- Walter? - zdziwiła się Ellen, kiedy obrócił się ku nim twarzą.

Walter dopiero co przydźwigał skrzynkę z piwem,

a teraz podniósł ją i postawił przed Alem. Miał długą brodę, niechlujną i posiwiałą jak brody proroków i bezdomnych.

- Cześć, Helen - odpowiedział.

- Ellen - poprawiła.

Walter nic nie powiedział.

- Nawet mi nie mów, że to teraz twój lokal, Walter.

Walter znów nie zareagował.

- Na co ci, do cholery, taka knajpa? Nikt mi nie powiedział, że jest twoja.

- Widać z szyldu.

- Nie miałam pojęcia, że to ty jesteś ten Walter.

- A jest tu jeszcze jakiś inny Walter?

- Jestem Al - przedstawił się Al. - Siostrzeniec Ellen.

Obaj mężczyźni podali sobie ręce nad skrzynką z piwem.

- Walter? - powiedziała Ellen. - Nie jestem pewna, czy nazwa lokalu mi się podoba. Może lepiej zmień ją na „Topless u Waltera”. „Topless Waltera” brzmi jak jakieś ogłoszenie. Tak to brzmi, jakbyś to ty był topless.

- To jest ogłoszenie.

- Pewnie tak. - Ellen rozejrzała się dookoła. - Tommy mi nie powiedział, że sprzedał tę budę właśnie tobie.

- No więc mi sprzedał.

- Po prostu się zdziwiłam.

- Nie rozumiem dlaczego. Szyld stwierdza to jasno i wyraźnie.

- Walter? - powiedziała Ellen. - W głębi ducha zawsze myślałam, że jesteś amiszem.

Al wybuchnął śmiechem i Ellen mu zawtórowała.

- Postawię ci drinka - zaproponował Walter. - I twojemu siostrzeńcowi też.



- Dzięki, sir - odparł Al.

- Weźmiemy dwa piwa i jakąś dobrą szkocką - powiedziała Ellen. - Dzięki.

Walter wyciągnął dwie butelki ze skrzynki, a potem wyjął otwieracz z zanadru koszuli, gdzie wisiał na łańcuchu jak jakiś ciężki krucyfiks. Otworzył butelki, prawie jeszcze zimne, i postawił je przed Alem i Ellen.

- Odkąd skończyłem dwanaście lat, nie słyszałem, żeby ktoś mówił do kogoś „sir” - powiedział Al, kiedy Walter powędrował na drugi kraniec baru, po szkocką.

- Walter nie może prowadzić lokalu ze striptizem - syknęła Ellen. - Nienawidzi kobiet. Do mnie to w ogóle nie przychodził, bo nie cierpiał kobiet pracujących za moim barem. Boże, co za głupi numer.

Walter wrócił z dwiema szklankami whisky. Ellen wypiła swoją jednym haustem i postawiła szklankę do góry dnem. Al powąchał swoją i ostrożnie ją odstawił.

- Kim jest twoja barmanka? - spytała Ellen.

- To Rose - wyjaśnił Walter. - Moja córka.

Walter i Ellen zapatrzyli się na siebie w milczeniu.

- O! - odezwał się Al. - A już się zastanawiałem, czy nie zapytać tu o pracę, ale zgaduję, że ona tu zostanie.

- Mam trzy córki - odparł Walter, nadal patrząc na Ellen. - Wszystkie tu pracują.

- Pijesz to czy nie? - spytała Ellen Ala, a kiedy pokręcił głową, opróżniła jego szklankę i postawiła obok swojej. - To jest ubaw po pachy, Walter - powiedziała. - Ubaw po pachy, że Tommy mi nie powiedział o tobie. Ale życzę szczęścia i tak dalej. - Wyjęła z kieszeni banknot dwudziestodolarowy i wsunęła go pod swoją butelkę. - Pilnuj, żeby Rose uszczęśliwiała nas tutaj - zakończyła.

Walter oddalił się.

Na scenie ćpunka Amber zakończyła swój występ. Siedziała teraz na podłodze i zapinała guziki przy męskiej koszuli z długimi rękawami. Była drobna jak dziewczynka z trzeciej klasy podstawówki. Kiedy Walter zmienił taśmę i podkręcił głośność, z sutereny wyłoniła się kolejna dziewczyna, o rudych włosach splecionych w warkocz biegnący od samego czubka głowy. Wspięła się na scenę i bez żadnej skomplikowanej choreografii zdjęła biustonosz, po czym zaczęła kołysać się lekko na palcach, jakby się rozgrzewała przed joggingiem.

- Z takimi cyckami nie możemy rywalizować - stwierdziła Ellen.

- Możemy, możemy.

- To przecież kretynizm. Po co ktoś miałby przełazić przez ulicę, żeby to oglądać?

- Nie będą - zapewnił ją Al.

- Kiedy oni naprawdę chcą się gapić na cycki, nie wygramy z tym.

- Polly czasami zdejmuje bluzkę - przypomniał jej Al.

- No tak, ale tylko wtedy, kiedy jest porządnie pijana.

A potem płacze i wszystkim robi się przykro. To nie to samo co to. A poza tym Polly pracuje tylko w poniedziałkowe wieczory.

- Masz rację.

- A jeśli Walter zechce zatrudnić moje barmanki, żeby tu tańczyły?

- Nie zgodzą się.

- Gdyby komuś udało się namówić Polly, żeby zdjęła bluzkę i udawała, że jej się to podoba... to byłoby coś, prawda?

- Faceci płaciliby za to - przyznał Al.

Ellen zamachała w stronę rosnącego mężczyzny, który wszedł do baru; mężczyzna podszedł i usiadł obok.

- Szafa Dennis! - powiedziała. - Cieszę się, że cię widzę.

„Szafa” Dennis pocałował Ellen i zamówił dla siebie piwo, a dla niej szkocką. Poklepała go po głowie i uśmiechnęła się. Miał głowę okrągłą i spłowiata jak stara boja, a jego szeroko rozstawione oczy stale łypały bez żadnej synchronizacji we wszystkie strony, jakby próbowały obserwować wszystkie kąty jednocześnie. Pachniał pudrem dla dzieci i śliną, ale poza tym miał bystry umysł, dzięki któremu potrafił robić z komputerami coś takiego, co oprócz niego umiało robić jeszcze tylko dwóch ludzi na całym świecie i za co dobrze mu płacono.

- Wiedziałeś, że to teraz knajpa Waltera? - spytała go Ellen.

- Dopiero co się dowiedziałem.

- Zawsze myślałam, że jest amiszem - powiedziała Ellen.

- A ja zawsze myślałem, że jest bratem w Jezusie Chrystusie - odparł Szafa.

Ellen roześmiała się.

- Pamiętasz Willy'ego? Brata Waltera?

Szafa przewrócił oczami.

- Willy potrafił wsadzić sobie do ust całą pięść, pamiętasz? - spytała Ellen.

- Kilka razy o mały włos nie zrobił tego ze mną.

- Nie znam gościa - przyznał się Al.

- Rozpoznałbyś go, gdybyś go zobaczył - powiedział Szafa. - To będzie ten facet, który wali czyjąś głową o kontener na śmieci. I coś przy tym wrzeszczy.

- Zawsze miał gadane - dodała Ellen. - Jak już zaczął

coś opowiadać, to człowiek miał wrażenie, że utknął za szkolnym autobusem. W życiu bym nie pomyślała, że to Walter otworzy lokal ze striptizem, a nie ten szurnięty Willy.

Szafa wyjął banknot dolarowy ze stosu, który wydano mu jako resztę, podszedł do sceny i wręczył go rudowłosej tancerce. Zagadał do niej, a ona się roześmiała. Ellen zamówiła jeszcze dwa piwa i kiedy Rose przyniosła butelki, spytała:

- Co oni mówią tym dziewczynom, kiedy dają im forszę?

Rose wzruszyła ramionami i odeszła.

- Nie można jej zamknąć ust - powiedziała Ellen. - Wykapany wujek Willy.

- Zazwyczaj mówią takiej, że jest piękna - powiedział Al. - Że na przykład świetnie tańczy czy coś w tym guście.

- To urocze.

- Sama się kiedyś rozbierałaś. Pamiętasz, jak to jest.

- Nie w takim miejscu - zaprotestowała Ellen. - Nie zawodowo, tylko w czasie, kiedy mój lokal dopiero się rozkręcał. Robiłam to, żeby przyciągnąć ludzi. - Ellen wypła swoją szkocką. - Podziałało, taka jest prawda. Niektórzy z tych ludzi zostali do dzisiaj. W rzeczy samej niektórzy są tam teraz. Ale nie pamiętam, by ktoś dał mi za to pieniądze.

- A co tam u mojego braciszka Tommy'ego? - spytał ktoś stojący za Alem.

Ellen wychyliła się zza pleców swego siostrzeńca i się uśmiechnęła.

- Cześć, James.

- Cześć, Ellie.

- Gdzieś ty się podziewał, James? Tęsknimy za tobą.  
James machnął ręką w stronę sceny. Właśnie pojawiła się na niej następna tancerka, wysoka, czarnoskóra dziewczyna, która kołysała się z zamkniętymi oczyma. Wszyscy zapatrzyli się na nią na dłuższy czas. Dziewczyna kołysała się tak bez końca, leniwie, jakby zapomniała, gdzie jest, jakby się jej wydawało, że jest sama. Wszyscy na nią patrzyli, a ona prócz tego kołysania nie robiła nic więcej, ale nikomu jakoś się nie chciało patrzeć na nic innego. Rudowłosa pozbierała tymczasem swoje rzeczy i przeszła przez scenę za plecami swojej rozkołysanej koleżanki.

- Ja cię przepraszam! - zachwycił się James. - Widzicie to?

- O której mówisz? - spytał Al.

- O nich wszystkich! - James uśmiechnął się. Brakowało mu z przodu jednego zęba, po tym, jak Tommy rzucił się na niego któregoś wieczoru i walnął twarzą w posadzkę.

- Pozwalają ci tu śpiewać? - spytała Ellen.

James pokręcił głową. Dawniej przychodził do „Duże Jest Piękne” i stawał obok automatu z papierosami, żeby zaśpiewać. Ellen wyłączała wtedy szafę grającą i przymuszała całe towarzystwo do uciszenia się, a potem wszyscy słuchali Jamesa. Zawsze stroił się do tych koncertów, w sztuczkiwy garnitur, garniturowe skarpetki i sandały. Wyglądał jak Nat King Cole, ale śpiewał lepiej. Cień padający od automatu spowijał mu korzystnie twarz, a słuchający go ludzie często płakali. Nawet ci trzeźwi.

- No więc co słyhać u Tommy'ego? - spytał jeszcze raz James.

- Jest taki gruby, że byś nie uwierzył.

- Zawsze był z niego kawał chłopa.

- Teraz wygląda jak zakonnik. I wciąż pije jak ryba.
- Już taka z niego rybapila - zażartował Al.

James roześmiał się i objął go ramieniem. Był ubrany w skórzaną kurtkę, która wyglądała, jakby ją uszyto z kawałków samochodowej tapicerki. Z brązowych, szarych i ciemnobrązowych łat.

- Naprawdę tęsknię za Tommym - powiedziała.
- A my tęsknimy za tobą - odparła Ellen. - Wpadnij do nas. Poświęć nam trochę czasu.

James kiwnął głową w stronę dziewczyny kołyszącej się na scenie.

- U nas po drugiej stronie ulicy też mamy dziewczyny. Jeszcze - zauważyła Ellen.

James tym razem nawet nie przytaknął, a Ellen szepnęła do ucha Ala:

- Muszę odzyskać moich ludzi.

Al ścisnął ją za rękę.

Ellen wstała i poszła do toalety, w której nic się nie zmieniło. Nad pisuarem wciąż widniał napis: „Rznąłem twoją matkę”, pod którym ktoś innym mazakiem dopisał: „Idź do domu, tato. Schłałeś się jak świnia”.

Ellen umalowała usta i umyła ręce bez mydła i papierowych ręczników, do czego była przyzwyczajona. Pod lustrem znajdowało się najstarsze graffiti tego lokalu, dowcip liczący sobie dziesięć lat. „Trzy najważniejsze rzeczy, za które tak lubimy Tommy'ego”, z odpowiedzią pod spodem: „1) Nie ma go tutaj”. Nie było odpowiedzi numer dwa i trzy.

- Ha! - powiedziała na głos Ellen.

Została w toalecie długi czas, nie przejmując się ani tym, że ktoś cicho zapukał, ani tym, że ktoś w końcu załomotał pięścią. Kiedy wreszcie stamtąd wyszła, natknęła

się na ciemnowłosą dziewczynę ze srogim przedziałkiem. Uśmiechnęły się do siebie.

- Rose - powitała ją Ellen.
- Jestem Sandy. Rose to moja siostra.
- Jesteście do siebie podobne.
- Wszystkie tu pracujemy.
- Słyszałam. To wygląda jak jakiś rodzinny interes.

Na przykład gospodarstwo agroturystyczne - stwierdziła Ellen, a kiedy Sandy jej nie odpowiedziała, dodała: - Jestem Ellen.

- Wiem.

Obie kobiety popatrzyły na siebie. Sandy była ubrana w kostium kąpielowy tak jak Rose, ale oprócz niego miała jeszcze szorty.

- No to jak wam się powodzi?
- Świetnie - odparła Sandy. - A tobie?
- Świetnie - skłamała Ellen.
- To dobrze. - Sandy uśmiechnęła się. - Naprawdę się cieszę.

- Chcesz wejść do toalety?

- Ja sobie tak tu stoję.

- Znasz mojego siostrzeńca Ala? - Ellen wskazała ręką bar. - To najprzystojniejszy ze wszystkich chłopaków tutaj.

- Bez wątpienia - powiedziała Sandy.

- Kiedyś mi się zwierzył, że kocha się we mnie od czasów, kiedy go woziliam w wózku.

- No proszę.

- Faceci zakochują się w dziewczynach z tego baru?

- Nie wiem. Prawdopodobnie.

- Ja w to nie wierzę - oświadczyła Ellen. - Moim zdaniem oni tylko lubią patrzeć.

- Nie mam pojęcia, czy to ważne - odparła Sandy.  
- Twój ojciec nawet nie lubi dziewczyn. Wybacz, że ci to mówię.

- Nas lubi.

- Ciebie i twoje siostry?

- Tak.

- A lubi tę ćpunkę Amber?

Sandy zaczęła się śmiać.

- Nie śmieję się z Amber. Jest przemiła. Pochodzi z Flo-  
rydy, biedactwo... Aż trudno coś powiedzieć - ciągnęła  
Ellen. - Kiedyś miałam taką jedną barmankę, Catherine,  
która pięknie się ruszała. Ludzie przychodzili do mojego  
baru, kiedy ona była na zmianie, po to tylko, żeby się  
przyglądać, jak chodzi tam i z powrotem. Ale nie twój  
ojciec. On nigdy nie lubił mojego baru.

- A ty lubisz jego bar? - spytała Sandy i uśmiechnęła  
się szeroko.

- Powiem ci szczerze, Sandy - odparła Ellen. - Nie  
bardzo. Wiesz?

- Jasne - odparła Sandy. - Chyba teraz tam wejść. -  
Wskazała palcem toaletę i Ellen ustąpiła jej z drogi.

- Jasne - powtórzyła Ellen.

Ellen wróciła do Ala i znowu zamówiła szkocką dla nich  
obojga. Szafa wciąż tam był i był tam również James w swo-  
jej samochodowej kurtce, rozmawiał z ćpunką Amber.

- Mnie się ten lokal nie podoba - powiedziała Ellen  
do Ala. - Kto będzie przychodził do takiej knajpy?

- Mnie też nie - powiedziała Amber. Jadła kanapkę  
z pojemnika termoizolacyjnego, takiego jak te, w których  
ludzie noszą sześciopak lub świeże organy do przeszczep-  
pów. Piła też coś, niewykluczone, że rum z colą. - Nie  
znam gorszej knajpy.



- Nikt tu nikogo nie kocha - dodała Ellen, a Al znów wziął jej rękę i uścisnął. Pocałowała go w szyję.
- Jaki on jest niesamowicie miły - powiedziała Amber.
- Pamiętasz tę barmankę, która kiedyś u ciebie pracowała? - spytał James. - Victorię? Ta to była dziewczyna z klasą.
- Pracowała w środowe wieczory - przypomniał sobie Al.
- Pracowała we wtorkowe wieczory, młodzieńcze - poprawił go James. - Proszę, zaufaj mi w tej kwestii.
- Masz rację. - Al przytaknął. - To były wtorki.
- Mój Boże, jak ja tęsknię za tą dziewczyną.
- I była też dobrą barmanką - zauważyła Ellen.
- To były stare, dobre czasy. Nazywaliśmy je epoką wiktoriańską, pamiętasz? Kiedy Victoria jeszcze pracowała.
- Zgadza się, James.
- Ściągnij tę dziewczynę z powrotem. Tego wszystkim nam trzeba.
- Nie mogę tego zrobić.
- „Duże Jest Piękne” było wtedy świętym miejscem. Wszyscy piliśmy prosto z rąk tej dziewczyny.
- Ona ma już dzieci w podstawówce - wskazała Ellen.
- Nikt już dziś nie robi takich dziewczyn. Taka jest prawda.
- Takie dziewczyny robią zawsze - zaprzeczyła mu Ellen. - Wciąż się takie rodzą i dokładnie w tej chwili w moim barze po drugiej stronie ulicy taką znajdziesz, jeśli szukasz wspaniałej dziewczyny.
- Kto? - spytał Al. - Maddy? Przecież nie Maddy.
- Ja tak cały czas nie piję - oświadczyła zniechęca

ćpunka Amber. - Wiecie o tym? Bywa, że nie piję przez dwa tygodnie.

Wszyscy ucichli i spojrzeli na Amber.

- W porządku, kotuś - powiedziała Ellen. - To wspaniale. Grzeczna dziewczynka.

- No właśnie - odparła Amber. - Nie ma problemu.

Za barem Walter znowu zmienił kasetę i na scenę weszła nowa tancerka.

- Super - ucieszył się Al.

- Wiem, młody - powiedział James. - Nie musisz mi mówić.

Była blondynką, ale nie naturalną blondynką, z ciemnymi brwiami; jej krótkie włosy były szesane prosto wokół bardzo krągłej twarzy. Nosiła siatkowe pończochy i pasek, wielkie, kłocowate pantofle z lat czterdziestych i krótką, niemodną, różową podomkę związaną z przodu. Żuła gumę i kiedy rozległa się muzyka, spojrzała na Ala i zrobiła balona.

- O Matko Święta - jęknął Al.

- Dziewczyna jak raz na rozkładówkę - stwierdził Szafa.

Dziewczyna tańczyła chwilę w podomce, po czym zsunęła ją i wstydliwie złożyła obok swoich stóp. Wyprostowała się, ustawiając piersiami w stronę baru i okazało się, że sutki ma idealnie kształtne i małe, podobne do dekoracji na torcie.

- Ta jest piękna - szepnęła Ellen do Ala.

- Ellen - odparł Al - zjadłbym tę dziewczynę łyżeczką. Z ręką na sercu.

- Cukiereczek — powiedziała Ellen.

Cukiereczek wykonał prawdziwy show, wykorzystując w nim swoją gumę, pończochy, szczupłe, zaróżowione

ramiona, wielkie, kłocowate buty, brzuch i uda. Skupił na sobie wszelką, dostępną uwagę.

- Wiesz, jak ja się czuję? - spytała Ellen Ala. - Tak się czuję, jakbym patrzyła na ciastko, wiesz? Na wystawie cukierni.

- Pychota - odparł z powagą Al. - Pychota.

- Na tej dziewczynie to można ser topić.

- Znasz te tubki ze skondensowanym mlekiem, które znajdujesz na stoisku z nabiałem? - spytał Al. - Wiesz, że jak nimi walniesz o ladę, to one potrafią się nagle otworzyć i wtedy całe to mleko z nich wylatuje?

- Jasne, że znam.

- Ona wyleciała właśnie z takiej tubki.

Cukiereczek tańczył przed lustrem, patrząc na siebie. Przyłożył dłonie do ich odbić i pocałował odbicie własnych ust.

- To jest właśnie piękne w lokalach ze striptizem - powiedział Szafa. - Te usmarowane lustra.

- Wiecie, co ona zostawia na lustrze? - spytał Al. - Masełko.

- Ona nie jest umalowana zwykłą szminką - zauważyła Ellen. - To jest lukier.

Al zaśmiał się i przyciągnął do siebie Ellen, a ona objęła go ramieniem.

- Powinnaś jej dać parę dolców - powiedział.

- Mowy nie ma.

- Byłoby słodko. Pójdę z tobą. Jej się to spodoba. Pomyśli, że jesteśmy małżeństwem i że nasz terapeuta kazał nam tu przyjść w celu ulepszenia naszego życia seksualnego.

- Będzie się zastanawiała, jakim cudem zmusiłam dwudziestolatka, żeby się ze mną ożenił.

Ellen przyłożyła twarz do szyi Ala, ciepłej i słonej. Szafa podszedł do sceny i oparł swoje ogromne cielsko o poręcz, jakby stał na werandzie albo na statku wycieczkowym, jakby przed jego oczyma roztaczał się jakiś piękny, rozległy krajobraz, jakby był człowiekiem, który ma mnóstwo wolnego czasu. Wyjął z portfela kilka dolarów, każdy banknot osobno, i wsadziwszy je między palec wskazujący i środkowy, podniósł w stronę sceny z towarzyszeniem przymilnego uśmiechu. Cukiereczek przyjął pieniądze, nie niszcząc przy tym swojej choreografii, a potem wcisnął je za pasek od pończoch, jakby to był świstek papieru z numerem telefonu, na który miała zamiar zadzwonić później. Na tle Szafy wyglądała jak swoja miniaturowa wersja, perfekcyjnie odrobiony model.

- Szafa będzie stał tam dopóty, dopóki się nie wyprztyka z pieniędzy, prawda? - spytała Ellen.

- To najmilsza dziewczyna pod słońcem - powiedziała ćpunka Amber. - Kocham ją.

Cukiereczek pochylił się i ujął dłońmi ogromną głowę Szafy. A potem jeszcze pocałował go kolejno w obie brwi.

- Ubóstwiam tę dziewczynę - wyznał James.

- Ja też - zawtórował mu Al.

- Kocham ją - przyłączyła się Ellen. - Ja też ją kocham. - Dopita swoją szkocką i dodała: - Dla mnie to wszystko źle pachnie. Ten lokal źle dla mnie pachnie, prawda?

Uśmiechnęła się do Ala, a on pocałował ją swymi pięknymi, pachnącymi alkoholem ustami. I był to pocałunek o wiele bardziej namiętny niż taki, jakim zazwyczaj obdarza się ciotki. Pocałował ją tak, jakby planował ten pocałunek już od jakiegoś czasu, a Ellen przywołała w pa-

mięci wszystkie doświadczenia ze swojej bogatej historii, by przyjąć ten pocałunek i z wdziękiem go odwzajemnić. Pozwoliła mu przytrzymać sobie głowę pewną dłońią, jakby była niemowlakiem o słabej szyi, które ktoś karmi. Jego usta miały ten sam smak co jej pyszna szkocka, tyle że była to szkocka przyjemnie podgrzana.

Kiedy Ellen z Alem wreszcie wrócili na drugą stronę ulicy, do „Duże Jest Piękne”, była już godzina zamykania i Maddy, wredna barmanka, wyrzucała z baru ostatnich pijaków.

- Wynocha do domu! - wrzeszczała. - Jazda stąd i przeproszać swoje żony!

Ellen nie spytała Maddy, jak jej minęła noc, ani nie przywitała się z żadnym ze swoich gości, tylko od razu weszła za bar i odszukała pudło ze znalezionymi rzeczami. A potem ona i Al poszli do sali na tyłach. Ellen rozpostarła znalezione kurtki na stole do bilardu, Al zgasił nisko zawieszoną lampę i oboje wdrapali się na stół, nakryty materacem z cudzych ubrań. Ellen ułożyła się na plecach, z głową na poduszce z zawilgoconej, cudzej marynarki, a Al ułożył głowę na jej piersi. Pocałowała jego pachnące dymem włosy. W mrocznym wnętrzu nie było ani okien, ani wentylatorów, dlatego w powietrzu unosił się zapach papierosów i pyłu kredy. Śmierdziało jak w jakiejś szkole.

Znacznie później, dobrą godzinę później, Al przetoczył się ostrożnie na Ellen, a ona splótła dłonie na jego plecach, ale to już było po tym, jak zafundowali sobie dłuższy odpoczynek, wciąż spowici mrokiem, trzymając się za ręce jak para staruszków. Przysłuchiwali się, jak Maddy, wredna barmanka, wyrzuca ostatnich pijaków z „Duże

Jest Piękne", a potem sprząta i zamyka bar. W najlepsze wieczory Ellen zwykła tańczyć na tymże barze, z szeroko rozpostartymi ramionami, i pokrzykiwać: „Moi ludzie! Moi ludzie!", podczas gdy mężczyźni kłębili się u jej stóp niczym psy albo studenci. Zwykle błagali ją, żeby nie zamykała. Było jeszcze jasno, kiedy przychodzili z drugiej strony ulicy i błagali, żeby nie zamykała. Opowiedziała to Alowi, a on skinął głową. Poczwała to, ale nie zobaczyła tego, bo w przestronnej sali na tyłach było ciemno.

## A potem *lądujesz*

**M**ieszkałam w San Francisco już od trzech miesięcy, a przespałam się tylko z jednym facetem, burakiem z Tennessee. To akurat mogłam zrobić w domu i dzięki temu zaoszczędzić kupę forsy za czynsz. San Francisco było miastem pełnym wykształconych, przebojowych mężczyzn, a tymczasem ja zasadziłam się akurat na tego gościa, który jako jedyny tutaj nosił czapeczkę „Johna Deere”, firmy produkującej traktory.

Zauważyłam go przy barze, bo wyglądał na wyjątego z kontekstu pośród tych wszystkich biznesmenów, kiedy tak tam sobie siedział w kraciastej koszuli i białych skarpetkach. Pił piwo, a obok butelki zauważyłam puszkę z tytoniem do żucia. Jeśli jest coś, czego nie cierpię, to właśnie facetów, którzy żują tytoń. Usiadłam obok niego.

- Jak ci na imię? - spytałam.
- Nie tracisz czasu na długie wstępy - odparł.
- Cholernie długie to imię - zauważyłam. Zamówiłam piwo i umościłam się wygodniej na barowym stołku.

Powiedział, że ma na imię Dean.

- Jestem Julie - przedstawiłam się. - Co robisz w San Francisco, Dean?
- Wuj Sam ściągnął mnie tu do bazy.

Pomyślałam wtedy: przecież nie po to jechałam taki kawał drogi do Kalifornii, żeby chodzić po barach i podrywać poborowych. Nie po to jechałam taki kawał drogi do Kalifornii, żeby się tu napalać na swojego krajana z tanim zegarkiem i włosami na jeża, na kmiotka z miejsciny pewnie jeszcze mniejszej niż ta, z której sama pochodzę.

- No więc co dokładnie robisz w armii, Dean?

- Skaczę z samolotów.

Dziwnie jakoś wycedził tę odpowiedź, przez co zabrzmiała wybitnie aluzyjnie. A teraz patrzył na mnie taksującym wzrokiem; żadne z nas długo nic nie mówiło.

- No tak... - odezwałam się w końcu. - To pewnie niezły ubaw.

Dean przez chwilę nie odrywał oczu od moich. Rozwinął papierową serwetkę, podniósł ją i puścił przed moim nosem: maleńki spadochron z nadrukiem „Pierce Street Bar” w rogu. Serwetka, trzepocząc, sfrunęła na moje papierosy.

- Spadasz i spadasz - powiedział. - A potem lądujesz.

Pociągnęłam spory łyk i odstawiłam butelkę precyzyjnie na pozostawione przez nią wcześniej mokre kółko. Czułam już, od jakiejś chwili zresztą, to magnetyczne przyciąganie od wewnętrznej strony kolan i delikatne trzepotanie tuż pod żołądkiem.

- Masz kowbojki? - spytałam.

- Czemu pytasz?

- Bo to, co masz teraz na nogach, jakoś mnie nie rajcuje. Wyglądasz jak głupek w tych białych skarpetkach i półbutach. Spod tych jeansów powinny wystawać kowbojki, wyglądałybyś w nich o niebo lepiej.

Dean parsknął śmiechem.



- Jasne, że mam kowbojki. Jedź dzisiaj ze mną do Presidio, włożę je specjalnie dla ciebie.

- Zdaje się, że żal ci czasu na urabianie dziewczyn konwersacją, co? - spytałam i oplotłam palcami swoją butelkę z piwem.

Dean nakrył moją dłoń swoją dłonią.

- Masz ładne dłonie - zauważył.

- Właśnie chciałam się napić - odparłam, jak na mój gust głosem jakby zbyt cichym i drżącym. Odkasznęłam.

Oboje przyglądaliśmy się jego dłoni na mojej dłoni i mojej dłoni na butelce.

- Ty też masz ładne dłonie. Duże, ale ładne. - Czuję stawami palców jego odciski. - Wiesz, co się mówi o mężczyznach z dużymi dłońmi? - spytałam i Dean uśmiechnął się szeroko.

- No co się mówi?

- Że potrzebują dużych rękawiczek.

Nie mieliśmy kłopotu z odszukaniem wozu Deana. To był zwykły pick-up z rejestracją z Tennessee, stał zaparkowany przy Pierce Street, dokładnie naprzeciwko baru.

- Jechałeś nim całą drogę do Kalifornii?

- Tak. Jechałem tylko dwa dni.

Na przednim siedzeniu leżało puste pudełko po pączkach, a szyba po stronie pasażera była uchylona do połowy. Na podłodze walały się plastikowe obręcze po sześciopakach, torebki po fast-foodzie i puste pudełka od kaset magnetofonowych, a kiedy wsiadłam do środka, pod moimi stopami coś zachrzęściło.

- Co to było? - spytał Dean, a ja odczytałam treść nalepki na pudełku.

- Hank Williams Junior, Największe Przeboje, Część Druga. Nabijasz się ze mnie.

- O co ci chodzi? Nigdy nie słyszałaś muzyki country?

- Żeby tak mogła.

Dean zapuścił silnik i wyjechał z Pierce Street.

- Powiedziałaś, że skąd jesteś, Julie?

- Z siamtąd - odparłam. - W USA.

- W twoim głosie słychać trochę Południa.

- Może.

- Klapnij tutaj - powiedział Dean i klepnął miejsce obok siebie.

Przysunęłam się najbliżej, jak się dało.

- Chciałbym cię objąć - dodał - ale muszę zmieniać biegi.

Zdjęłam jego dłoń z poszczerbionej, czarnej kulki wieńczącej dźwignię biegów i oplotłam się jego ramieniem.

- Pojedziemy do bazy na dwójce? - spytał.

- Ja będę przerzucała biegi - powiedziałam i w taki właśnie sposób jechaliśmy: ja zmieniałam biegi, trzymając drugą rękę na jego lewym udzie, dzięki czemu wiedziałam, że on naciska sprzęgło, z twarzą tak blisko jego piersi, że czułam jego oddech i widziałam zatrzaski przy jego koszuli. Dean prowadził jedną ręką, drugą trzymał najpierw na moim ramieniu, potem na moich żebrach, a wreszcie na mojej piersi.

Przez jakiś czas milczeliśmy, w końcu Dean się odezwał:

- Mów do mnie. Opowiedz mi coś.

Przyłożyłam usta do jego ucha i przesunęłam dłoń w górę jego uda. Zamknął oczy.

- Patrz na drogę - szepnęłam, a on uśmiechnął się

i otworzył oczy. Widziałam pulsowanie tętna w jego szyi. - Masz łóżko wąskie czy szerokie? - spytałam.

- Wąskie - odparł Dean.

- Chyba chciałabym cię zobaczyć w splewiałych jeansach i żeby wystawały spod nich kowbojki - powiedziałam. - Chciałabym leżeć na twoim łóżku i przyglądać ci się, jak tam stoisz nagi od pasa w górę, w tych jeansach opadających nisko na biodra i kowbojkach. I tylko się na mnie patrzysz. OK?

Dean, z oczyma utkwionymi w drogę, przełknął ślinę i przytaknął. Pocałowałam go w ucho.

- Chyba wyglądałbyś super - stwierdziłam.

Obudziłam się następnego ranka i zobaczyłam faceta w spodniach moro i z włosami utlenionymi na biało; przestępował właśnie przez stertę utworzoną z mojej bluzki splewanej z biustonoszem i spódniczką. Na lewym policzku miał znamię, tej samej wielkości i barwy co ziarenko śrutu.

Dean i ja zasnęliśmy szczepieni z sobą, jego pierś i brzuch służyły za poduszkę dla mojego kręgosłupa, przez co twarz i usta miał ukryte w moich włosach.

- Dean? - zawołał obcy facet, patrząc na mnie. - Wstajesz?

- Cześć, Hunt - powiedział Dean do mojego karku.

- Co to za dziewczyna?

- To Julie. Julie, to jest Hunt. Mieszka ze mną w tym pokoju.

- Hej - powiedziałam.

Współlokator Deana nie odpowiedział, więc jeszcze chwilę tak się sobie tylko przyglądaliśmy. Miał jeden długi dołek w podbródku i drugi, miniaturowy, na czubku nosa,

a do tego głęboką bruzdę między oczami. Tak to wyglądało, jakby ktoś oznakował jego twarz, przygotowując się do jej rozszczępienia, ale nigdy nie zrealizował zamiaru.

Dean wsunął dłoń między moje uda ukryte pod szorstkim, zielonym wojskowym kocem. Trzymał ją tam, zimną i nieruchomą, ale pełną możliwości.

- Gdzie spałeś, Hunt? - spytał.

- W świetlicy.

- Nie gadaj.

- Gadam.

- Nie musiałeś tego robić, człowieku. - Dean przesunął dłoń wyżej.

Hunt uśmiechnął się szeroko, ale tylko jedną stroną twarzy, niczym ofiara wylewu.

- Przyszedłem o trzeciej - powiedział - i usłyszałem, że się ciupciacie, więc nie zapukałem.

Dean zarechotał. Obróciłam się na łóżku, starając się nie odstąpić, i spojrzałam mu w twarz.

- Nie szaleję za twoim współmieszkańcem - szepnęłam mu do ucha, a on wtedy zaczął się śmiać jeszcze głośniej.

- Julie cię nie lubi, Hunt - powiedział.

- Ledwie co widziałem wideoclip z Madonną - oznajmił Hunt, nieporuszony uwagą Deana. - No wiesz, ten, na którym ona jest w męskim garniturze i chwyta się za krocze tak jak Michael Jackson?

- Tak, znam to - odparł Dean.

- Gorący towar, co?

- Uhu.

Poszukałam wygodniejszego miejsca na piersi Deana, nieco dalej od jego obojczyka, i powiodłam palcem po cienkiej kresce jedwabistych włosków pod jego pępkiem.

- Jeszcze sobie pooglądam telewizor - poinformował nas Hunt. - Może to znowu pokażą. Często to puszczają.

- Uhu - mruknął Dean.

- Mam zapukać, jak będę wracał?

- Jak chcesz, człowieku.

Gdy tylko Hunt wyszedł z pokoju, Dean ułożył się na mnie i podciągnął moje uda na swoje biodra. Szczepiłam palce za jego głowę.

- Och, mała - powiedział Dean. - Jak ja się cieszę, że już się obudziliśmy.

- A więc nie lubisz mojego współlokatora? - spytał Dean.

Siedzieliśmy w jego pick-upie, przy dalekim krańcu Baker's Beach; popijaliśmy piwo i obserwowaliśmy dwoje ludzi w morzu, którzy rzucali do siebie frisbee. Oprócz nich i nas nikogo więcej tam nie było.

- Kiedy się utopią, będziemy mieli całą plażę dla siebie - zauważyłam.

Wnętrze wozu Deana śmierdziało hamburgerami, które właśnie zjedliśmy.

- Mogą sobie wziąć tę plażę - odparł Dean. - I tak jest za zimno, żeby pływać. Ja tam się cieszę, że mamy ten parking. - Wsunął mały palec do butelki i powoli zadyndał nią sobie przed twarzą, jakby próbował się zahipnotyzować. - Kiedyś tak zrobiłem i nie mogłem potem wyjąć palca.

- W takim razie mądrze robisz, że to robisz, co?

Wyciągnął palec z towarzyszeniem głuchego puknięcia i podniósł go w górę. A ja się nachyliłam i ugryzłam ten palec.

- Smakuje piwem? - spytał.

- Raczej nie.

Dean przyciągnął mnie i delikatnie przejechał językiem po moich wargach.

- Lubię twój smak.

Pocałowałam go, a potem opadłam z powrotem na swoje siedzenie.

- Nie, nie lubię twojego współlokatora - powiedziałam. Ułożyłam nogi na desce rozdzielczej i patrzyłam między nimi na tamtych w morzu. - A tak w ogóle to skąd on jest? Z Alabamy?

- Z Wirginii Zachodniej.

- Naprawdę? Ale i tak go nie lubię. Przypomina mi tych facetów z mojego miasta. Dobrze wiem, o co mu chodzi w życiu.

- Serio?

- Uhu. - Zaczesałam czubkami palców włoski na nodze Deana w odwrotną stronę i wygładziłam je. Miał na sobie szorty, od pasa w górę był nagi. I do tego kowbojki.

- Założę się, że Hunt ma wóz na sześciu kołach - powiedziałam. - I że ma też pasek ze sprzączką z napisem: „Południe jeszcze się podniesie”. Któregoś dnia wpadnie z jakąś dziewczyną, być może swoją kuzynką, i potem spłodzą mnóstwo dzieci, dokładnie takich jak on. Bandę bachorów z tasiecmami od jedzenia „babek” z błota.

Dean zaczął się śmiać.

- No to jakich facetów lubisz?

Balansował butelką piwa postawioną na rozpostartej dłoni.

- Studentów - odparłam. - Prawników. No wiesz.

Dean przytaknął z wyraźnym zainteresowaniem.

- Pozwól, że o coś spytam. Czy od wyjazdu z domu puszczałaś się z wieloma facetami?

Spojrzałam na niego ze spokojem.

- Ja ci tylko powiedziałam, jacy faceci mnie pociągają.

Znowu przytaknęła.

- Więc faceci tacy jak ja cię nie pociągają?

- Nie.

Dean odstawił butelkę na deskę rozdzielczą i delikatnie mnie popchnął, przez co teraz leżałam płasko na siedzeniu.

- W ogóle mi to nie przyszło do głowy - powiedział i zaczął powoli ściągać ze mnie majtki, najpierw spod spódniczki, potem z moich łydek, wreszcie do końca. A potem zadarł mi spódniczkę do pasa, wsadził głowę między moje nogi i zaczął całować wewnątrz moich ud.

- Kurwa, jak ja tak lubię - powiedziałam po kilku chwilach, a Dean spojrzał wtedy na mnie.

- Masz elegancki język jak na dziewczynę, która podobno jest ze wsi.

- Sam masz elegancki język - odparowałam.

Była północ; siedzieliśmy w jednym z barów sieci International House of Pancakes.

- Wszystkiego najlepszego z okazji naszej rocznicy - powiedział Dean i wznosił toast mlecznym shakiem. - Jesteśmy z sobą już całą dobę.

- Te kelnerki nie są tu najlepsze - stwierdziłam i podniosłam swoją szklankę z wodą, nie po to, by wznieść toast, tylko domagając się dolewki. - Już od półgodziny wysysam ten lód.

- Od dziesięciu minut - poprawił mnie Dean.

- Nieważne. Kelnerka powinna pilnować takich rzeczy. Dobra kelnerka.

- Kiedy się uśmiechasz, dolna część twoich oczu wygląda tak. — Dean umoczył palec w swoim shake'u i wyrysował na stole półksiężyc. - To mi się podoba.

Czułam, że piecze mnie skóra dookoła ust, podrapana przez zarost Deana, i z trudem siedziałam po tym całym seksie. Dean złożył głowę na oparciu krzeselka z turkusowego winylu i zamknął oczy.

- Padasz już z nóg? - spytałam, a wtedy on się uśmiechnął i pokręcił głową, nie otwierając oczu.

- Nie, sir. Jestem gotów na kolejną rundę, sir.

- Kłamczuch. Dopiero co widziałam, że szedłeś jak kowboj.

- Chodzę tak przez te kowbojki.

Kelnerka dołała mi wody i przez jakiś czas nie rozmawialiśmy. W końcu wypiałam wodę jednym haustem, odchrząknęłam i powiedziałam:

- No cóż... cieszę się, że cię poznałam, Dean.

Dean oderwał głowę od oparcia i spojrział na mnie oczyma tej bursztynowej barwy, jaką ma whisky starzejąca się na dnie beczki.

- Wybierasz się dokądś? - spytał.

- Raczej nie. A może tak. Może zostanę w San Francisco, ale może też niedługo wyjadę. Nie lubię siedzieć zbyt długo w jednym miejscu, wiesz?

Dean nie odpowiedział, czekał.

- Albo może przejadę się do Los Angeles - ciągnęłam, przenosząc wzrok z twarzy Deana najpierw na ladę chłodniczą z deserami, a potem na drzwi toalety. - Zastanawiam się też, czy się nie kopnąć do Seattle albo do Portlandu.

- Postanowiłaś wyjechać już jutro czy jak?

Wyraźnie nic nie rozumiał. Przewróciłam oczami.

- Słuchaj, nie chcę się z tobą o to kłócić.



- Nikt się tu z nikim nie kłóci. Chciałem tylko wiedzieć, co miało znaczyć to „Cieszę się, że cię poznałam”.

- Dean, jesteś miłym facetem i w ogóle... OK? Ale ja nie chcę się z nikim wiązać. Nie chcę, żebyś się do mnie przywiązał i tak dalej.

- Co?

- Nie po to tu jechałam taki kawał drogi.

- Nie?

- Nie.

Sięgnęłam po butelkę z syropem klonowym. Przewróciłam ją do góry nogami i przyglądałam się jak brązowa ciecz spływa w dół, ospale jak lawa.

- Ty i ja nie mamy z sobą nic wspólnego, Dean. Ty pewnie odśłużysz swoje w armii, potem wrócisz do Tennessee, prawdopodobnie. Nic w tym złego, tylko dla ciebie dobrze. Ale to nie dla mnie. Nie mam zamiaru wychodzić za mąż w Tennessee.

- Nie pamiętam, żebym ci się oświadczał.

- Przecież wiesz, co chcę powiedzieć.

- Nie wiem.

Ujęłam jego rękę przez stół i on mi na to pozwolił, tak jak się pozwala kelnerce zabrać pusty talerz.

- Dean - powiedziałam - posłuchaj. Nie ma sensu jechać dwa tysiące mil po coś, co możesz zdobyć za płotem. Rozumiesz mnie?

Nie odpowiedział od razu. I nie usłyszałam w jego głosie oskarżycielskiego tonu, kiedy się w końcu odezwał:

- Mnóstwo facetów w tamtym barze przy Pierce Street miało to, czego ty szukasz, Julie. A skoro tak, to czemu usiadłaś obok mnie?

Oderwałam dłoń od jego dłoni i położyłam ją sobie na

kolanie. Popatrzyłam na swój rękaw, brudny od podłogi w pokoju Deana.

- Wiem, o co ci... - zaczęłam mówić, chcąc, by to zabrzmiało równie zimno, ale ostatecznie coś mi odebrało głos.

- Nie, nie wiesz, Julie. Nie znasz mnie nawet w połowie.

- Hm. Myślę, że jednak cię znam.

- Mylisz się, tak myśląc - powiedział. - Ani trochę mnie nie znasz i mylisz się, myśląc, że jest inaczej.

Popatrzelismy na siebie ponad stołem. Twarz Deana była chłodna i szczerza. Nie po to jechałam aż do Kalifornii, pomyślałam, ale nic nie powiedziałam.

Przyglądałam się, jak kelnerka za ladą z deserami odcina kawałek wysokiego, białego tortu i potem ostrożnie nakłada trójkąt na talerzyk. Obejrzała się za siebie, po czym zlizwała plamkę lukru ze swojego kciuka. Inna kelnerka czyściła wnętrze wielkiego ekspresu do kawy czymś, co wyglądało jak szczotka do czyszczenia toalet.

- Co robisz? - spytał Dean po jakimś czasie.

- Nic - odparłam. - Patrzę.

Uśmiechnął się nieznacznie.

- No co? - spytałam.

- Nic. - Dean uśmiechnął się jeszcze szerzej. - Tylko jakoś nie widzę, żebyś poderwała się z miejsca i zaczęła uciekać.

- Uważasz, że tego nie zrobię?

Dean wzruszył ramionami.

- Tylko czekam, to wszystko.

- OK - powiedziałam. - OK.

Kelnerki chodziły po restauracji, usadzając gości, podając jedzenie, wsuwając napiwki do kieszeni swoich

fartuchów. Ktoś wyszedł z kuchni z mopem, by wytrzeć coś, co się rozlało. Kierownik rozwiązywał krzyżówkę i popijał mleko z wysokiej szklanki. Obserwowałam ich wszystkich, a Dean tymczasem siedział w milczeniu po drugiej stronie stołu, czekając.

Jak długo ten facet będzie tu siedział? - zastanawiałam się.

Ale Dean nie wstał, by wyjść, i ja też nie.

## Zabierajcie stąd te głupie dzieciaki

**M**argie i Peg aresztowano, kiedy upiwszy się winem kuchennym szefa kuchni, wyszły na parking i wysmarowały masłem przednią szybę każdego zaparkowanego tam samochodu. Był późny wieczór. Był też późny wrzesień i sezon turystyczny dawno się skończył. Tego wieczoru w restauracji, w której pracowały Margie i Peg, pojawiło się niewielu klientów i niewiele aut stało na parkingu. Tak się złożyło, że jeden z wysmarowanych przez nie samochodów był wozem patrolowym policjanta stanowego stanu Delaware. W ogóle nie zauważyły, że to samochód policyjny. Prawdę mówiąc, nie zwracały na nic uwagi. Policjant stanowy wyszedł z restauracji na parking i zobaczył, jak dziewczyny dokonują aktu wandalizmu.

Peg rzuciła się do ucieczki, Margie natomiast została na miejscu i wołała za nią:

- Stój, Peg! Bo zastrzeli cię jak psa!

Peg jej uwierzyła, chociaż z ust policjanta stanowego nie padły żadne groźby, jedynie warkliwe „Hej!”

Zatrzymał je obie na parkingu i wezwał miejskiego gliniarza, żeby przyjechał i zrobił, co do niego należy.

- Zabierajcie stąd te głupie dzieciaki - powiedział do miejscowego policjanta przez radio.

Policjant stanowy tkwił na parkingu z Margie i Peg, czekając na miejscowego policjanta. A deszcz padał i padał. Policjant miał praktyczny nieprzemakalny płaszcz, natomiast dziewczęta w swoich kelnerskich strojach przemokły do suchej nitki.

- Zastanawiam się, czy nie mógłby pan nam pozwolić wejść do restauracji i tam poczekać na tego drugiego policjanta? - odezwała się Margie. - Zastanawiam się, czy nie byłoby przyjemniej nie stać na tym deszczu, kiedy oczekujemy przybycia owego dżentelmena? Co pan na to?

Margie miała zwyczaj (świeżo nabyty tego lata) mówienia w taki wielkopański i wyrafinowany sposób. Był to bardzo nowy zwyczaj. Owa niedawno wypracowana maniera nie na każdym robiła dobre wrażenie. Tego szczególnego wieczoru wydawało się, że Margie za chwilę zwróci się do policjanta stanu Delaware „mój dobry człowieku”. Policjant przyjrzał się dziewczynie w przemoczonym stroju kelnerki, która przemawiała tak filuternie. Była ewidentnie pijana. Miała uniesioną pytająco jedną brew i jeden palec przyciśnięty kokieteryjnie do bródki.

- Jeśli o mnie chodzi, to możesz sobie stać w deszczu przez całą noc, Panienko Du Pont - oświadczył policjant.

- To bardzo zabawne - powiedziała mu na to Peg.

- Dziękuję - odparł.

Przyjechał miejscowy policjant. Wyglądał na znudzonego. W rzeczy samej był aż tak znudzony, że oskarżył Margie i Peg o pijaństwo w miejscu publicznym, o zakłócanie spokoju i wandalizm.

- Dobry Boże! - zdziwiła się Margie. - Całe mnóstwo poważnych zarzutów za jeden jakże nieszkodliwy dowcip.

Policjant zapakował dziewczęta do wozu patrolowego i zabrał do miejscowego aresztu, gdzie pobrano im odciski palców, a następnie zapuszczowano.

Chłopak Peg, przystojny facet, niejaki J.J., przyjechał, żeby wpłacić kaucję za Peg i Margie, ale zanim to nastąpiło, dziewczęta zdążyły spędzić kilka godzin w porządnej celi.

- Rozejrzyjcie się, paniusie, dookoła - powiedział znudzony miejski policjant, zamykając je w celi. - Zapoznacie się z otoczeniem. Zapamiętajcie, co to oznacza znaleźć się za kratkami. Nic przyjemnego, co? Pamiętajcie to uczucie, kiedy następnym razem zdecydujecie się popełnić przestępstwo.

Margie i Peg rozejrzały się wokół. Zapoznały z otoczeniem. Pożuły gumę, którą Margie miała przy sobie, a potem zasnęły. Kiedy wreszcie zjawił się J.J., chłopak Peg, żeby je stamtąd wyciągnąć, była trzecia nad ranem.

- Nieźle z was szajbuski - oświadczył J.J., wrócił do samochodu i podjechał pod samo wejście do komisariatu, żeby dziewczęta nie musiały znowu moknąć.

Jechali do domu, a krople deszczu uderzały mocno w dach samochodu, zupełnie jak grad. Wydawało się, że każda z nich ma ciężar i twardość surowego ziarnka fasoli. Szalejący gdzieś dalej na Atlantyku huragan jedynie zawadził o wybrzeże stanu Delaware, ale i tak objawiało się to dość gwałtownie.

J.J. prowadził z brodą niemal na kierownicy, żeby w ogóle widzieć drogę. Peg spała na tylnej kanapie. Margie znalazła gumę do żucia, która zaplątała się jej we włosy, i pracowicie ją wydłubywała.

- Gliniarz chciał was trzymać w areszcie całą noc, ale go przekonałem, żeby was puścił - pochwalił się J.J. Margie.

- Jak ci się udało tego dokonać, ty nasz kochany mądralo? - spytała Margie.

- Powiedziałem mu, że do rana droga do naszego domu może być rozmyta przez cały ten deszcz i nie będę mógł po was przyjechać. Zachował się przyzwoicie.

- Mężczyźni lubią rozmawiać o takich męskich sprawach jak rozmyte drogi, prawda?

- Zgadza się - odparł J.J.

- Uścisnęłaś mu mocno i po męsku dłoń, J.J.?

- Tak, uścisnąłem.

- Nazwałaś go szanownym panem?

- Tak jest, szanowna pani.

- Bardzo ładnie, J.J. - pochwaliła go Margie. - Jestem ci niezwykle wdzięczna za uwolnienie nas z tego okropnego więzienia.

Kiedy wrócili do domu, John, rozkapryszony i niemądry chłopak Margie, nie spał.

- Moim życzeniem jest wznieść kielich w towarzystwie tych przestępczych supermózgów - oświadczył na przywitanie.

John miał taki sam zwyczaj jak Margie - mówienia w wyrafinowany i wielkopański sposób. To właśnie od niego Margie przejęła tę manierę. Pomysł był Johna.

- Uważasz, że jesteśmy godne pogardy, John? - spytała Margie i pocałowała go w policzek.

- Mam takie życzenie! - powiedział John. - Moim życzeniem jest, byśmy usiedli na dworze w tym wspaniałym deszczu i słuchali mrozących krew w żyłach opowieści o życiu w wielkim domu.

- Niemądry John - zaśmiała się Margie. - Głupiutki John. Nie wiesz, że to jest ten wielki dom?

Margie miała stuprocentową rację. To rzeczywiście

był duży dom. Należał do Johna. Chłopak miał zaledwie dwadzieścia jeden lat, ale był już właścicielem tego dużego domu na wybrzeżu stanu Delaware. Rodzice podarowali mu go z okazji ukończenia college'u. Rodzice Margie dali jej coś zupełnie innego, mianowicie bransoletę. Rodzice Peg zabrali ją na kolację do restauracji, a rodzice J.J. przysłali mu okolicznościową kartkę, podpisaną przez wszystkie jego ciotki i wszystkich wujków.

John był bogaty. Jego ojciec, producent filmowy, mieszkał w Hollywood i był bardzo bogaty. Matka Johna była kiedyś miss stanu Delaware. Rozwiodła się z ojcem Johna i mieszkała w rezydencji nad Zatoką Chesapeake. Tylko raz tego lata odwiedziła syna w jego nowym domu przy plaży. Przyjechała mercedesem, równie czarnym i twardym jak mokra skała.

John zamierzał nigdy nie wyprowadzać się ze swojego domu otrzymanego w prezencie i zaproponował przyjaciółom z college'u, żeby się tam wprowadzili na tak długo, jak zechcą. Na początku było ich pięcioro. Wszyscy razem mieli tylko dwa imiona. Były trzy Margaret i dwóch Johnów. Jedni mieli przydomki, inni nie. Byli zatem John, J.J., Margie, Mags i Peg.

- Dobry Boże! - zauważył kiedyś z zachwytem John. - Mamy tu prawdziwego fula. Swego rodzaju parę i trójkę. Czyż to nie jest szczęśliwy traf? Czyż nie cudownie jest otrzymać z rozdania taki układ?

Jednak pod koniec sierpnia Mags opuściła dom przy plaży i przeniosła się na Florydę. Przedtem zwierzyła się Peg w tajemnicy.

- Coś ci powiem, Peg. Chodzi o to, że zacznym Johna nienawidzić.

- Miała prawo opuścić ten dom, kiedy tylko chcia-



ła - skonstatował John po jej wyjeździe. - Nikt nie musi tu siedzieć tylko po to, żeby mi zrobić przyjemność. Choć mogła pomyśleć o tym, żeby zastąpić siebie jakąś inną Margaret, żeby nasz karciany układ pozostał taki pomyślny, czyż nie? Niestety! Teraz jesteśmy jedynie dwiema parami. Ale wy wszyscy chyba zostanieie, prawda?

- Zostaniemy wszyscy! - oświadczyła Peg i uściskała swojego przystojnego chłopaka, J.J.

- Czy ten dom jest przygotowany do zimy? - spytał Johna J.J.

- Litości! Nie mam pojęcia - odparł rozkapryszony i niemądry John. - Nie mógłbyś go przygotować, J.J.? Jesteś taki mądry. Nieprawdaż? Czy przygotowanie mojego domu do zimy stanowiłoby duży problem?

W rzeczywistości dom nie był przygotowany do zimy, co czwórka jego mieszkańców zaczęła odczuwać pod koniec września. Nie znali żadnego sensownego sposobu, żeby się ogrzać. Co więcej, tamtej nocy, po aresztowaniu Margie i Peg, wszystko wskazywało na to, że żadne z czwórki młodych ludzi nie ma pracy. Zajęcie ratownika dla J.J. skończyło się już po Święcie Pracy, czyli po pierwszym poniedziałku września, kiedy wyjechali turyści. Było raczej pewne, że Margie i Peg stracą pracę kelnerek, po tym ich numerze z masłem na parkingu przed lokalem. Jeśli chodzi o rozkapryszonego i niemądrego Johna, to ten nigdy nie miał żadnego zajęcia. Spędził całe lato, hodując sobie długie włosy i pisząc dalsze części do filmów, które już miały dalsze ciągi.

- No cóż, moje zachwycające kryminalistki - powiedział John. - Ruszajmy na dach. Usiądziemy tam sobie na wychodzącym na morze tarasie i radując się tym wspaniałym deszczem, będziemy się raczyć alkoholem.

I zdarzyło się tak, że czwórka przyjaciół powędrowała na dach dużego nadmorskiego domu Johna, żeby pić piwo i obserwować pogodę. Od morza dzieliła ich zaledwie jedna wydma, ponieważ atakowana przez fale i padający deszcz plaża miała spore kłopoty, żeby się zupełnie nie rozmyć. Czwórka przyjaciół siedziała na deszczu, na czterech przemokniętych krzeselkach ogrodowych. Zimna woda zbierała się w kałuże przy ich stopach i zimna woda lała się im po plecach.

- Ten sztorm - oświadczył John - przyniesie ze sobą zimne wody. Już nie będziemy mogli sobie popływać. Przyjaciele, z prawdziwą przykrością wam to komunikuję. Ten sztorm oznacza koniec naszego szczęśliwego lata.

- Żadnego pływania! - wykrzyknęła przerażona Margie.

- Żadnego pływania! - potwierdził John. - Tak! Jakie to smutne, że ten sztorm kończy nasze urocze lato.

Margie wyglądała na zdruzgotaną. Zupełnie jakby pierwszy raz w ogóle rozważała koncepcję zmiany pór roku.

- Żadnego więcej pływania? - upewniła się. Była naprawdę wstrząśnięta. - Czy to możliwe?

- Najokrutniejszy miesiąc to wrzesień - oświadczył John, parafrazując Eliota.

Trzymał na kolanach otwartą dużą torbę chipsów ziemniaczanych, które deszcz zamienił w mokrą, słoną breję. Wyłowił z niej kilka kompletnie przemokniętych sztuk i cisnął je przed siebie.

- Co za nawałnica - zauważyła Peg. - Ojej!

- To jeszcze nic, Peg - uspokajał ją J.J. - To nie jest nawet prawdziwa nawałnica. Prawdziwa zajęta jest rozpieprzaniem jakiegoś innego miejsca i zupełnie się nami nie przejmuje.

- J.J. ma rację - oświadczył John. - Przecież to zaledwie popłuczyny prawdziwej nawałnicy.

- Mój Boże - powiedziała Margie. - W każdym razie nie ulega wątpliwości, że pada ulewny deszcz. Peg, złotko?

- Tak? - odezwała się Peg.

- Czy człowiekowi notowanemu w kartotekach policyjnych jest ogromnie trudno otrzymać pracę?

- My nie jesteśmy notowane, Margie.

- Nie jesteśmy? Czyż nie aresztowano nas dzisiaj wieczoru?

- Taa, ale notowanie to co innego. To coś takiego, co się ma, kiedy jest się zawodowym przestępcą. Nie możesz być notowana, dopóki nie popełnisz kilku przestępstw.

- Peg wydaje się bardzo tego pewna - zauważyła Margie.

- Dla kogoś, kto nie ma pojęcia, o czym ona mówi - powiedział John - Peg brzmi jak prawdziwy prokurator generalny.

- Tak się składa, że wierzę, iż nie można dostać pracy, jak się jest notowanym - powiedziała Margie. - Już nigdy nie będę miała żadnej posady i Peg też nie. Jesteśmy zgubione! John, skarbie? Czy zawsze będziesz się mną opiekował?

- Naturalnie - odpowiedział John.

- Ale co się stanie z Peg? Będzie musiała stać się zabawką w rękach jakiegoś bogatego starucha. John, kochanie? Znasz jakiegoś bogatego starucha, któremu potrzebna jest młoda zabaweczka?

- Tylko mojego ojca - odparł John. - A on chyba już ma jakąś zabawkę.

Imponująca błyskawica przecięła niebo.

- A niech to - powiedział J.J.

John wstał. Przełożył sobie kucyk przez ramię i wycisnął z niego wodę.

- Moim życzeniem jest - oznajmił - żebyśmy poszli popływać. To nasza ostatnia okazja. Nie wahajmy się, ponieważ jutro woda będzie z pewnością za zimna.

- To śmieszne - powiedział J.J. - Ja nie idę popływać.

- To śmieszne - powiedziała Peg. - Jestem pewna jak jasna cholera, że nie idę popływać.

- Oboje jesteście cudownie śmieszni - powiedział John - bo my naprawdę pójdziemy popływać. Jest to moim życzeniem.

- Tej nocy nikt nie popływa, koleś - powiedziała Peg.

John wyciągnął w górę pięść i krzyknął:

- Do morza! Pójdziemy do morza z zapalem! Żądam zapalu.

- Mój słodki John postradał zmysły - stwierdziła Margie.

- Jutro już sztormu nie będzie, przyjaciele - powiedział John. - Wychynie słońce, ale woda będzie zimna. I będziecie bardzo żałować, że straciliście ostatnią okazję, żeby sobie popływać.

- John po prostu stracił rozum - powiedziała Margie.

- To nawet nie jest prawdziwy sztorm - powiedział John. - Czyż właśnie dokładnie nie coś takiego powiedział J.J.? Prawda? A J.J. to przecież rozsądny gość. To zaledwie popłuczyny sztormu. Wstyd by mi było nazywać to sztormem.

- Idę popływać - oznajmił J.J. - Co mi tam!

Margie spojrzała na Peg, potem na Johna i w końcu na J.J., którego wśród przyjaciół rzeczywiście uważano za człowieka rozsądnego. J.J. siedział pochylony do przodu z butelką piwa na brzuchu. Jego mokre kształtne ciało osunęło się nisko, wyglądał w tej okropnej pozie jak pijany wujek.

- Jasne. Pójdę popływać - powiedział J.J. - Przecież już bardziej nie zmokniemy, co? - dodał w formie wyjaśnienia.

- Trafieś w sedno - powiedziała Peg. - To chyba logiczne.

W tym momencie wyglądało to tak, jakby podjęto oficjalną decyzję. Jakby czwórka przyjaciół była czwórką biznesmenów wyrażających zgodną opinię. Jakby czwórka przyjaciół była czwórką dyrektorów, którzy osiągnęli konsens, sądząc po tym, jak wstali i ruszyli schodami w dół, a potem przez wydmnę na plażę. Kiedy przechodzili przez frontową werandę, Margie wzięła swoje nadmuchane koło ratunkowe w kształcie słonia Dumbo, przełożyła je przez głowę i opuściła na biodra. Była to tylko dziecięca zabawka, ale zabawna. Przez całe lato zabierała ją ze sobą, kiedy szła się kąpać. Trzymała szarą plastikową trąbę Dumbo jak różdżkarz i podążała za nią prosto do wody.

Na plaży rozkapryszony, niemądry John i przystojny J.J. zdjęli buty i ruszyli do wody, nie rozebrawszy się. Przedzierali się przez wzburzone, spienione fale, sięgające raz do bioder, raz do piersi. Podnosili wysoko nogi, zatrzymywali się, napierali na wodę, mocowali z nią, jakby przechodzili przez gęste, ruchliwe błoto. Johna niemal natychmiast przewróciła pierwsza wysoka fala, jednak J.J. zanurkował i wypłynął na kolejnej. John wynurzył się, krzyknął coś radośnie, po czym nakryła go następna fala.

Peg zdjęła tylko spódnicę, natomiast Margie rozebrała się do bielizny i wbiegła do wody za Johnem i J.J., przytrzymując obiema rękoma Dumbo na biodrach i wrzeszcząc.

Peg stała jakiś czas przy brzegu, pozwalając, by woda sama przykryła jej stopy. Wystarczyły dwie fale, żeby jej nogi zanurzyły się powyżej kostek. Ciemność i deszcz nie pozwalały jej sięgnąć zbyt daleko wzrokiem poza głowy trójki przyjaciół. W końcu ruszyła w stronę grzywacza, prosto na spotkanie fali, która przez moment górowała nad nią wysoko jak ogrodzenie z siatki. Fala się przetoczyła, a ona już odprężona pozwoliła jej się zagarnąć. Kiedy się wynurzyła, była na szczycie kolejnej fali. Zobaczyła Johna i J.J., i Margie z otwartymi ustami w dolinie poniżej. Trąba Dumbo wystawała z wody jak peryskop. Większa niż dotąd fala zwała się na Peg, a także na jej przyjaciół.

Kiedy Peg wynurzyła się ponownie, nie widziała pozostałej trójki. Przebierała nogami w miejscu i zanurkowała pod trzy kolejne fale, zanim uniosła się wystarczająco wysoko, by zobaczyć, że wypłynęli dalej na ocean. Jej chłopak i dwójka przyjaciół dotarli do miejsca, gdzie fale się wznoszą, ale nie załamują. J.J. był oddalony od Johna i Margie i unosił się na plecach. Margie zobaczyła Peg i przywołała ją machnięciem ręki. Po dziesięciu minutach Peg dopłynęła do nich. John zgubił gumkę trzymającą kucyk i włosy rozłożyły mu się wokół głowy jak morskie wodorosty.

- Ale głośno - zawołała Margie. - Czyż nie?

Peg była zdyszana, więc tylko kiwnęła głową. Długie pasmo włosów ciągnęło się od kącika ust Margie do ucha, tworząc na jej twarzy krechę wyglądającą jak rana zadana nożem podczas bójki. Wszyscy niezdarnie przebierali

w miejscu nogami, wypływali słoną wodę i wyciągali szyje, żeby utrzymać głowy nad rozfalowaną powierzchnią. Wszyscy poza J.J., który nigdy nie wyglądał niezdarnie. J.J. pływał swobodnie w kółko, uderzenia jego ramion były regularne i mocne, jakby pokonywał kolejne długości basenu w ośrodku YMCA, a nie walczył ze wzburzonym oceanem.

- Jaka tu jest głębokość według szanownego pana? - krzyknął John.

Wyniesiony przez wysoką falę J.J. roześmiał się.

- Dwadzieścia stóp! - odkrzyknął. Potem fala opadła. - Nie! Cofam, co powiedziałem. Dziesięć stóp! - Wezbrała kolejna fala i J.J. oświadczył: - Nie! Osiemnaście stóp!

Peg zacisnęła palcami nos i opadła pod wodę, starając się sięgnąć dna. Kiedy do niego dotarła, poczuła pod stopami kamienie, a potem coś miękkiego. Przestraszyła się i wierzgając gwałtownie, wynurzyła na powierzchnię. Próbowała zetrzeć z oczu morską wodę, ale deszcz wpychał ją i tak z powrotem.

- Byłoby łatwiej, gdybyśmy byli gatunkiem, który nie musi oddychać - powiedziała Margie. Margie ze swoim Dumbo, który trochę ją podtrzymywał, była mniej zmęczona niż przyjaciele. Była najweselsza, najmniej zdyszana. - John, złotko? - spytała. - Ile jesteś w stanie wytrzymać bez oddychania?

- Ostatnim razem było to trzy godziny - odkrzyknął John.

- Wielkie nieba! - zdziwiła się Margie.

John się roześmiał, nabrał przy okazji sporo wody do ust i się zakrztusił. Zaniósł się mokrym kaszlem. Peg rozejrzała się i zobaczyła, że wypłynęli daleko poza molo i od domu dzieli ich już duży dystans. Nic na ten temat nie

mówiąc, cała czwórka zaczęła płynąć w stronę plaży. Niby od niechcenia starali się kierować w stronę domu. Wszyscy byli zmęczeni, ale nikt o tym nie wspomniał. Przez jakiś czas usiłowali zbliżyć się do brzegu, ale wyglądało na to, że nie czynią żadnych postępów. Przestali żartować, przestali nawet ze sobą rozmawiać.

Po długim czasie pierwszy odezwał się J.J.:

- O kurwa.

- Co? - zdyszczanym głosem spytała swojego chłopaka Peg. - Co się stało?

- Meduza.

Nastała kolejna długa chwila milczenia. W tym czasie przestali już udawać, że nie kierują się w stronę brzegu.

- J.J.! Mój przyjacielu! - krzyknął w końcu John.

- Taa - odpowiedział J.J.

- Zaczynam być... hm... dość zmęczony.

- W porządku - powiedział J.J. - W takim razie będziemy wracać.

John przewrócił oczyma, niemal ze złością.

- Strasznie bolą mnie nogi - wyjaśnił.

- Już wracamy - powiedział J.J. - Pomogę ci.

- Moje nogi są... hm... ciężkie - oświadczył John.

- Musisz zdjąć dzinsy, John - poradził mu J.J. - Dasz radę?

Wszyscy czuli, jak zimno deszczu wwierca im się w czaszki, ich zziębnięte oddechy przepojone były wilgocią.

John krzywił się, usiłując ściągnąć dzinsy. Zanurzał się pod wodę, wypływał, znowu zanurzał. J.J. płynął za nim, podtrzymywał, wsunawszy mu ręce pod pachy. John powiercił się jeszcze trochę i wreszcie dzinsy wyskoczyły na powierzchnię, gdzie unosiły się przez chwilę, ciemne jak skóra rekina, a potem zatoneły.



- Wracamy! - krzyknął J.J. - Jeśli wy, dziewczęta, dacie radę, to też płynicie. Jeśli nie, to się nie męczcie. Poczekajcie tutaj.

Obie były zbyt zdyszane, by odpowiedzieć.

Chłopcy odpłynęli, a fala natychmiast oddzieliła ich od dziewcząt. Patrzyły za nimi jakiś czas. Wyglądało na to, że chłopcy mają problem z dotarciem na wysokość mola.

Margie zaczęła szczekać zębami. Peg podpłynęła do niej i chwyciła głowę nadmuchiwanego Dumbo.

- Nie - zaprotestowała Margie. - To moje.

- Muszę - powiedziała Peg. Nogi rozbolały ją od zimnej wody. Kiedy machnęła nimi mocniej, żeby je rozgrzać, kopnęła przyjaciółkę. Margie się rozplakała. Fala wyniosła je obie wysoko i zobaczyły wtedy, że John i J.J. znajdują się niewiele bliżej plaży. Peg wstrzymała oddech i zamknęła oczy. Nakryła ją fala. Otworzyła oczy, nabrała w usta wody i przełknęła ją.

- Nie damy rady wrócić - stwierdziła Margie.

Peg ją kopnęła.

- Zamknij się! - wrzasnęła Margie, chociaż Peg się w ogóle nie odezwała.

Peg znowu ją kopnęła. Pływały w miejscu i próbowały dojrzeć, jakie postępy robią John i J.J. Po bardzo długim czasie udało im się dotrzeć do plaży. Kiedy Peg to zobaczyła, powiedziała do Margie:

- Spójrz!

- Zamknij się! - odparła Margie i teraz ona kopnęła Peg.

Peg widziała, jak J.J. wyciąga Johna z wody. J.J. ciągnął go za włosy. Jaskiniowiec i jego żona. J.J. opuścił Johna na piasek i osunął się obok niego.

Margie nie patrzyła. Oczy miała zamknięte, a usta otwarte. A potem Peg też już przestała patrzeć. Wyobrażała

sobie tylko, jak J.J. pochyła się nad Johnem, który może oddycha, a może i nie. Wyobrażała też sobie, że J.J. stara się wyrzucić z siebie morską wodę, opiera głowę o piasek i przez chwilę wymiotuje.

Potem J.J. stanie na swoich silnych, kształtnych, ale niepewnych nogach. Peg bez trudu to sobie wyobrażała. J.J. spojrzy na to miejsce w oceanie, gdzie powinny się znajdować Margie i Peg. Pewnie ich nie dojrzy. Oddychając ciężko i urywanie, będzie stał z rękoma na biodrach, wychylony lekko do przodu. Będzie bardzo przypominał wycieńczonego, bohaterskiego gwiazdora piłki nożnej po imponującej akcji.

Będzie tak stał. Bo musi zdecydować, czy ruszyć po nie samemu, czy sprowadzić straż przybrzeżną i czekać na pomoc. Cokolwiek postanowi i tak będzie nienawidzić Margie i Peg. Nieważne, jaką podejmie decyzję, i tak je za to znienawidzi. Peg była tego pewna, kiedy z zamkniętymi oczami przebierała nogami. Nie musiała w ogóle oglądać, jak rozwija się akcja. Wcale nie musiała. Peg nie musiała widzieć, co się dzieje, żeby wiedzieć, co się stanie.

J.J. znienawidzi Peg i Margie za to, że wymagają od niego podjęcia tej trudnej decyzji, tak jak Peg nienawidziła teraz Margie za to, że płacze w wodzie obok niej. Tak jak Peg nienawidziła teraz rozkapryszonego i niemądrego Johna za to, że wyciągnął swoich przyjaciół na wzburzony ocean. Tak jak (najbardziej) nienawidziła teraz swojego przystojnego chłopaka J.J. Peg nienawidziła J.J. za to, że stoi sobie na plaży, kiedy ona oddała się coraz bardziej od brzegu. Nienawidziła go za to, że jest takim świetnym pływakiem. Nienawidziła za to, że zastanawia się nad podjęciem decyzji, i za to, że łąpie już oddech, a najbardziej nienawidziła go za to, że on jej nienawidzi.



# Czego Denny Brown (lat piętnaście) nie wiedział

**N**ie było w tym jego winy, ale faktem jest, że Denny Brown niewiele wiedział o swoich rodzicach i ich pracy. Oboje rodzice Denny'ego byli pielęgniarzami. Matka pracowała na oddziale oparzeń miejscowego szpitala, a ojciec był pielęgniarem działającym na prywatne zlecenia, zwanym też pielęgniarem środowiskowym. Tyle ich syn oczywiście wiedział, ale niewiele ponadto.

Denny Brown nic nie wiedział o potwornościach, z jakimi jego matka miała codziennie do czynienia na oddziale oparzeń. Nie wiedział na przykład, że opiekowała się czasem pacjentami w zasadzie zupełnie pozbawionymi skóry. Nie wiedział, że matka uważana jest za pielęgniarkę wyjątkową, znaną z tego, że nigdy nie traci głowy i pomaga innym pielęgniarkom, by też jej nie traciły. Nie wiedział, że rozmawia ze wszystkimi poparzonymi pacjentami, nawet z tymi w stanie beznadziejnym, tonem rzeczowym i uspokajającym, nigdy nie dając im odczuć, że nie mają szans na przeżycie.

Chłopiec jeszcze mniej wiedział o pracy ojca, poza tym, że było rzeczą niezwykłą i żenującą mieć ojca pielęgniara. Pan Brown wyczuwał wstyd syna, co zresztą było jednym z powodów, dla których nigdy nie mówił

w domu o żadnym aspekcie swojej pracy. Dlatego Denny nie mógł wiedzieć, że jego ojciec w głębi duszy zdecydowanie wolałby pracować na oddziale psychiatrycznym niż w domach prywatnych. Jeszcze podczas nauki w szkole pielęgniarskiej pan Brown miał praktykę w dużym szpitalu psychiatrycznym, na oddziale męskim. Bardzo mu się tam podobało, a pacjenci go uwielbiali i chociaż nie miał poczucia, że potrafi ich wyleczyć, to zdecydowanie wierzył, że jest w stanie poprawić jakość ich życia.

Jednak w hrabstwie Monroe nie było szpitala psychiatrycznego. Dlatego właśnie pan Brown spędził swoje małżeńskie życie, pracując jako pielęgniarz środowiskowy, a nie pielęgniarz na oddziale psychiatrycznym, gdzie było jego miejsce. Pracował wyłącznie z przyczyn ekonomicznych i nie czerpał żadnej przyjemności z wykonywania swoich obowiązków. Nie doceniano jego umiejętności. Zajmował się starymi, umierającymi ludźmi. Nawet nie zdawali sobie sprawy z jego obecności, poza krótkimi chwilami, kiedy wyrywali się ze swojego marszu ku śmierci na wystarczająco długo, by zdążył wydać im się kimś podejrzanym. Rodziny pacjentów też były podejrzliwe, zawsze oskarżały pielęgniarzy o kradzież. Społeczeństwo jako takie też miało podejrzliwy stosunek do mężczyzn będących pielęgniarzami. Tak więc pan Brown spotykał się ze sceptycyzmem w każdym nowym miejscu pracy, w każdym kolejnym domu, jakby był w jakimś sensie zboczony.

Co więcej, ojciec chłopca uważał, że praca, jaką wykonuje w prywatnych domach, to nie opieka pielęgniarska, tylko dogłądanie. Frustrowało go, że częściej kąpie i wyciera, niż wykonuje zabiegi, których się nauczył. Rok po roku pan Brown przesiadywał w kolejnych domach,

przyglądając się powolnemu i kosztownemu umieraniu jednego po drugim zamożnego, sędziwego, chorego na raka pacjenta.

Denny Brown nie miał o tym pojęcia.

Denny Brown (lat piętnaście) nie wiedział, że jego matka żałowała tych ostrych wypowiedzi, jakie jej się czasami zdarzały. Była mądrą jako dziewczynka i jako kobieta dorosła. Miała też niewyparzony język. Mądrą była zawsze. Niewyparzony język miała od czasu wojny koreańskiej. W każdym razie często mówiła coś, czego wcale nie miała na myśli albo czego później w cichości ducha żałowała. W wielkiej cichości ducha.

Na przykład na oddziale oparzeń, gdzie pracowała, była pewna młoda pielęgniarka o imieniu Beth. Miała problem alkoholowy. Kiedyś zwierzyła się matce Denny'ego, że jest w ciąży. Beth nie chciała aborcji, ale też nie potrafiła sobie wyobrazić, że mogłaby samodzielnie wychowywać dziecko.

- Myślałam, żeby sprzedać dziecko jakiejś sympatycznej, bezdzietnej parze - oświadczyła z desperacją w głosie.

A matka Denny'ego powiedziała jej na to:

- Pijesz tyle, że pewnie mogłabyś je sprzedać do jakiegoś pieprzonego cyrku.

Pani Brown natychmiast pożałowała swoich słów. Unikała potem Beth przez wiele dni, zadając sobie w duchu pytanie, co zresztą często jej się zdarzało, „Dlaczego jestem taka okropna?”

Pod koniec drugiego roku w liceum Denny Brown dostał zaproszenie na uroczystość przyznania uczniom nagród za szczególne osiągnięcia. Ojciec Denny'ego musiał iść do

pracy, ale pani Brown mogła się wybrać. Denny otrzymał tego wieczoru garść nagród. Był bardzo dobrym, ale nie wybitnym uczniem. Choć bystry, nie celował w żadnym konkretnym przedmiocie, bo jeszcze nie wiedział, czy jest w czymkolwiek dobry. Zatem Denny otrzymał niewielką garść nagród, wśród których było specjalne wyróżnienie za jego udział w czymś, co się nazywało Miesiąc Sztuki Młodzieżowej.

- Miesiąc Sztuki Młodzieżowej - powiedziała jego matka, kiedy wracali autem do domu. - Miesiąc Sztuki Młodzieżowej. - Miesiąc... Sztuki... Młodzieżowej... - wymówiła powoli. - MiesiącSztukiMłodzieżowej - wymówiła szybko i roześmiała się. - Nie ma właściwego sposobu na wymawianie tego, prawda? To po prostu cholernie paskudny zestaw słów, nie sądzisz?

I w tym momencie matka Denny'ego zauważyła milczenie syna. I sama zamilkła.

Jechała, nie odzywając się, tylko myśląc o Denny'ym. Myślała: „On nawet nie wie, jak mi przykro”.

Denny Brown nie wiedział, u progu szesnastego roku życia, czym mógłby zająć się w wakacje. Nie wiedział, co go interesuje ani jakie istnieją możliwości zatrudnienia.

Po kilku tygodniach rozglądania się wziął pracę na pół etatu w ekskluzywnym ośrodku rekreacyjno-sportowym. Pracował w męskiej szatni. Było to eleganckie, wyłożone miękką wykładziną pomieszczenie, pachnące ukrytymi środkami odświeżającymi powietrze. Znakomici obywatele miasta Monroe i okolic przebierali się tam przed grą w golfa. Zmieniali buty, zostawiając je przed szafkami, na golfowe z korkami. Denny Brown nie miał najmniejszego pojęcia o golfie, ale w jego pracy nie było to wymagane.

Jego zadaniem było wypucować pozostawione eleganckie buty, podczas gdy ich właściciele grali w golfa. Dzielił to zajęcie z innym szesnastolatkiem ze swojej okolicy, niejakim Abrahamem Ryanem. Nie było żadnego szczególnego powodu, żeby dwie osoby wykonywały tę pracę. Przede wszystkim Denny nie miał pojęcia, dlaczego ci mężczyźni muszą mieć codziennie czyszczone buty. Nie wiedział, po co go zatrudniono.

Bywały dni, kiedy Denny i Abraham nie mieli do wyczyszczenia więcej niż trzy pary butów. Pracowali na zmianę. Kiedy nie byli zajęci czyszczeniem, mieli siedzieć w kącie szatni, obok elektrycznej maszyny do polerowania butów. W szatni był tylko jeden stołek i Denny oraz Abraham zajmowali go na zmianę. Kiedy jeden siedział, drugi stał oparty o ścianę.

Ich pracę nadzorował kierownik sportu i rekreacji, poważny starszy pan o nazwisku Deering. Pan Deering zaglądał do nich mniej więcej co godzinę.

- Starajcie się, chłopcy. Tymi drzwiami wchodzi najznakomitsi obywatele Monroe.

Mieli jeszcze jeden dodatkowy obowiązek poza pucowaniem obuwia. Denny Brown i Abraham Ryan byli odpowiedzialni za opróżnianie małej blaszanej popielniczki, która stała na drewnianym stoliku w kącie szatni. Nikt nigdy nie siadał przy tym stoliku. Denny nie wiedział, po co w ogóle ten stolik tam stał, poza tym, że służył jako podstawa do popielniczki. W tej popielniczce dziennie zbierały się przeciętnie cztery niedopałki. Ponieważ jednak stolik stał poza ich polem widzenia, czasami zapominali ją opróżnić. Pan Deering wtedy ich rugał.

- Starajcie się, chłopcy - mawiał. - To wy jesteście odpowiedzialni za elegancki wygląd tego pomieszczenia.



Kiedy Denny opisał matce swoją pracę w ośrodku, ta pokręciła głową.

- To jest dokładnie ten rodzaj pracy, jaki wykonują ludzie w krajach komunistycznych - oświadczyła. Potem się roześmiała.

Denny też się roześmiał. Choć tak naprawdę nie wiedział, co matka miała na myśli.

Denny Brown (lat piętnaście) nie wiedział, jak to się stało, że nagle został najlepszym przyjacielem Russella Kalesky'ego. Nie wiedział, jak to się stało, że nagle został chłopakiem Paulette Kalesky. Obydwa te zdarzenia rozegrały się w miesiąc po ukończeniu przez niego dziesiątej klasy.

Russell i Paulette byli rodzeństwem i sąsiadami Denny'ego. Kiedy Denny był mały, Russell Kalesky niemiłosiernie się nad nim znęcał. Był o rok starszy od Denny'ego. Niezbyt duży, ale wredny. Do jego ulubionych rozrywek należały zabawy z ogniem w domu Denny'ego, ciskanie w Denny'ego jajkami, dręczenie zwierzątek domowych Denny'ego, kradzież jego zabawek i podkładanie ich pod koła zaparkowanych samochodów. Poza tym Russell Kalesky wprost przepadał za waleniem Denny'ego w brzuch.

Tymczasem w szesnaste lato swojego życia Denny Brown został ni stąd, ni zowąd najlepszym przyjacielem Russella Kalesky'ego. Nie wiedział, jak do tego doszło. Wiedział jednak kiedy. Wydarzyło się to następnego dnia po tym, jak Russell Kalesky kupił sobie auto za 150 dolarów. Był to ogromny, czarny, ośmiocyndrowy ford sedan, tyle że nie na chodzie. Poprzedni właściciel forda - mechanik amatorsko zajmujący się przystosowywaniem starych samochodów do wyścigów - radośnie

przyholował auto na podjazd domu Kaleskich i zostawił je tam, żeby Russell „przy nim popracował”. Denny Brown przechodził obok domu Kaleskich tego ranka, kiedy Russell zaczął pracować przy fordzie, i usłyszał:

- Hej, stary. Obejrzyj go sobie.

Russell podniósł maskę forda i szmatą czyścił silnik. Denny Brown zbliżył się nerwowym krokiem, chociaż starał się nie wyglądać na zdenerwowanego. Przyglądał się przez chwilę.

- Jest tu druga szmata - odezwał się w końcu Russell. - Chcesz pomóc?

Zatem Denny wziął drugą szmatę i zaczął pucować silnik auta Russella Kalesky'ego. To był ogromny silnik. Wystarczająco duży dla dwóch pucujących.

- Świetnie, nie? - spytał Russell Kalesky.

- Świetnie - przyznał Denny Brown.

Potem Russell przychodził każdego ranka do domu Brownów i pytał o Denny'ego.

- Hej, stary - mówił - chcesz dziś popracować przy samochodzie?

- Świetnie - odpowiadał niezmiennie Denny.

Denny Brown nie wiedział zupełnie nic o samochodach. Mówiąc szczerze, Russell też nie. Razem odkręcali i oglądali różne części. Wczołgawali się pod auto i stukali kluczami w różne miejsca. Spędzali na tym całe godziny. Denny próbował zapalić silnik, podczas gdy Russell pochylał się nad maską i nasłuchiwał. Nasłuchiwał bardzo uważnie. Nie mieli zielonego pojęcia, czemu się przyglądają i czego nasłuchują.

Podczas przerw na odpoczynek siadali na przednich fotelach forda, przy otwartych szeroko drzwiach, z jedną nogą we wnętrzu, drugą opartą na podjeździe. Głowy

odchylone do tyłu, oczy w półprzymknięte. Jedyłą częścią forda, która działała, było radio, i Russell wyszukiwał jakąś stację i nastawiał ją głośno. Obaj się odprężali. Zjawiali się kumple z okolicy, podjeżdżali rowerami do domu Kaleskich i rzucali rowery w ich ogródka. Potem opierali się o forda Russella i stali beczynnie z założonymi na piersi rękoma.

Russell odzywał się od czasu do czasu.

- Świetnie, nie? - pytał.

- Świetnie - przyznawali kumple.

I tak sobie słuchali radia, dopóki Russell nie rzucił:

- No to wystarczy. Trzeba wracać do roboty.

Wtedy wszyscy kumple z sąsiedztwa wsiadali na rowery i odjeżdżali.

- Ty zostań, Dennis - mówił Russell.

Denny Brown nie rozumiał, dlaczego nagle został najlepszym przyjacielem Russella Kalesky'ego. Nie mógł wiedzieć, że dręczyciele często zaprzyjaźniają się ze swoimi ofiarami. Wcale nie był taki pewny, że już nigdy nie dostanie pięścią w brzuch. Denny po prostu nie miał najmniejszego pojęcia o tym, jak bardzo uszczęśliwił Russella, dając się ściągać co rano na podjazd jego domu, żeby grzebać przy fordzie. Denny nie wiedział, że był to dla Russella największy powód do radości.

Nie wiedział też, że starszy brat Russella, Peter Kalesky, naigrawał się z samochodu Russella za każdym razem, kiedy przychodził do rodzinnego domu na kolację. Peter Kalesky był właścicielem eleganckiego pick-upa marki Chevrolet. Peter miał dwadzieścia trzy lata i mieszkał we własnym mieszkaniu na drugim końcu Monroe. Niestety często przychodził do rodziców na kolację. Denny Brown nic nie wiedział o zaczepkach Petera.

- Wiesz, czego skrótem jest nazwa ford? - pytał zazwyczaj Peter. - Felery Obsługuje Rodzina z Dziećmi.

- Wiesz, czego skrótem jest ford? - pytał kiedy indziej. - Fikuśna Ozdoba Rabatek Domowych.

- Wiesz, co oznacza ford? - pytał znowu. I sam odpowiadał: - Fatalna Ozdoba Russellowej Dupy.

- A wiesz może, dlaczego fordy mają odmrażanie tylnej szyby? Żeby ogrzewać ręce, jak się pcha ten pieprzony samochód pod górę.

Russell Kalesky usypiał się co wieczór marzeniami o tym, jak przejeżdża swojego brata własnym lśniącym fordem. Nikt o tym nic nie wiedział. Była to sekretna pociecha Russella. Marzył o tym, że przejeżdża Petera, wrzuca wsteczny bieg i przejeżdża go raz jeszcze. W tę i z powrotem, w tę i z powrotem, w tę i z powrotem. W jego marzeniach samochód wydawał łagodne *hup* za każdym razem, kiedy przejeżdżał ciało Petera. I właśnie to rozkoszne *hup hup hup* kołysało go zawsze do snu.

Rano Russell Kalesky budził się i szedł do domu Denny'ego Browna.

- Chcesz popracować przy aucie, stary? - pytał.

- Świetnie - odpowiadał Denny. (Nadal nie wiedząc - nawet się nie domyślając - dlaczego go ciągle o to pytają.)

Jeśli chodzi o Paulette Kalesky, to była ona starszą siostrą Russella. Miała osiemnaście lat i opinię najlepszej opiekunki do dzieci w hrabstwie Monroe. Pracowała niezamordowanie, zajmując się dziećmi co najmniej kilku rodzin z sąsiedztwa. Paulette była niską brunetką o dużych piersiach i ładnych delikatnych ustach. Miała śliczną cerę. Przemierzała w kółko okoliczne ulice, pchając wózki

z cudzymi dziećmi, a jeszcze inne dzieci podążały za nią na trójkołowych rowerkach. Nosiła dzieci na barana i pilnowała ich, kiedy jadły lody w rożkach. Zawsze miała w torebce plaster na skaleczenia i chusteczki higieniczne, jak prawdziwa mama. Rodzina Kaleskich nie była najbardziej szanowaną rodziną w hrabstwie Monroe, ale Paulette ludzie lubili i darzyli ją zaufaniem. Miała ogromne wzięcie jako opiekunka do dzieci.

Pod koniec czerwca Denny'ego zaproszono do domu Kaleskich na kolację. Były to urodziny Russella. Jego mama przygotowała spaghetti. Byli tam wszyscy. Peter przyjechał ze swojego mieszkania na drugim końcu miasta, a Paulette Kalesky wyjątkowo wzięła sobie wolny od opieki nad dziećmi wieczór. Denny Brown był jedynym gościem nienależącym do rodziny. Siedział naprzeciwko Russella, wciśnięty pomiędzy Paulette i pana Kalesky'ego. Russell zaczął odpakowywać prezenty urodzinowe, a Paulette bez żadnych wstępów położyła dłoń na ukrytym pod stołem udzie Denny'ego. Przed tym wydarzeniem Denny i Paulette rozmawiali ze sobą tylko raz. Ta ręka na udzie nie miała najmniejszego sensu. Niemniej Denny Brown (lat piętnaście) wsunął rękę pod blat stołu i położył ją na dłoni Paulette Kalesky (lat osiemnaście). Ścisnął jej rękę. Nie miał pojęcia, gdzie się tego nauczył.

Przez lato Paulette Kalesky i Denny Brown opracowali pewien system. Ona dawała mu znać, gdzie będzie opiekowała się dziećmi danego wieczoru, a on jechał tam rowerem, po ósmej, kiedy ona już kompetentnie ułożyła dzieci do snu. Wtedy Denny Brown i Paulette Kalesky uprawiali ze sobą ognisty, bardzo ognisty seks. Niewiarygodny seks. Denny nie wiedział, jak i dlaczego do tego doszło, ale tak to już było. Zachowywali się niesamowicie

dyskretnie. Nikt się nie zorientował. I tak to było. Ognisty seks. Dosłownie znikąd.

Było całe mnóstwo rzeczy, których, mając piętnaście lat, Denny Brown nie wiedział o Paulette Kalesky. Miała wspaniałe duże piersi. To wiedział, ale tylko dzięki ukradkowym obserwacjom. Ognisty seks czy nie, Paulette nigdy nie pozwalała mu dotykać swoich piersi. Nie zdejmowała bluzki. Denny nie wiedział dlaczego. A było tak, że piersi urosły Paulette, kiedy była w piątej klasie. O wiele za wcześnie, o wiele za duże. Jej bracia, Peter i Russell, oczywiście mieli świetny powód, żeby się z niej wyśmiewać, podobnie jak i szkolni koledzy. Był taki okres w szóstej klasie, kiedy dokuczano jej tak bardzo, że każdego ranka z płaczem błagała rodziców, by nie posyłali jej do szkoły.

- Duże piersi są ładne i kiedyś będziesz zadowolona, że masz takie - powiedział jej ojciec. - Tymczasem musisz znosić te kpiny.

Paulette wyśmiewano przez całą szkołę średnią, ale w pewnym momencie pojawił się całkiem nowy aspekt: niektóre dziewczęta z klasy zaczęły jej zazdrościć. Była jedna szczególna grupa, która przezywała ją Paulette Toilette i Paulette Zdzira. A przecież nie chodziło o to, że odbijała innym chłopaków. W żadnym razie. Denny Brown był jej pierwszym chłopcem, pierwszym, z którym się całowała. W tym czasie skończyła już ze szkołą.

Denny nie rozumiał, dlaczego Paulette nagle go polubiła, tak jak nie rozumiał, dlaczego Russell Kalesky nagle go polubił. Nie miał najmniejszego pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi.

Tymczasem, prawdę mówiąc, istniało sensowne wyjaśnienie, dlaczego Denny tak pociągał Paulette, tyle że była

to tajemnica. Denny Brown miał jej nigdy nie poznać. Nigdy się nie dowiedział, że Paulette Kalesky przez kilka miesięcy opiekowała się dzieckiem w tym samym domu, w którym jego ojciec opiekował się chorym. Było to w domu zamożnej rodziny o nazwisku Hart. Pani Hart urodziła dziecko tego samego roku, którego ojciec pana Harta umierał na raka. Hartowie znaleźli się w trudnej sytuacji, ponieważ trzeba było zajmować się cierpiącym na kolki dzieckiem i otępiałym osiemdziesięcioletnim mężczyzną z gnijącą wątrobą. Paulette Kalesky zatrudniono do opieki nad niemowlęciem, a pana Browna do opieki nad starcem. Podczas tych miesięcy Paulette i pan Brown nie spędzili wiele czasu razem, ale ich ścieżki się przecinały, zazwyczaj w kuchni, gdzie Paulette przeważnie przygotowywała mleko do butelki, a pan Brown puree z marchewki.

- Napijesz się herbaty? - pytał pan Brown Paulette. - Może szklankę wody? Wyglądasz na zmęczoną.

- Nie, dziękuję - odpowiadała Paulette, która wstydziła się, kiedy dorosły traktował ją jak dorosłą.

- Świetnie się spisujesz - powiedział raz Paulette pan Brown. - Bez ciebie pani Hart by sobie nie poradziła.

Paulette uważała, że pan Brown też znakomicie się spisuje, opiekując się starszym panem. Widziała, jak ożywił i wysprzątał pokój chorego, kiedy zaczął przychodzić do tego domu. Pan Brown przyniósł duży, wesoły kalendarz, który powiesił na wprost łóżka pana Harta. Zegar ze świecącymi wskazówkami postawił tak, żeby pacjent go widział. Zwracał się do starego pana Harta głośno i w ścisły sposób, zawsze wyraźnie odnosząc się do miejsca i czasu. Dostarczał mu wszelkich możliwych informacji, starając się, by pana Harta ciągle jeszcze coś wiązało ze światem, z którego odchodził.

- Nazywam się Fred Brown - mówił pan Brown na początku każdej wizyty. — Jestem pielęgniarzem, który się panem opiekuje. Będę tu z panem przez osiem godzin. Zatrudnił mnie pański najstarszy syn, Anthony. To w jego domu pan mieszka.

Przez cały dzień pan Brown jasno wyjaśniał każdy swój ruch. Pod koniec typowego dnia mówił:

- Dobranoc panu. Jest siódma wieczór i czas, bym poszedł do domu. Przyjdę ponownie, by panu pomagać, w środę, czternastego października, o jedenastej przed południem.

Paulette Kalesky uważała, że pan Brown jest wspaniałym człowiekiem i wspaniałym pielęgniarzem. Uznała go za najsympatyczniejszego mężczyznę, jakiego w życiu spotkała, i skrycie się w nim zakochała. Ostatecznie pan Hart, jak należało się spodziewać, umarł na raka wątroby. Pan Brown zajął się innym pacjentem, więc Paulette Kalesky przestała go widywać, nie licząc przelotnych spotkań na ulicy w pobliżu rodzinnego domu. A potem nagle Denny Brown zaczął się kręcić koło jej domu i grzebać przy fordzie młodszego brata Russella.

- Twój tata to Fred Brown, prawda? - spytała Denny'ego jeszcze w czerwcu. Wtedy rozmawiali ze sobą pierwszy raz. Prawdę mówiąc, była to ich jedyna rozmowa przed tym wieczorem, kiedy Paulette położyła dłoń na udzie Denny'ego. Denny nigdy się nie dowiedział, dlaczego zadała mu to konkretne pytanie.

- Jasne — odparł Denny. — To mój tata.

Paulette nie uważała, by Denny był choć trochę podobny do ojca. Mimo to miała ogromną nadzieję, że może wyrośnie na kogoś takiego jak jego ojciec. Jakoś, pod ja-



kimś względem. Zakochała się zatem skrycie w Denny Brownie z tego powodu. Z taką nadzieją.

Naturalnie Denny nic o tym wszystkim nie wiedział.

Będąc już dorosłym mężczyzną, Denny Brown spoglądał wstecz na tamto szesnaste lato swojego życia i zastanawiał się, jakim cudem w ogóle pozwalano mu wychodzić z domu. Zdał sobie sprawę z tego, jak żałośnie mało wiedział, jak żałośnie był nieprzygotowany. Istniało tyle informacji, których mając piętnaście lat, nie posiadał. Każda z nich byłaby mu pomocna. Nieważne jak drobna. W późniejszym okresie swojego życia Denny wierzył, że wypuszczono go w świat bez żadnego bagażu wiedzy. Nikt nigdy nic o niczym mu nie mówił. Nie wiedział, co ludzie robią ze swoim życiem ani czego pragną lub czego żałują. Nie wiedział, dlaczego ludzie biorą ślub ani dlaczego wybierają taką pracę albo takich przyjaciół, albo też chowają piersi. Nie wiedział, czy jest w czymś dobry ani jak się o tym przekonać. Wszyscy po prostu pozwalali mu się snuć i nie wiedzieć nic.

Jego wiedza była taka niepełna. Denny Brown (lat piętnaście) nie znał znaczenia następujących słów: eteryczny, prozaiczny, fluktuacja, pastiche, gremialny, witrjol, umbra, nihilizm i coup d'etat. Znajdowały się one na liście słów, jakich jego (i każdego innego ucznia trzeciej klasy szkoły średniej w tym regionie) uczono pod koniec następnej klasy. On tymczasem musiał przeżyć swoje szesnaste lato bez znajomości tych słów.

Denny Brown nie słyszał też nic o Euklidesie ani mitozie, ani o głuchocie Beethovena, ale Kuratorium Oświaty Hrabstwa Monroe gotowe było zacząć go uczyć tego wszystkiego w nadchodzącym wrześniu.

Jeszcze jedną rzeczą, o której chłopiec nic nie wie-

dział, była nazwa jego miasta. Co też mogło znaczyć to „Monroe”? Przeszedł jakoś przez dziesięć klas w szkołach publicznych hrabstwa Monroe, nie dowiedziawszy się, że jego miasto zostało tak nazwane, aby upamiętnić amerykańskiego prezydenta Jamesa Monroe. Denny Brown myślał, że to tylko takie sobie słowo. Dlatego nie wiedział, co upamiętnia to „Monroe” pojawiające się w zasadniczych momentach jego życia, na przykład w nazwie szpitala, w którym pracowała matka, czy szkoły średniej, do której chodził, albo ośrodka rekreacyjno-sportowego, w którym dostał pracę. Denny Brown nie wiedział, że James Monroe był weteranem amerykańskiej wojny o niepodległość, podczas której odniósł rany, oraz prezydentem przez dwie kadencje. Nie mógł wiedzieć, że podczas starań o reelekcję w 1820 roku Monroe otrzymał wszystkie elektorskie głosy z wyjątkiem jednego - delegata New Hampshire, niejakiego Williama Plumbara. Człowiek ten celowo wstrzymał się od głosowania, biorąc na siebie obowiązek dopilnowania, by nikt nie dzielił z George'em Washingtonem honoru, jakim był jednogłośnie wybórem na prezydenta Stanów Zjednoczonych. William Plumber (który poza tym niczym się w swoim życiu nie wyróżnił) uważał, że pozbawienie George'a Washingtona tego szczególnego osiągnięcia okryłoby naród hańbą i byłoby czynem zapamiętanym i wyrzucanym sobie przez wszystkich obywateli na przestrzeni całej amerykańskiej historii.

A przecież Denny Brown (lat piętnaście) nie domyślał się, że słowo „Monroe” jest imieniem własnym.

Chłopiec nie wiedział nic o miejscu, w którym mieszkał. Nie wiedział, że jego woda pochodzi ze zbiornika położonego dwadzieścia pięć mil na północ od Monroe, a elektryczność z jednej z pierwszych wybudowanych

w tym stanie elektrowni atomowych. Żył sobie w podmiejskim osiedlu o nazwie Zielone Pola, nie mając pojęcia, że kiedyś na tym terenie znajdowała się farma mleczna. Nie wiedział, że ta ziemia należała kiedyś do rodziny szwedzkich imigrantów o nazwisku Martinsson, których jedyny syn zginął w roku 1917 w okopach Francji. Prawdę mówiąc, Denny Brown nawet nie wiedział, co to były okopy. Mówiono o nich dopiero na lekcjach historii w jedenastej klasie. Niewiele jeszcze wiedział o pierwszej wojnie światowej. Nie wiedział nic (i nigdy już nie miał się dowiedzieć) o mniej znanych wojnach, takich jak wojna hiszpańsko-amerykańska czy wojna koreańska. Nie wiedział, że jego matka służyła rok jako pielęgniarka podczas wojny koreańskiej. Nigdy o tym nie wspomniała.

Denny Brown nie miał pojęcia o tym, że jego rodzice zakochali się w sobie dosłownie od pierwszego wejrzenia ani że jego matka była ciężarna w dniu ślubu. Nie wiedział, że babcia Brown była zdecydowanie przeciwna temu małżeństwu, ponieważ matka Denny'ego była starsza od ojca i do tego była mądrą. Babka Brown uważała, że matka Denny'ego jest „zdzirą”, i nie omieszkała oświadczyć tego swojemu synowi. (To był jedyny przypadek podczas dziewięćdziesięciu lat jej życia, kiedy użyła tak nieprzystoitego języka, i ojciec Denny'ego zapłakał, usłyszawszy to słowo.)

Denny nie wiedział, że jego matka płakała tylko raz podczas trwania swojego małżeństwa. Nie potrafił nawet wyobrazić sobie, jak płacze. W rzeczywistości płakała nad Dennyem. Zdarzyło się to, kiedy Denny miał dwa latka. Sięgnął na kuchenkę i ściągnął na siebie patelnię pełną skwierczącego sosu. Matka była tuż obok. Pochwyciła go i wrzuciła do wanny i zaczęła natychmiast polewać zimną

wodą. Zdarła z niego ubranie. Matka (pielęgniarka z oddziału oparzeń, pielęgniarka szpitala polowego) wpadła w histerię i wrzeszcząc, wzywała męża. Malec wrzeszczał, matka wrzeszczała. Nie chciała wypuścić Denny'ego spod strumienia zimnej wody nawet wtedy, kiedy już dygotał i usta mu zsiniały.

- Jest poparzony! - krzyczała. - Poparzony! Poparzony!

W rzeczywistości Denny wyszedł z tej przygody bez szwanku. Pani Brown zareagowała wystarczająco szybko i dziecko miało tylko poparzenia pierwszego stopnia na twarzy i rękach. Płakała jednak przez cały dzień. Myślała sobie: „Nie zasługuję na to, żeby być matką”.

Co więcej, aż do dnia, w którym Denny się poparzył, jego matka pragnęła mieć drugie dziecko, ale potem już w ogóle nie brała tego pod uwagę. Nigdy. Denny Brown nie wiedział, że kiedyś się poparzył i że jego matka wtedy płakała, ani że jego matka kiedykolwiek chciała mieć jeszcze jedno dziecko. Nie miał o tym wszystkim najmniejszego pojęcia.

Wiedział natomiast, skąd się biorą dzieci. Mając piętnaście lat, to wiedział. Matka mu to powiedziała, w stosownym wieku i w stosowny sposób.

Było jednak jeszcze tyle innych rzeczy, o których nic nie wiedział. Był nieświadom tylu innych spraw. Na przykład, mając piętnaście lat, Denny Brown jeszcze sądził, że Bliźniacze Wieże znajdują się w Bliźniaczych Miastach.

Rankiem, 17 sierpnia, podczas szesnastego lata w życiu Denny'ego, do domu Brownów przyszedł Russell Kalesky i spytał o przyjaciela. Jak zwykle. Wszystko tego ranka było jak zwykle.

- Chcesz dziś popracować przy samochodzie, stary? - spytał go Russell.

- Świetnie - odrzekł Denny.

Jednak Russell wyglądał inaczej. Na twarzy i rękach miał paskudne czerwone plamki.

- Nic ci nie jest? - spytał Denny.

- No zobacz, stary - powiedział Russell. - Mam ospę wietrzną.

Denny Brown nie wiedział, że ktoś, kto nie jest małym dzieckiem, może zachorować na ospę wietrzną.

- Mamo! - zawołał Denny ze śmiechem. - Mamo! Pomocy!

Matka Denny'ego, pielęgniarka, podeszła do drzwi i popatrzyła na Russella. Kazała mu podnieść koszulę, żeby obejrzeć wysypkę na jego piersi. Russell tak się śmiał z zakłopotania, że z nosa wyskoczyła mu bańka smarków, co wywołało taki napad śmiechu u Denny'ego, że aż musiał przysiąść na frontowych schodkach. Obaj się zaśmiewali jak para głupców.

- Nie ulega wątpliwości, że masz ospę wietrzną, Russell - postawiła swoją diagnozę matka Denny'ego.

Z jakiegoś powodu to jeszcze bardziej rozśmieszyło Russella i Denny'ego, tak że padli sobie w ramiona, a potem już tylko tupali, trzymając się za brzuchy.

- Choć to nie powinno zakłócać morale... - zauważyła matka Denny'ego.

Ponieważ Denny miał już wcześniej ospę wietrzną, pozwolono mu pójść do domu Kaleskich. Russell i Denny pracowali jakiś czas przy fordzie. W planie na ten dzień mieli zdjęcie bocznych lusterek, potrzymanie ich w wiadrze wypełnionym wodą z mydłem, wypolerowanie i przykręcenie na przednim miejscu. Russell co chwilę chował się

w garażu, twierdząc, że słońce szkodzi jego ospie wietrznej. Za każdym razem, kiedy Russell wymawiał słowa ospa wietrzna, Denny ponownie wybuchał śmiechem.

- Stary, kto choruje na ospę wietrzną? - pytał Denny. - To szaleństwo, dostać ospy wietrznej.

- Cała moja cholerna rodzina ją ma - powiedział mu Russell. - Nikt z nas nie miał jej wcześniej i cała rodzina ją teraz ma, stary. Nawet moja mama.

Denny się roześmiał. Potem przestał się śmiać.

- Nawet Paulette? - spytał. - Paulette też się zaraziła?

Był to pierwszy raz, kiedy Denny Brown wypowiedział imię Paulette w obecności Russella Kalesky'ego.

- Paulette? Pytasz o Paulette? Stary, to ona przywlokła tę zarazę do domu. Kurczę! Ją najmocniej trafiło. Zaraziła się od jednego z tych swoich głupich maluchów, stary.

- Czy bardzo... ee... źle się czuje?

Russell albo nie słyszał, albo nie rozpoznawał owego szczególnego tonu w głosie Denny'ego. Nie zadawał sobie pytania, dlaczego to niby kumpel nagle przejmuje się jego siostrą.

- Paulette to dziwadło, stary - powiedział Russell. - Nie chce wyjść ze swojego pokoju. Siedzi tam cały dzień i ryczy. „Łaaa. Ale swędzi! Pomóżcie mi!”

Denny stał na podjeździe domu Kaleskich. Stał w słońcu, trzymając w ręce boczne lustro. Stał tak i stał.

- Hej, stary - odezwał się wreszcie Russell. - Hej, stary - powtórzył.

Denny Brown podniósł na niego wzrok.

- Hej, stary - Russell spróbował jeszcze raz.

- Muszę tam iść - oświadczył.

Położył boczne lustro na podjeździe i wszedł do domu. Pani Kalesky leżała na kanapie. W salonie rolety

były opuszczone, a telewizor włączony. Pani Kalesky była biała od maści cynkowej.

- Dobrze się pani czuje? - spytał ją Denny.

Paliła papierosa. Podniosła na niego oczy. Na ogół była przyjacielska, ale tym razem nawet się nie uśmiechnęła. Pokręciła głową; prawdę mówiąc, wyglądała żałośnie. Twarz miała pokrytą krostami i opuchniętą, wyglądało to dużo gorzej niż u Russella.

- Zaraz wrócę, proszę pani - powiedział Denny. - Idę na górę. Będę tam przez chwilę.

Poszedł schodami domu Kaleskich, a potem korytarzem do pokoju, o którym wiedział, że jest pokojem Paulette. Zapukał do drzwi.

- To ja, Denny - powiedział.

Wszedł do środka. Paulette leżała na łóżku, na pościeli. Zobaczyła Denny'ego i się rozpląkała. Wyglądała gorzej od Russella, gorzej od swojej matki. Zakryła dłońmi twarz.

- Swędzi - poskarżyła się. - Tak bardzo swędzi.

- Rozumiem - powiedział Denny. - Wytrzymaj, dobrze?

Rzecz w tym, że Denny rzeczywiście miał już wcześniej ospę wietrzną. Nie był zresztą wtedy taki mały. Miał prawie jedenaście lat. Jego matka mnóstwo w tym czasie pracowała i opiekował się nim ojciec. Denny pamiętał, że ojciec bardzo dobrze go pielęgnował.

Denny zszedł na dół, do kuchni. Teraz był tam też Russell.

- Stary, co jest, do kurwy nędzy? - zdziwił się Russell.

- Russell - jęknęła pani Kalesky. - Nie. - Była za słaba, by energiczniej zaprotestować przeciwko takiemu językowi.

- Russell - powiedział Denny. - Potrzebuję trochę płatków owsianych.

Denny zaczął przeglądać kuchenne szafki.

- Stary, co jest, do kurwy nędzy? - dopytywał się znowu Russell.

Tym razem pani Kalesky nie zareagowała. Musiała naprawdę źle się czuć.

Denny znalazł wielkie pudło płatków owsianych.

- To na swędzenie - wyjaśnił Russellowi. - Paulette tego potrzebuje, rozumiesz?

Ruszył na górę. Russell za nim, bez słowa. Denny napuścił trochę wody do wanny w łazience na piętrze domu Kaleskich. Wsypał całe pudło płatków do wanny i zawinawszy rękaw koszuli, zanurzył rękę w wodzie, żeby sprawdzić temperaturę.

Wrócił do pokoju Paulette. Przeszedł obok Russella bez słowa.

- Paulette - powiedział - posiedzisz sobie trochę w wannie, dobrze? To pomaga. Pomaga na swędzenie. Będę siedział przy tobie, zgoda?

Pomógł jej usiąść, a potem zaprowadził do łazienki. Płakała, ale już nie tak bardzo. Trzymał ją za rękę, kiedy mijali zdumionego byłego dręczyciela, Russella Kalesky'ego, który nie ruszył się z korytarza.

- Przepraszam - odezwał się Denny do niego uprzejmie. - Wybacz.

Denny wprowadził Paulette do łazienki, zamknął drzwi i przekręcił klucz.

- Dobra - powiedział. - No to do dzieła.

Miała na sobie piżamę. Mokną od potu. Była bardzo, bardzo chora.



- Dobra - powtórzył Denny. - A teraz musisz się rozebrać.

Paulette oparła się dłonią o umywalkę dla zachowania równowagi. Zdjęła skarpetki, jedną po drugiej. Zdjęła spodnie piżamy. Potem majtki. I stała bez ruchu.

- W porządku, pomogę ci zdjąć tę bluzę, a potem wsadzimy cię do wanny, zgoda? Poczujesz się o wiele lepiej, zobaczysz. Dobrze. Podnieś ręce, Paulette.

Nadal stała bez ruchu.

- No to już - powiedział Denny. - Podnieś ręce.

Posłusznie uniosła ramiona, jak dziewczynka, której trzeba pomagać przy zdejmowaniu nocnej koszuli. Denny ściągnął jej przez głowę górę od piżamy.

- No tak - oświadczył Denny. - Wygląda na to, że te najgorsze masz na brzuchu.

- Popatrz na moją skórę! - zawołała Paulette i znowu zaczęła płakać.

- Twojej skórze nic nie będzie, naprawdę - powiedział Denny.

Ponownie sprawdził wodę, która okazała się letnia. Rozległ się uspokajający plusk chłodnawej wody. Raz jeszcze zamieszał płatki owsiane i pomógł Paulette wejść do wanny.

- Tak jest znacznie lepiej, co? - powiedział Denny Brown (lat piętnaście). - Pomaga, prawda?

Siedziała w wannie z kolanami podciągniętymi pod brodę. Nie przestając płakać, położyła głowę na kolanach.

- No i proszę - mówił Denny. Nabrał pełne garście mokrych, chłodnych płatków owsianych i przyłożył do jej pleców, do pokrytych paskudną wysypką miejsc. - No proszę, proszę.

Denny obłożył chłodną owsianką jej kark, barki i ramiona. Wziął z umywalki kubek i polał wodą jej głowę, żeby ulżyć swędzeniu pod włosami. Puścił trochę ciepłej wody, kiedy ta w wannie zaczęła stygnąć.

Ukląkł na podłodze obok wanny. Na dole, leżąc na kanapie, pani Kalesky rozmyślała, co takiego może się dziać na piętrze. Na piętrze, w korytarzu, były dręczyciel, Russell Kalesky, siedział na podłodze naprzeciwko zamkniętych na klucz drzwi łazienki. Wpatrywał się w nie. Próbował usłyszeć, co się za nimi dzieje, ale nie słyszał nic.

W łazience Denny pielęgnował Paulette.

- Teraz już możesz się oprzeć - powiedział.

Pomógł jej zmienić pozycję z siedzącej na leżącą. Podłożył jej pod głowę złożony ręcznik jak poduszkę. Woda była chłodna i sięgała jej pod samą brodę. Piersi uniosły się do góry. W wodzie były lżejsze.

- Dokładnie za pięć minut poczujesz się lepiej - powiedział Denny i uśmiechnął się do niej. - Chcesz szklanek wody? - spytał po chwili.

- Nie, dziękuję - odpowiedziała.

Minęło może pięć minut. Prawdopodobnie pięć minut rzeczywiście minęło. Pani Kalesky na dole wciąż zastanawiała się nad sytuacją na górze. Kilka domów dalej matka Denny'ego Browna szykowała się do pracy na oddziale oparzeń. Na drugim końcu miasta ojciec Denny'ego Browna pomagał umierającemu pacjentowi zjeść odrobinę na lunch. W liceum było pusto. Ford Russella stał na podjeździe, unieruchomiony jak zawsze. Był sierpień. Wszystko było tak, jak to jest w sierpniu.

I wtedy Paulette Kalesky odezwała się do Denny'ego Browna:

- Świetnie się spisujesz.

Tuż za drzwiami łazienki Russell Kalesky siedział cicho jak trusia. Nie wiedział, co jego przyjaciel robi tam w środku. Nie wiedział, co jego siostra tam robi. Russell, chociaż nie miał pojęcia, na co czeka, wpatrywał się w drzwi łazienki niezwykle uważnie. Nie wiedział, czego nasłuchuje. Mimo to, przechyliwszy głowę, Russell Kalesky zamienił się w słuch.

## Imiona kwiatów i dziewcząt

**W** czasie Babette mój dziadek nie miał jeszcze dwudziestu lat. W dzisiejszych czasach taka młodość niekoniecznie idzie w parze z niewinnością i być może również nie szła w jego czasach, a jednak dziadek był uosobieniem niewinności. Wielu jego rówieśników zdążyło wziąć udział w wojnie i wrócić, on jednak się do nich nie zaliczał, z takiego oto małego romantycznego powodu, że jedną stopę miał o kilka rozmiarów większą od drugiej. Wyposażenie go w buty sprawiłoby ogromny kłopot Armii Stanów Zjednoczonych, dlatego więc nie został powołany i lata wojny spędził tak samo jak wcześniejsze, w towarzystwie swojej leciwej ciotki.

Tamtej szczególnej, środowej nocy postanowił nie mówić ciotce, dokąd się wybiera. Nie z przebiegłości, dziadek nie był urodzonym krętaczem. Uważał raczej, że nie zrozumiałaby go, a może wręcz by go nie usłyszała w tak zaawansowanym stadium starczej demencji. Poprosił jednak sąsiadkę, wdowę z chorymi kolanami, by doglądała ciotki tego wieczoru, i wdowa się zgodziła. Już miesiąc wcześniej był na meczu bokserskim, a pewnej soboty przystanął na chwilę w drzwiach lokalnego baru, hałaśliwego i niebezpiecznego, więc nie była to jego pierwsza próba przyjrzenia

się marności tego świata, z którą wcześniej nie miał okazji się zetknąć. Niestety, dowiedział się niewiele na podstawie owych dwóch pierwszych doświadczeń, wyjąwszy fakt, że woń dymu tytoniowego przywiera bardzo mocno do włosów i ubrania. W związku z tym wieczorem jednak żywił znacznie większe nadzieje.

W nocnym klubie, do którego zaszedł, było o wiele bardziej mroczno niż na ulicy. Właśnie zaczynał się wieczorny program, organizowany wcześniej, bo w środku tygodnia, a jednak lokal był wypełniony podnieconą, męską widownią, spowitą w kłęby dymu tytoniowego. Mój dziadek wszedł tam akurat w tym momencie, kiedy światła wokół orkiestry ciemniały, toteż był zmuszony szukać swojego miejsca po omacku, przestępując między stopami i kolanami w przejściu. Starał się nie dotykać siedzących, ale i tak ocierał się o wełnę i ludzką skórę przy każdym ruchu, dopóki wreszcie nie znalazł wolnego miejsca i nie usiadł.

- Która godzina? - spytał go agresywnie głos z krzesła obok.

Mój dziadek stężał, ale nie odpowiedział.

- Która godzina? - jeszcze raz spytał głos.

- Pan mnie pyta? - spytał cicho mój dziadek.

Scenę zniemacka omiotło światło reflektora i tamto pytanie odeszło w niepamięć. Pojawiła się i zaczęła śpiewać Babette, aczkolwiek wtedy jeszcze mój dziadek oczywiście nie znał jej imienia. Kiedy jego wzrok przyzwyczaił się do rozjarzonego białego światła, zobaczył jedynie kolor jej sukienki - dziś nazwalibyśmy go żółtozielonym. Jest to kolor, którego zdecydowanie nie sposób znaleźć w naturze, ale obecnie wytwarza się sztucznie ten barwnik, do farb, odzieży i jedzenia. Już nas nie potrafi zaszokować; jest nam

zbyt znajomy. W 1919 roku jednakże jeszcze nie robili samochodów w tym kolorze, nie malowali nim małych domków na przedmieściach ani też wbrew pozorom nie produkowali takich tkanin.

A jednak Babette miała taką sukienkę, bez rękawów i krótką. Mój dziadek z początku nawet nie zauważył, że ona śpiewa, właśnie z powodu tej sukienki żółtozielonej barwy. Nie zasługiwała na miano utalentowanej śpiewaczki, ale kto by tak mówił, tylko niepotrzebnie by się czepiał, jako że umiejętności muzyczne wcale nie były jej potrzebne. To dlatego, że oprócz śpiewania robiła coś jeszcze, i to dobrze robiła, a mianowicie poruszała się rozkołysanymi, tanecznymi krokami na bardzo zgrabnych nogach. Powieściopisarze piszący zaledwie dziesięć lat przed tamtym wieczorem zwykli przy opisywaniu pięknych kobiet uwzględniać „krągłe, kształtne ramiona”. Pod koniec pierwszej wojny światowej jednakże moda zmieniała się w takim stopniu, że kobiety odślaniały również inne atuty i ramiona przykuwały znacznie mniej uwagi niż dawniej. A szkoda, bo ramiona Babette były urocze, niewykluczone, że stanowiły wręcz jej największy atut. Mój dziadek jednak nie należał do ludzi wybitnie nowoczesnych, mimo młodego wieku, i dlatego dostrzegł z uznaniem ramiona Babette.

W którymś momencie rozbłysły światła z tyłu sceny i za plecami Babette pojawiło się kilka roztańczonych par. Byli to kompetentni, wyszkoleni tancerze - szczupli i ciemnowłosi mężczyźni oraz kobiety w krótkich, wirujących sukienkach. Oświetlenie sceny przytłumiało barwy ich strojów w taki sposób, że robiły się jednolicie brązowe albo szare, toteż mój dziadek zaledwie odnotował ich obecność, a potem dalej gapił się na Babette.

Nie znał się na tyle na show-biznesie, by wiedzieć, że

to, co właśnie ogląda, to mało znaczący wstęp do długiego, rozpasanego wieczoru. Ten szczególny numer nie był niczym więcej jak pretekstem do rozsunięcia kurtyny zasłaniającej pustą scenę, by rozgrzać niewielką orkiestrę i dać znać publiczności, że zaczyna się wieczór. W występie Babette nikt by się nie dopatrzył niczego wyzywającego, z wyjątkiem jej kusej sukienki, i niewykluczone, że mój dziadek był jedyną osobą na widowni, która poczuła się podekscytowana tym, co ogląda. Można wręcz domniemywać, że żaden z innych mężczyzn w jego pobliżu nie ścisnął swych spodni zwilgotniałymi dłońmi ani też nie poruszał wargami, milcząco poszukując słów, którymi dałoby się opisać tę sukienkę, te ramiona, te zdumiewające, czerwone włosy i kolor szminki. Większość widzów już kiedyś słyszała tę piosenkę z nagrania płytowego, w wydaniu piękniejszej, bardziej utalentowanej dziewczyny niż Babette, ale mój dziadek wiedział bardzo niewiele o muzyce popularnej i pięknych dziewczynach.

Kiedy artyści ukłonili się zbiorowo i światła pociemniały, poderwał się ze swojego miejsca i prędko przeszedł obok mężczyzn siedzących w jego rzędzie, depcząc im po nogach, potykając się, przepaszając za swoją niezgrabność cichymi pomrukami. Po omacku dotarł do głównego przejścia i potem do ciężkich drzwi, z których na posadzkę za nim padły ruchliwe trójkąty światła, kiedy je otworzył. Wbiegł do westybulu i złapał biletera za ramię.

- Muszę porozmawiać z tą śpiewaczką — oświadczył.

Bileter, rówieśnik mojego dziadka, ale poza tym również weteran wojenny, spytał:

- Z kim?

- Z tą śpiewaczką. Z tą, co ma takie czerwone, takie czerwone... - Zdenerwowany szarpnął za własne włosy.

- Z rudzielcem - domyślił się bileter.  
- Tak.  
- Ona jest tu z tą trupą, która przyjechała na gościnne występy.

- O właśnie, bardzo dobrze - odparł mój dziadek, głupawo kiwając głową. - Cudownie!

- Czego pan od niej chcesz?

- Muszę z nią porozmawiać - powtórzył mój dziadek.

Bileter zapewne zauważył, że mój dziadek jest trzeźwy i młody, dlatego więc uznał, że jest czyimś posłańcem. Albo może chciał tylko, żeby mu dano spokój. W każdym razie zaprowadził go do pokoju Babette, który znajdował się pod sceną, w ciemnym, pełnym drzwi korytarzu.

- Ktoś do panienki - powiedział, zapukawszy dwa razy, po czym oddalił się, zanim mu odpowiedziała.

Babette otworzyła drzwi i spojrzała w głąb korytarza śladem oddalającego się biletera, a potem na mojego dziadka. Miała na sobie halkę oraz wielki, różowy ręcznik udrapowany na ramionach niczym szal.

- Tak? - spytała, unosząc wysoko swe łukowate brwi.

- Muszę z panią porozmawiać - oświadczył mój dziadek.

Omiotła go wzrokiem od stóp do głów. Dziadek był wysoki i blady, ubrany w czysty, niedrogi garnitur, a pod jednym ramieniem trzymał swój złożony w kostkę płaszcz, jakby to była piłka. Nawykowo się garbił, ale teraz ze zdenerwowania stał idealnie prosto. Ta postawa wspomogła nieco jego aparycję, bo wypchnęła mu władczo podbródek i nadała jego barkom dodatkowej szerokości, której normalnie jakby nie posiadały. Nie było w nim



nic takiego, co przymusiłoby Babette do zamknięcia mu drzwi przed nosem, dlatego wciąż przed nim stała w halce i ręczniku.

- Tak? - spytała jeszcze raz.

- Chciałbym panią namalować - odparł, a wtedy ona skrzywiła się i zrobiła krok w tył. Mój dziadek pomyślał ze strachem, że się przesłyszała i uznała, że on chce pomalować jej ciało farbami, tak jak się maluje ściany, i przerażony wytłumaczył: - To znaczy chciałbym namalować pani portret!

- Teraz? - spytała, na co odpowiedział prędko:

- Nie, nie, nie teraz. Ale chciałbym, rozumie pani? Bardzo bym chciał.

- Jest pan malarzem? - zainteresowała się.

- Niestety beznadziejnym - odrzekł mój dziadek. - Jestem beznadziejnym malarzem. Wręcz upiornym.

Zaśmiała mu się w twarz.

- Już mnie malowało kilku artystów - skłamała.

- Nie wątpię - odrzekł.

- Widział mnie pan, jak śpiewałam? - spytała, a on odparł, że owszem, widział. - Nie zostaje pan do końca wieczoru?

Zawahał się, zanim jej odpowiedział, bo właśnie w tym momencie zrozumiał, że dalsza część programu miała się dalece różnić od tego, co już zobaczył.

- Nie - odparł. - Nie chciałem stracić z panią kontaktu. Bałem się, że pani zaraz stąd wyjdzie.

Babette wzruszyła ramionami.

- Nie wpuszczam mężczyzn do swojej garderoby.

- Ależ to oczywiste! - powiedział z nadzieją, że nic, co mówił przedtem, nie zawierało takiej insynuacji. — Nie miałem intencji wchodzić do pani garderoby.

- Ale nie mam też zamiaru sterceć na korytarzu i gadać z panem - ciągnęła.

- Przepraszam, zakłóciłem pani spokój - powiedział mój dziadek i rozprostował swój płaszcz, żeby go włożyć.

- Innymi słowy, jeśli chce pan ze mną porozmawiać, to musi pan po prostu wejść do środka - wyjaśniła Babette.

- Nie mógłbym, nie chciałem...

Babette jednak, nie czekając na to, co on chce powiedzieć, schowała się do małego, mrocznego pokoiku, przytrzymując dla niego drzwi. Wszedł za nią do środka, a kiedy zamknęła drzwi, oparł się o nie, za wszelką cenę starając się jak najmniej narzucać swoją obecnością. Babette przysunęła do umywalki stary taboret od fortepianu i przyjrzała się sobie w ręcznym lusterku w srebrnej oprawie. Puściła wodę i poczekała, aż popłynie gorąca, a wtedy zmoczyła dwa palce i poprawiła lok za uchem. Po czym spojrzała przez ramię na swojego dziadka.

- A może tak powie mi pan teraz, po co pan tu przyszedł?

- Chciałem panią narysować, namalować.

- Ale twierdzi pan, że nie jest w tym dobry.

- Owszem.

- Nie powinien pan tego mówić - stwierdziła Babette. - Jeśli chce pan być kimś, jeśli chce pan coś osiągnąć, to powinien pan zacząć mówić ludziom, że jest pan dobry.

- Nie mógłbym - odparł. - Bo to nieprawda.

- No przecież to tak łatwo powiedzieć. No już, proszę to powiedzieć. Niech pan powie: „Jestem dobrym artystą”. No już.

- Nie mogę - powtórzył. - Jestem nikim.

Podniosła ołówek do brwi leżący na skraju umywalki i rzuciła go w jego stronę.

- Proszę coś narysować - rozkazała.

- Gdzie?

- Gdziekolwiek. Na tej ścianie, na tamtej ścianie, obojętnie gdzie. Dla mnie to bez różnicy.

Wahał się.

- No już - powiedziała. - Przecież nie zrobi pan nic takiego, by ten pokój wyglądał jeszcze gorzej, jeśli to pana martwi.

Znalazł miejsce obok umywalki, gdzie ściana tak bardzo nie obłaziła z farby ani nie była popisana. Powoli zaczął rysować dłoń trzymającą widelec. Babette stała za nim, pochylając się do przodu, obserwując go przez ramię.

- Rysuję pod niedobrym kątem - powiedział, ale nie zareagowała, więc rysował dalej. Dodał męskie przedramię i zegarek. - To się tak rozmazuje, bo ten ołówek jest bardzo miękki - przeprosił, a wtedy wreszcie się odezwała:

- Proszę przestać o tym gadać. Po prostu proszę to skończyć.

- Już skończyłem. - Zrobił krok w tył. - Prawie.

Spojrzała na niego, a potem na szkic.

- Ale przecież to tylko ręka. Nie ma tu żadnego człowieka, żadnej twarzy.

- Sama pani widzi, że nie jestem w tym dobry. Uprzedzałem panią.

- Nie - odparła Babette. - Moim zdaniem jest pan bardzo dobry. Moim zdaniem to jest doskonała ręka z doskonałym widelcem. Dla mnie to wystarczy, żeby pozwolić panu namalować mój portret. A w takim rysowaniu po ścianie jest po prostu coś nienormalnego, nie uważa pan?

- Nie wiem - odparł. - W życiu nie rysowałem na ścianie.

- No cóż, ładny rysunek - stwierdziła Babette. - Moim zdaniem jest pan dobrym artystą.

- Dziękuję.

- A teraz powinien pan powiedzieć, że ja jestem dobrą śpiewaczką.

- Ależ oczywiście! - wykrzyknął mój dziadek. - Pani jest cudowna.

- Jak miło, że pan to mówi. - Babette uśmiechnęła się łaskawie. - Ale tak naprawdę to wcale nie jestem dobra. W takich miejscach nie ma dobrych śpiewaków. Jest tu paru niezłych tancerzy, sama zresztą też niezłe tańczę, ale za to śpiewam okropnie.

Nie wiedział, jak na to zareagować, ale ponieważ patrzyła na niego takim wzrokiem, jakby teraz była jego kolej, by coś powiedzieć, zapytał:

- Jak pani ma na imię?

- Babette - odparła. - A tak nawiasem, jeśli dziewczyna krytykuje samą siebie, to pan powinien wprost stawać na głowie, żeby ją przekonać, że nie ma racji.

- Przepraszam - powiedział. - Nie wiedziałem.

Znowu przejrzała się w lusterku.

- Chce pan namalować tylko moją rękę? - spytała. - Nie mam przy sobie widelca.

- Nie - odrzekł. - Pragnę namalować panią, całą panią, na czarnym tle, na tle tłumu odzianego w czerń. Ale będzie tam też białe światło z panią w środku - tu podniósł rękę, by pokazać to wyimaginowane obramienie - w zieleni i czerwieni. - Opuścił rękę. - Szkoda, że pani nie widziała tej zieleni i czerwieni.

- Aha! A więc panu się podoba tylko ta sukienka - powiedziała. - Tylko sukienka i włosy.

I te ramiona, pomyślał, ale zamiast to powiedzieć, tylko przytaknął.

- Ale to w ogóle nie jestem ja - oświadczyła Babette. - Nawet kolor moich włosów jest sztuczny.

- Sztuczny?

- Tak. Sztuczny. Są farbowane. Błagam, niech pan nie będzie taki zszokowany. No przecież nie mógł pan wcześniej widzieć takich włosów.

- Nie! - niemalże krzyknął mój dziadek. - Nigdy takich nie widziałem. To takie ekscytujące, że zrobiła pani z nimi, co chciała. Zastanawiałem się nad tym, ale oczywiście nie pomyślałem, że zostały ufarbowane. Tyle tych kolorów, których nigdy nie widziałem... Czy ja mógłbym ich dotknąć?

- Nie - odparła Babette. Wzięła z umywalki grzebień i wyjęła spomiędzy zębów pojedynczy, rudy włos. A potem wręczyła ten włos mojemu dziadkowi.

- Może pan sobie go wziąć. Przecież nie znamy się aż tak blisko, bym miała pozwolić, żeby pan obmacywał łapami moją głowę.

Zaniósł włos do lampy i naprężył go pod żarówką, marszcząc czoło ze skupieniem.

- Na jednym końcu jest brązowy - zauważył.

- To jest odrost - wyjaśniła.

- Pani prawdziwy włos?

- Wszystkie moje włosy są prawdziwe. A ten brąz to mój prawdziwy kolor.

- Zupełnie taki sam jak mój - skonstatował ze zdziwieniem. - Ale na scenie tego zupełnie nie widać. Powiadam

pani, w życiu by się pani nie domyśliła, że oboje mamy takie same włosy. To niesamowite, nie uważa pani?

Babette wzruszyła ramionami.

- Nie powiedziałabym, że to coś niesamowitego. Ale ja chyba jestem przyzwyczajona do swoich włosów.

- Tak, pewnie tak.

- Pan przypadkiem nie pochodzi z Nowego Jorku, prawda? - spytała.

- Owszem, pochodzę. Mieszkam tu od urodzenia.

- Cóż, wcale się pan tak nie zachowuje. Zachowuje się pan jak mały chłopiec ze wsi. Ale proszę się nie oburzać, że tak mówię. Ja w tym nie widzę nic złego.

- A ja widzę. Uważam, że to okropne. To się bierze z tego, że za mało rozmawiam z ludźmi.

- To w takim razie co pan robi po całych dniach?

- W niektóre dni pracuję w drukarni. I mieszkam z moją cioteczną babką.

- Która jest bardzo stara - domyśliła się Babette.

- Tak. I zniedołężniała. Nic nie pamięta oprócz imion kwiatów i dziewcząt.

- Czego?

- Oprócz imion kwiatów i dziewcząt. Nie wiem, skąd się to wzięło, a jednak tak właśnie jest. Jak jej zadaję jakieś pytanie, to ona się zastanawia i zastanawia, a potem w końcu mówi coś w stylu: Petunia, Flora, Emilia, Kalina, Violetta.

- Co pan mówi! - wykrzyknęła Babette. - Moim zdaniem to jest niesamowite. Pewnie bardzo pięknie się jej słucha.

- Czasami. Czasami to po prostu smutne, bo widzę, jaka jest przygnębiona. Kiedy indziej po prostu tak sobie

gada i łączy te słowa w jeden ciąg: Dalia-Hortensja-Liliana-Maria-Róża-Hiacynta. Wtedy pięknie się tego słucha.

- Na pewno - zgodziła się z nim Babette. - Łatwo zapomnieć, ile dziewczęcych imion to również imiona kwiatów.

- Tak. - Mój dziadek przytaknął. - Zauważyłem.

- Kiedyś się panem opiekowała, prawda?

- Tak - przyznał. - Kiedy byłem młody.

- Wciąż jest pan młody. - Babette zaczęła się śmiać. - Nawet ja jestem młoda, a wydaje mi się, że jestem znacznie starsza od pana.

- Nawet sobie nie wyobrażam, ile pani ma lat. Nawet się nad tym nie zastanawiałem.

- Rozumiem dlaczego. - Babette znowu wzięła do ręki lusterko i przyjrzała się sobie. - Cały ten makijaż wszystko zakrywa. Trudno powiedzieć, jak ja w ogóle wyglądam. Moim zdaniem zresztą jestem ładna, ale właśnie w tym tygodniu dotarło do mnie, że nie będę się ładnie starzała. Znam takie kobiety, które przez całe życie wyglądają jak młode dziewczyny, i podejrzewam, że to dlatego, że mają taką cerę. Z daleka nadal wyglądam dobrze, a na scenie będę jeszcze przez całe lata wyglądała cudownie, ale jeśli stanie pan przy mnie blisko, to już pan zauważy zmianę.

Poderwała się z miejsca i dwoma krokami dobiegła do przeciwległego kąta pokoju.

- Sam pan widzi, z tego miejsca wyglądam niebiańsko - powiedziała, a potem doskoczyła do niego, tak blisko, że niemal stykali się nosami. - Ale teraz proszę mi się przyjrzeć. Widzi pan te cienkie zmarszczki tu i tu? - Wskazała zewnętrzne kąciaki oczu.

Mój dziadek nie zobaczył tam żadnych zmarszczek, tylko roztrzępotane rzęsy i makijaż. Zauważył, że jej oddech

pachnie pomarańczami i papierosami, a potem przestał oddychać, bojąc się, że mógłby w jakiś sposób ją dotknąć albo zrobić coś niewłaściwego. Wypuścił oddech dopiero wtedy, gdy Babette zrobiła krok w tył.

- Ale tak jest ze wszystkim, czemu człowiek przygląda się zbyt dokładnie - ciągnęła Babette. Zielona sukienka, którą miała przedtem na sobie, wisiała na rurze biegnącej nisko pod sufitem. Ściągnęła ją teraz i znowu wycofała się do kąta, przyciskając ją do siebie. - Niech pan się tylko przyjrzy tej ślicznej, zielonej sukience - powiedziała. - Na scenie przyciąga oczy mężczyzn, prawda? I wyglądałam w niej fantastycznie, prawda?

Mój dziadek odparł, że właśnie tak sobie pomyślał. Znowu do niego podeszła, ale tym razem na szczęście nie tak blisko jak przedtem.

- Ale sam pan widzi, że to przecież tandeta - powiedziała, wywracając sukienkę na drugą stronę. - Te szwy wyglądają, jakby szyło ją dziecko, i wszystko się trzyma na agrafkach. I proszę ją pomacać. No, śmiało.

Mój dziadek ujął dłońią skrawek sukni, ale tak naprawdę to wcale nie pomacał materiału, jak mu kazała.

- Od razu się czuje, że to nie jest prawdziwy jedwab, że tak naprawdę wcale nie jest miła w dotyku. Gdybym się w nią wystroiła do czyjegoś domu, to wyglądałabym jak jakaś ulicznica. To żałosne. - Odwróciła się od niego, po czym dodała przez ramię: - Oszczędzę pana i nie każę panu wachać tej szmaty. Jestem pewna, że to sobie pan wyobraża.

Właściwie to za nic nie umiałby sobie wyobrazić, jak pachnie ta sukienka. Podejrzewał, że pomarańczami i papierosami, ale nie miał jak tego sprawdzić. Babette pozwoliła, by jej różowy ręcznik opadł na podłogę, po czym



obróciła się i stanęła twarzą w twarz z moim dziadkiem, w samej halce i pończochach.

- Domyślam się, że wyglądam wyjątkowo przyjemnie w takim stroju - powiedziała - ale nie mam dużego lustra, więc nie jestem pewna. Gdybym jednak zdjęła tę halkę i gdyby pan do mnie podszedł, to zobaczyłby pan, że mam mnóstwo najrozmaitszych narośli, włosków i piegów, więc mógłby się pan bardzo rozczarować. Nigdy pan nie widział nagiej kobiety, prawda?

- Ależ widziałem - odparł i Babette spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Nigdy pan nie widział - zaprotestowała ostrym tonem. - Nigdy w życiu.

- Widziałem. Minęły już trzy lata, odkąd ciotka nie potrafi sama zadbać o siebie. To ja ją myję, przebieram, kąpię.

Babette skrzywiła się.

- To pewnie jest obrzydliwe. - Podniosła ręcznik z podłogi i znowu okryła nim ramiona. - Ona pewnie nawet się nie kontroluje. Pewnie jest cała czymś upaprana.

- Bardzo dbam o jej higienę - zapewnił mój dziadek. - Pilnuję, żeby...

- Nie. - Babette podniosła ręce. - Nie mogę tego słuchać. Zaraz zwymiotuję, przysięgam.

- Przepraszam - powiedział mój dziadek. - Nie chciałem...

- To pana nie brzydzi? Robienie tych rzeczy? - przerwała mu.

- Nie - odparł szczerze. - Moim zdaniem to podobne do opieki nad dzieckiem, nie uważa pani?

- Nie. Absolutnie nie. Ale czy to nie zabawne, że tak mnie brzydzi to, co właśnie mi pan powiedział? Jestem

pewna, że w moim życiu są rzeczy, które zaszokowałyby pana, ale nie myślałam, że to pan mnie zaszokuje.

- Nie chciałem pani zaszokować - przeprosił. - Ja tylko odpowiedziałem na pani pytanie.

- W takim razie teraz ja powiem panu coś szokującego - powiedziała. - Kiedy byłam mała, mieszkałam z rodzicami w Elmirze, w sąsiedztwie bardzo starego mężczyzny, weterana wojny domowej. Stracił rękę podczas bitwy, ale nie pozwolił chirurgowi wyrzucić tej ręki. Zachował ją, zaczekał, aż cała skóra zgnije, potem wysuszył rękę na słońcu i zabrał do domu. W charakterze pamiątki. Trzymał ją aż do śmierci. Zwykł ścigać z nią swoje wnuki na podwórku, a potem je bił własną kością ramieniową. Któregoś razu kazał mi usiąść i pokazał mi maleńkie pęknięcie w miejscu, gdzie ją złamał, kiedy był mały. Myśli pan, że to obrzydliwe?

- Nie - odparł mój dziadek. - To interesujące. Nigdy nie poznałem nikogo, kto walczył w wojnie domowej.

- Jakie to zabawne - stwierdziła Babette - bo wszyscy, którym to kiedykolwiek opowiadałam, byli zaszokowani, ale mnie to nigdy nie szokowało. Dlaczego więc nie mogę słuchać, jak pan opowiada o myciu swojej starej ciotki?

- Nie wiem - powiedział. - Ale z kolei pani historia jest daleko bardziej zajmująca.

- Nie myślałam, że coś jeszcze w życiu wywoła moje obrzydzenie - ciągnęła. - Opowiem panu jeszcze inną historyjkę. W kościele w moim rodzinnym mieście organizowano przyjęcia z lodami dla dzieci i jedliśmy tych lodów tyle, że od tego wymiotowaliśmy. Ale to była taka uczta, że i tak chcieliśmy zjeść jeszcze więcej, dlatego wychodziło się na zewnątrz, wymiotowało to, co się zjadło, i biegło się do środka po dokładkę. Dość szybko wszystkie psy z miasteczka schodziły się pod kościół i pożerały te

roztopione lody tak szybko, jak szybko my potrafilismy je zwiymiotować. Uważa pan, że to obrzydliwe?

- Nie - odparł mój dziadek. - Moim zdaniem to zabawne.

- Też tak uważam. Wtedy mnie to śmieszyło i teraz również. - Przez chwilę milczała. - A jednak podczas ostatnich kilku lat widziałam takie rzeczy, od których dostałby pan mdłości. Mogłabym pana zaszokować. Robiłam rzeczy, które są tak okropne, że nie opowiedziałabym ich panu nawet wtedy, gdyby mnie pan błagał na kolanach.

- Nie zrobiłbym tego. Nie chcę nic wiedzieć - odparł, mimo że kiedy wychodził z domu tamtego wieczoru, rozpaczliwie pragnął właśnie tego typu informacji.

- Zresztą to nie jest ważne. W ogóle nie będziemy o tym rozmawiali. Ale pan to dopiero jest zabawny, prawda? Kiedy to mówię, czuję się jak stara ladacznica. W tym biznesie jest mnóstwo starych ladacznic i one wszystkie mówią młodym mężczyznom: „Pan to dopiero jest zabawny, prawda?” Ale w pana przypadku naprawdę tak jest. Większość mężczyzn zwietrzy coś w związku z przeszłością dziewczyny i od razu chcą wiedzieć wszystko, co kiedykolwiek zrobiła. A pan stale na mnie patrzy, ale nie tak, jak do tego przywykłam.

Mój dziadek się zaczerwienił.

- Przepraszam, jeśli się gapiłem - powiedział.

- Ale nie tylko na mnie! Gapił się pan na cały ten pokój. Założę się, że zapamiętał pan wszystkie pęknięcia w tych ścianach, poprzeczki w ramie tego łóżka i to, co mam na dnie tych walizek.

- Nie.

- Ależ tak. I uczył się pan mnie na pamięć. Jestem tego pewna.

Nie odpowiedział jej, choć oczywiście miała absolutną rację. Zamiast tego nerwowo balansował swoim ciężarem, nagle zde gustowany różnymi rozmiarami swoich stóp. Nie po raz pierwszy w życiu czuł, że traci grunt pod nogami z powodu tej deformacji, że ona niemal przyprawia go o zawroty głowy.

- A teraz to pana zawstydziłam - zauważyła Babette. - Ale to pewnie łatwe, więc nie będę z tego dumna. - Po chwili milczenia dodała: - Wierzę, że pan naprawdę jest artystą, bo tak się pan gapił. Pan jest z tych, co patrzą, a nie z tych, co słuchają. Mam rację?

- Nie wiem, o czym pani mówi - odparł.

- Proszę zanucić chociaż jeden takt z mojej dzisiejszej piosenki albo powtórzyć chociaż jedną linijkę refrenu. No proszę.

Próbował odtworzyć piosenkę w myślach i z początku przypomniał mu się tylko ten siedzący obok niego człowiek bez twarzy, który pytał o godzinę.

- Śpiewała pani coś tam o tym, że jest pani smutno, bo ktoś odszedł, zdaje się, że mężczyzna... - powiedział w końcu i zawiesił głos, po czym jeszcze wybąkał: - To była piękna piosenka. Śpiewała ją pani jak należy.

Babette wybuchnęła śmiechem.

- Równie dobrze wcale mógł jej pan nie słuchać. To głupia piosenka. Ale proszę mi powiedzieć, ile par tańczyło za mną?

- Cztery - odparł bez wahania.

- A która z dziewczyn na scenie była najniższa?

- Pani.

- A jak duża była orkiestra?

- Orkiestry nie widziałem, z wyjątkiem dyrygenta i kontrabasisty, oczywiście, bo on stał.

- Tak, oczywiście. - Babette podeszła do umywalki i przez kilka chwil robiła tam coś z przyborami toaletowymi. Potem się odwróciła i podeszła do mojego dziadka z jedną ręką wyciągniętą. Namalowała na bladym wnętrzu swego przedramienia pięć krótkich kresek, każdą inną szminką. Nakryła usta drugą dłonią i spytała: - Jakiego koloru są teraz moje usta?

Mój dziadek spojrzał na jej rękę, niespodziewanie przestraszony paskami czerwieni na tle białej skóry. Zwlekał chwilę z odpowiedzią, bo coś innego przykuło jego wzrok, a mianowicie blada, niebieskawa żyłka, która przebiegała ukośnie przez zgięcie jej łokcia. W końcu wskazał drugi pasek szminki nad jej nadgarstkiem i powiedział z przekonaniem, niemal obojętnie:

- To ten.

Spojrzał na jej twarz dopiero wtedy, kiedy opuściła rękę i intrygująca, niebieska żyłka zniknęła z widoku. Nadal trzymała drugą dłoń w okolicy ust i gapiła się na niego oczyma tak wytrzeszczonymi i przerażonymi, że ta jej ręka zdawała się należeć do kogoś obcego, do kogoś, kto się przymierza do ataku. Powoli odjął jej dłoń od twarzy i spojrzał na nią w milczeniu. Spojrzał na jej usta i upewnił się, że wybrał poprawnie. Nie myśląc nawet o tym, co właściwie chce zrobić, zadarł jej podbródek, dzięki czemu jej twarz wyszła teraz z cienia, i przyjrzał się zarysowi jej czoła, nosa i szczęki. Babette obserwowała go.

- Niech pan posłucha - powiedziała. - Jeśli pan chce mnie pocałować, to tylko...

Przestała mówić, bo puścił jej podbródek i ujął ją dla odmiany za nadgarstek, obracając go wnętrzem do góry, wystawiając na pokaz to miejsce, gdzie pomalowała się szminkami. Dłuższy czas się przyglądał, a ona w końcu

zaczęła ścierać rozmazane czerwone kreski rogiem ręcznika, jakby się nagle zawstydziała tym, co zrobiła. Ale mój dziadek na to nie patrzył. Znowu przyglądał się cienkiej, niebieskiej żyłce, badając jej krótką ścieżkę w miękkiej kotlinie łokcia. Po jakimś czasie podniósł drugą rękę Babette i porównał drugą, bliźniaczą żyłkę z tą pierwszą, trzymając teraz delikatnie oba nadgarstki, ale był tak pochłonięty swoim zajęciem, że to negowało lekkość jego dotyku. Wyrwała się, a on puścił jej rękę, nic nie mówiąc.

Przeszedł przez pokój i ze zmarszczonym czołem jeszcze raz przyjrzał się sukience, znowu pieczołowicie zapamiętując tę porażającą zieleń. A potem ponownie odwrócił się w stronę Babette, żeby utwierdzić się w przekonaniu, że pamięta kolor jej włosów. Wyciągnął dłoń, chcąc ich dotknąć, ale złapała go za rękę.

- Błagam - powiedziała. - Dosyć tego.

Mój dziadek zamrugał, jakby właśnie wyrwała go z drzemki albo przekazała mu jakieś nieoczekiwane złe wieści. Rozejrzał się po wnętrzu pokoju, jakby szukał w nim kogoś innego, kogoś bardziej znajomego, po czym zmarszczył brwi i popatrzył znów na Babette.

- Powinien pan wiedzieć, że istnieją pewne zasady zachowania - powiedziała zimnym tonem. - Ze trzeba mówić pewne rzeczy, żeby dziewczyna nie czuła się wykorzystana.

Jej twarz była pozbawiona wszelkiego wyrazu, ale za to podniosła swoje lustro i trzymała je teraz mocno, tak jak się trzyma raketę tenisową albo pistolet.

Zaczerwienił się.

- Przepraszam - wybąkał. - Nie chciałem... Tak mi się czasami robi, że tak się przyglądam, że tak się gapię...

Babette przerwała mu ostrym spojrzeniem pełnym iry-

tacji, które przemknęło przez jej twarz szybko i mrocznie niczym cień.

- Nie wolno robić takich rzeczy innym ludziom - powiedziała. Zaczął znowu przeproszać, ale potrząsnęła głową, każąc mu zamilknąć. I po chwili znowu się odezwała: - To będzie bardzo dobry obraz, ale raczej nie będzie dla mnie pochlebny. I nic nie szkodzi - dodała, mężnie wzruszając ramionami - bo i tak nigdy go nie zobaczę.

- Przepraszam - powtórzył, czując się jak ktoś obcy, w własnych uszach brzmiąc jak ktoś obcy, jakby znowu stał pod jej drzwiami, w ciemnym, pełnym pajęczyn korytarzu biegnącym pod sceną.

Wzruszyła jednym ramieniem i podniosła rękę, by niepotrzebnie dotknąć rudego loka. Mój dziadek obserwował to w milczeniu.

- Czy nie powinien pan już iść? - spytała w końcu Babette.

Przytaknął, zniesmaczony jałowością swojego przeproszenia, i wyszedł. Znalazł drogę przez mroczny korytarz i samotnie opuścił nocny klub, nawet nie pamiętając młodego biletera, który przyprowadził go do Babette. Przestało padać. Jego płaszcz wysechł w jej pokoju i mój dziadek zdążył zapomnieć, że był mokry.

Wdowa z chorymi kolanami czekała na niego, kiedy wrócił do domu. Nie spytała, gdzie był, powiedziała tylko, że ciotka zasnęła w swoim fotelu i że przez cały wieczór była spokojna.

- Dałam jej zupy - szepnęła, kiedy otworzył drzwi.

- Dziękuję pani - powiedział. - Jest pani bardzo uprzejma.

Cicho zamknął za nią drzwi i zdjął buty, żeby nie obudzić ciotki podczas przechodzenia przez salonik.

A potem w swojej sypialni zaczął pracować nad pierwszym ważnym obrazem w swojej karierze. Najpierw wziął węgiel rysunkowy i wypełnił kilka arkuszy papieru rozmazanym, beztwarzowym tłumem na widowni w nocnym klubie, pozostawiając na każdym szkicu pustą, białą przestrzeń, zawsze w tym samym miejscu. Po kilku godzinach przyjrzał się uważnie swoim dziełom i z irytacją stwierdził, że wszystkie są identyczne: jednolite i ciemne, z ziejącą luką w samym środku, w której narysowałby śpiewaczkę, ale nie wiedział, jak zacząć.

Ułożył głowę na ręce i zamknął oczy. Wdychał woń tytoniu, która biła od jego koszuli, z początku obojętnie, a potem specjalnie, jakby od tego smrodu jego talent miał się pogłębić. Po jakimś czasie otworzył niewielkie pudełko z farbami olejnymi i zaczął mieszać te farby, starając się uzyskać zielen sukienki Babette.

W późniejszym okresie jego życia uważano go za nierównanego mistrza w dziedzinie władania kolorem, ale tamtej nocy, kiedy był jeszcze młodym człowiekiem i posiadał bardzo skromną kolekcję farb olejnych, poczuł się przygnieciony zadaniem uzyskania właściwego odcienia. Pracował metodycznie i kilka razy uznał nawet, że jest bliski sukcesu, ale po wyschnięciu farby przekonywał się, że efekt gdzieś zaginął, że kolor stał się mdły. Porażała go ta niemoc w pokonywaniu własnych ograniczeń.

Jego biurko było już pokryte podartymi strzępami papieru i plamami kleistej, niewłaściwej zieleni. Spojrzał znowu na szkice węglem i przypomniało mu się to, co powiedziała Babette. Miała rację, mówiąc, że to będzie dobry obraz, ale myliła się, twierdząc, że nie będzie dla niej pochlebny. Mój dziadek wyobraził sobie postać, która



zgodnie z jego zamierzeniem miała ostatecznie wypełnić pustą, białą przestrzeń, i był pewny, że będzie to postać bardzo wymowna. Niemniej jednak wyobrażał też sobie, że ten obraz pozostanie jedynie niezdatnym wspomnieniem cudownej, ulotnej chwili. Ostatecznie to on miał być tą osobą, której ten obraz nie schlebi. Miał pecha, że zrozumiał to w tak młodym wieku.

Usłyszał jakiś odgłos i odłożył szkicownik na podłogę. Ciotka coś mówiła, a on zastanawiał się, od jak dawna nie śpi. Poszedł do salonu i zapalił tam małą lampkę do czytania. Ciotka kołysała się powoli, a on przez jakiś czas wsłuchiwał się w jej mamrotanie.

- Rudbekia - mówiła ciotka - Anna, Forsycja, Gracja, Kalia, Sara, Amelia...

Zmaląła z wiekiem. W tym oświetleniu jednak, z tymi ciemnymi kocami na nogach i haftowanymi poduszkami dookoła, wydawała się postawna, jeśli nie wręcz krzepka. Mój dziadek usiadł obok jej stóp niczym dziecko, które czeka na bajkę.

- Orchidea, Cyntia, Weronika, Delfina, Begonia - powiedziała.

Oparł głowę na jej kolanie i wtedy przestała gadać. Położyła dłoń na jego głowie i trzymała ją tam, targaną nieustającą starczą drżączką. Zaczęła ogarniać go senność i w rzeczy samej zasnął, ale po jakimś czasie obudził go głos ciotki.

- Biedak.

Na poły otworzył oczy, nie unosząc głowy, niepewny, co właściwie usłyszał.

Powtarzała to słowo raz po raz, równie cicho i bełkotliwie jak te swoje dziwaczne listy imion.

- Biedak, biedak, biedak - mówiła, a on przez swoje

wyczerpanie był tak rozkojarzony, że źle ją zrozumiał. Ubrdał sobie, że powtarzała raz po raz: Babette. Z wszystkich kwiatów i dziewcząt, pomyślał, to było najpiękniej brzmiące, najtrudniejsze do wymówienia imię i to je właśnie zdecydowała się powtarzać i powtarzać bez końca.

Zamknął oczy. Nawet zamknięte bolały, jakby jakimś sposobem zostały zmuszone do patrzenia na niego w wieku sześćdziesięciu lat: starzejącego się i umierającego, wzywającego swoje córki i wnuczki, wzywającego je wszystkie do siebie, nazywającego je wszystkie Babette.

## Na Giełdzie Owocowo-Warzywnej w Bronksie

Jimmy Moran był jeszcze bardzo młody - ledwie stuknęła mu czterdziestka - kiedy zaczął odczuwać ciężkie bóle w krzyżu. Lekarz rodzinny powiedział mu, że prawdopodobnie potrzebuje operacji dysku, a drugi lekarz (drogi specjalista) potwierdził diagnozę. Obaj ci lekarze zgodzili się, że Jimmy musi na sześć miesięcy przerwać pracę. Że przez sześć miesięcy będzie musiał leżeć na grzbiecie i absolutnie nic nie robić: tylko to dawałoby mu szansę na całkowite wyleczenie.

- Sześć miesięcy! - kłócił się Jimmy z lekarzami. - Przecież ja robię w płodach rolnych, panowie! Jaja sobie ze mnie robicie?

Sześć miesięcy! Złożył lekarzom ofertę z czterech miesięcy, choć to i tak było znacznie więcej, niż mógł sobie pozwolić. W końcu zeszli do pięciu miesięcy, niechętnie i z oczywistą dezaprobatą. Dla Jimmy'ego nawet pięć miesięcy przerwy w pracy było jakimś wariactwem. Odkąd zatrudnił się na Giełdzie Owocowo-Warzywnej w Bronksie w charakterze tragarza, latem 1970 roku, nigdy nie brał więcej niż tydzień wolnego. Pięć miesięcy! Przecież musiał jakoś utrzymać żonę i tyle dzieci, że aż wstyd mówić. Ale cóż, jak mus, to mus. Miał chory krzyż i musiał się pod-

dać operacji, dlatego ustąpił. A jednak jakoś przeżyli: jego żona, Gina, brała nadgodziny w swojej pracy, opróżnili konto oszczędnościowe i jego brat, Patrick, dał im trochę forsy. Nie było aż tak źle.

Jak się okazało, podczas tego przymusowego urlopu udało mu się dokonać dwóch ważnych osiągnięć. Przede wszystkim kupił przepięknego niebieskiego chryslera sedan, rocznik 1956, który był w znakomitym stanie, a po drodze sunął jak luksusowy liniowiec. Ginie nie spodobała się ta nowa inwestycja, ale potrzebowali jeszcze jednego samochodu, a ten chrysler był znacznie tańszy niż cokolwiek nowego. Odkupił go od pewnego staruszka z Pelham Bay, który od dziesiątków lat nie wyprowadzał tego samochodu z garażu i nie miał pojęcia, ile on jest wart. Uczciwie mówiąc, ten chrysler to był napad stulecia. Z ręką na sercu. Jimmy zawsze chciał mieć taki piękny, stary wóz. Od zawsze uważał, że zasłużył sobie na piękny, stary wóz, bo tylko on naprawdę by go doceniał i należycie o niego dbał; wyobrażał sobie nawet, że na jazdy po mieście będzie wkładał taki piękny, staromodny kapelusz z szerokim rondem, jaki kiedyś zwykł nosić jego ojciec.

Jego drugim osiągnięciem było to, że postanowił ubiegać się o stanowisko przewodniczącego lokalnego oddziału swojego związku zawodowego.

Obecnym przewodniczącym ich oddziału związku\*, oddziału numer 418, był niejaki Joseph D. DiCello, który miał tę oczywistą przewagę, że już sprawował to stano-

\* Mowa o International Brotherhood of Teamsters, jednej z największych amerykańskich organizacji związkowych, zrzeszającej m.in. pracowników transportu, kierowców i pracowników magazynowych (przyp. tłum.).

wisko i że był Włochem. Większość członków związku z Giełdy Owocowo-Warzywnej w Bronksie była Włochami i nawet gdyby tylko połowa Włochów głosowała na DiCello, Jimmy Moran oberwałby jak zły pies, z czego zresztą znakomicie zdawał sobie sprawę. Niemniej nadal wierzył, że ma szansę wygrać, a to z tego powodu, że Joseph D. DiCello, mówiąc oględnie, był durniem i skorumpowanym, beużytecznym gnojkiem.

DiCello jeździł wielkim bonnevill'em i od sześciu lat nie obronił skutecznie żadnego robotnika, który się na coś poskarżył. Prawie wcale się nie pojawiał na giełdzie, a kiedy już się pojawiał, to zawsze przyprowadzał z sobą jakąś prostytutkę, którą zabierał spod bramy. Zazwyczaj była to chińska prostytutka. DiCello pytał jakiegoś zmęczonego z przepracowania tragarza:

- Ej ty tam, młody? Podoba ci się moja żonka? Podoba ci się moja nowa żonka, młody?

A tragarz mówił wtedy coś w tym stylu:

- Jasne, szefie.

Potem DiCello śmiał się z biedaka i nawet chińska prostytutka śmiała się z biedaka. Dlatego i również z mnóstwa innych powodów ludzie zasadniczo mieli już dosyć Josepha D. DiCello.

Z kolei Jimmy Moran był bardzo lubianą osobą. Garstka tych Irlandczyków, którzy wciąż pracowali na giełdzie, zagłosowałyby na niego odruchowo; Jimmy miał też niezłe układy z większością Włochów. No jakże, przecież ożenił się z Włoszką. Jego dzieci były w połowie Włochami. Serio, z Włochami dogadywał się jak trzeba. Z Portugalczykami też się dogadywał i nigdy o nich nie mówił, że każdy Portugalczyk to złodziej. Nie miał także nic do czarnych (inaczej niż ten zboczony bigot DiCello),

a tacy Latynosi to wręcz uważali go za kumpla. Jimmy przez wiele lat miał się najrozmaitszych zajęć na giełdzie, ale ostatnimi czasy był znowu zatrudniony w charakterze tragarza, a to z kolei oznaczało, że pracował przeważnie z Dominikańczykami i Portorykańczykami. Którzy byli bardzo porządnymi facetami i lubili sobie poartować, zdaniem Jimmy'ego Morana.

Z głosami Meksykanów też nie byłoby większego problemu. Starsi Meksykanie pamiętali, że wiele, wiele lat wcześniej Jimmy Moran wykonywał typowo meksykańską pracę, polegającą na segregowaniu i pakowaniu papryki. (I to nie słodkiej, włoskiej papryki, tylko tych niemiłosiernych, hiszpańskich odmian - jalapeño, poblano, cayenne, chilli, pikantnej jamajskiej - potwornie ostrych, palących papryk, którymi zajmowali się zazwyczaj tylko Meksykanie, bo jeśli ktoś nie wiedział, co robi, to mógł sobie wyrządzić wielką krzywdę. Kiedy komuś dostał się do oka sok z takiej papryki, to autentycznie tak się czuł, jakby ktoś przywalił mu pięścią.) Segregowanie papryki było wprawdzie zajęciem łatwym dla kręgosłupa, ale nie była to praca dla białego i Jimmy przestał to robić wiele, wiele lat wcześniej. Niemniej dobrze się dogadywał z wszystkimi starszymi Meksykanami i z młodszymi na ogół też.

Tylko z Koreańczykami Jimmy nie miał żadnych doświadczeń. Nikt inny zresztą też nie, więc się nie musiał przejmować. Joseph D. DiCello także nie był najlepszym kumplem Koreańczyków czy coś tam. Koreańczycy byli dziwni i o Koreańczykach po prostu się zapominało. Mieli własne targowisko na terenie giełdy i handlowali tylko między sobą. Rozmawiali z sobą po koreańsku, a poza tym nawet nie należeli do związku.

I jeszcze jedna rzecz przemawiała na korzyść Jimmy'ego

Morana, a mianowicie to, że był urodzonym związkowcem, a nie jakimś farbowanym lisem, synem lokalnego gangstera jak DiCello. Nawet nie pochodził z miasta. Urodził się w Wirginii i w jego rodzinie byli sami górnicy albo po prostu tacy ludzie, którzy znają się na uczciwej pracy. Jimmy, kiedy jeszcze mieszkał w Wirginii i miał zaledwie dziesięć lat, widział na własne oczy, jak podczas strajku górników jego dziadek przewrócił ciężarówkę stanowiącą własność kompanii węglowej i strzelał ze swojej strzelby do jej silnika. Jeden jego stryj został zamordowany przez pracowników ochrony kompanii, drugi stryj zmarł na pylicę płuc, a jeszcze inni jego przodkowie organizowali się przeciwko US Steel, tak więc Jimmy Moran był prawdziwym robotnikiem, inaczej niż na przykład taki bogaty oszust jak Joseph D. DiCello, który mógłby sobie żyć tysiąc lat, a i tak nikt by go nie nazywał prawdziwym robotnikiem.

Jimmy Moran zastanawiał się nad tym, czy kandydować, przez cały wieczór. Mijał już czwarty miesiąc wolnego po operacji kręgosłupa. Zastanawiał się nad wszystkimi za i przeciw startowania w wyborach, tym bardziej że kandydowałby po raz pierwszy w życiu. Wiedział, że Gina nie oszaleje z radości, ale z kolei krzyż przestał go boleć, był właścicielem pięknego chryslera z 1956 roku i czuł, że autentycznie ma jakieś szanse. Nie znajdował żadnego powodu, dla którego on - ze swoim dobrym robotniczym życiorysem, ze swoją przyzwoitością i długą listą najrozmaitszych prac, które podejmował na giełdzie przez te wszystkie lata - nie mógłby zostać przewodniczącym związku.

Tak, namyślał się nad kandydowaniem przez cały wieczór, a kiedy się obudził następnego ranka, był już zde-

cydowany. Wręcz przekonany. Wspaniałe uczucie. Jakby się obudził i poczuł, że jest w kimś zakochany.

I tak oto Jimmy Moran wrócił na giełdę po zaledwie czterech miesiącach wolnego. Umyślił sobie, że będzie przez kilka nocy prowadził kampanię, a potem oficjalnie wróci do pracy. Przyjechał na giełdę dobrze po północy, kiedy już się tam zjeżdżały po towar pierwsze ciężarówki. Przy głównej bramie zatrzymał się, żeby pogadać z Bahiz, Arabką, która sprawdzała dokumenty tożsamości. Z Bahiz wszyscy flirtowali, bo nie dość, że mogła się podobać z wyglądu, to jeszcze od przeszło dwudziestu pięciu lat była jedyną kobietą zatrudnioną na giełdzie, jak się Jimmy Moran orientował.

- Bahiz! - zawołał. - Kto cię wypuścił z haremu?

- O Jezu. Patrzcie, kto wrócił zza grobu - odparła, nie przestając żuć gumy.

- Zza grobu? - powtórzył Jimmy. - Zza grobu? A kto ci pozwolił grzebać Jimmy ego, ślicznotko? Wrócił Jimmy Moran, jak zawsze cały i zdrowy. Jezu, ja nie chcę gadać o umieraniu. Podoba ci się mój samochód?

- Bardzo piękny.

- Zgadnij, który to rocznik.

- Nie wiem.

- No po prostu zgadnij.

- Nie wiem. Sześćdziesiąty ósmy?

- Nabijasz się ze mnie?

- To który? Sześćdziesiąty szósty? Skąd mam to wiedzieć?

- Bahiz! To pięćdziesiąty szósty! Pięćdziesiąty szósty, Bahiz!

- Powiadasz?



- Chociaż raz przejrzyj na oczy, Bahiz.  
- Skąd ja mam wiedzieć coś takiego? Ledwie go widzę.  
- Panie go uwielbiają, mała. Zabiorę cię kiedyś na przejażdżkę. Nigdy byś mi nie odmawiała przez te wszystkie lata, gdybym jeździł takim ładnym wozem. Nie jest tak, Bahiz?

- Och, Jimmy. Idź ty lepiej do wszystkich diabłów.  
- Masz niewyparzoną gębę, Bahiz. No to jak jest? Masz może jakieś figi?

W niektóre dni Bahiz częstowała najwspanialszymi figami na świecie. Na całej giełdzie można się było bez trudu zaopatrzyć w suszone figi, ale to były figi kalifornijskie, z odmiany zwanej potocznie „misyjną”. Ponadto niektóre z lepszych hurtowni na giełdzie importowały hiszpańskie figi, całkiem smaczne, ale za to drogie i pakowane w skrzynki owinięte plastikiem, więc prawie nie dawało się ukraść choćby garści, tylko na spróbowanie. Jimmy Moran z całą pewnością nie zamierzał już nigdy więcej jeść ani suszonych fig z Kalifornii, ani tych z Hiszpanii, bo miał okazję kosztować fig Bahiz, które pochodziły z Izraela i były absolutnie niesamowite. Matka Bahiz przysyłała jej te figi w paczkach aż z Bliskiego Wschodu: przedsięwzięcie kosztowne, ale tego warte. Wszyscy powszechnie wiedzieli, że w całej historii ludzkości izraelskie figi były najcenniejsze. Bo te figi smakowały jak miód. Miały skórkę jak karmelki.

Tej nocy jednakże Bahiz nie miała fig.

- Do bani z tobą, Bahiz - powiedział Jimmy Moran. - Ty bezwartościowa, stara wiedźmo.

- Mam nadzieję, że ktoś stuknie ten twój dumny samochód! - odgryzła się, po czym oboje uśmiechnęli się do siebie i pomachali sobie na pożegnanie.

Jimmy zaparkował przed „Grafton Brothers”, firmą, w której pracował przed operacją, jedną z największych hurtowni na całej giełdzie i doskonałym miejscem do rozpoczęcia kampanii. Hurtownia „Grafton Brothers” osiągała bardzo wysokie zyski, a powód był następujący: bracia Salvi i John Graftonowie skupowali bardzo tanio przejrzałe owoce i warzywa, które przekroczyły dopuszczalny termin magazynowania, i wynajmowali ludzi, którzy te produkty selekcjonowali, czyli odrzucali to, co już zgniło - a była tego na ogół większość - i pakowali resztę. Graftonowie potrafili potroić to, co zainwestowali, dzięki taniemu transportowi i uprawianiu dumpingu wobec reszty giełdy. Praktycznie rzecz biorąc, dopuszczali się matactwa.

Salvi i John Graftonowie bardzo się wzbogacili w ten sposób, stali się właścicielami wielkich farm koni wyścigowych na Florydzie, za to od ich hurtownianego imperium śmierdziało jak od przyzmy kompostowej, bo tyle tych warzyw i owoców było wyrzucanych, i przy żadnej innej firmie na giełdzie nie kręciło się tyle szcurków co przy Graftonach, którzy po prostu handlowali śmieciami.

Na giełdzie były hurtownie, które podchodziły do towaru z wielką powagą i sprzedawały wyłącznie wzorcowe owoce i warzywa. Przy północnej strefie załadunkowej miał swoją siedzibę pewien Żyd rosyjskiego pochodzenia, który dzień w dzień sprowadzał samolotem endywię z małej, rodzinnej farmy w Belgii, i była to najlepsza endywia na świecie. Był też na giełdzie Filipińczyk, który sprzedawał jeżyny w styczniu po pięć dolarów za pół kwarty w hurcie, i kupujący ochoczo płacili, bo te jeżyny były fantastyczne i warte swojej ceny. Hurtownia Graftonów ani trochę nie należała do takiej ligi.

Jimmy Moran pracował u Graftonów z przerwami od dwudziestu pięciu lat jako tragarz, selekcjoner warzyw i praktycznie na wszelkich innych stanowiskach. Nigdy tylko nie był w stanie zdobyć żadnej pracy w biurze, które mieściło się w barakach. Na giełdzie zawsze było trudniej o posady za biurkiem. Towarzyszyła im zawsze wielka rywalizacja i wielka presja, a poza tym najwyraźniej pomagało, jeśli człowiek wyznawał się na matematyce. Tak czy owak bracia Graftonowie mieli setki pracowników przy rampach załadunkowych i Jimmy znał ich prawie wszystkich.

Jimmy Moran szedł wzdłuż ramp Graftonów, niosąc na plecach ciężki jutowy worek wypełniony kampanijnymi znaczkami, które kazał sobie zrobić poprzedniego dnia. Na znaczkach widniał napis: DICELLO NIE JEST PO NASZEJ STRONIE, WIĘC POZBĄDŹMY SIĘ GO. GŁOSUJCIE NA JIMMY'EGO MORANA. Były to ogromne znacзки, każdy miał w przekroju mniej więcej tyle co grejpfrut, z czarnymi literami na żółtym tle. Jimmy lawirował między stosami skrzyń, ekspozycjami warzyw i ciężarówkami, po drodze każdemu dając znaczek i do każdego zagadując. Próbował rozmawiać w sposób jak najbardziej osobisty. Mówił na przykład:

- Hej, Sammy! Żona dalej gotuje ci obiady?

Albo:

- Hej, Len! Ciągłe jeszcze przysypiasz gdzieś na boku?

Albo:

- Hej, Sonny! Dalej pracujesz z tym drugim sukinkotem?

Rozdawał znaczkami, podawał rękę, rozdawał znaczkami, podawał rękę, znowu rozdawał znaczkami. Czuł się naprawdę

znakomicie. Kręgosłup w ogóle nie dawał o sobie znać. Jimmy był wypoczęty, wiedział, co robi, i dopiero po paru godzinach przeszedł przez całą hurtownię Graftonów.

Zauważył swojego starego kumpla Herba, który rozmawiał z jakimś młodym tragarzem.

- Hej, Herb! - zawołał. - A to kto, twój nowy chłopak?

Zauważył jakiegoś innego tragarza, który był niewiele starszy od jego syna Danny'ego i palił marihuanę za ekspozycją melonów.

- Policja! - zawołał. - Jesteś aresztowany, ty ćpunie!

Zauważył starego kumpla Angela, który grał w karty z innymi mężczyznami na przewróconej skrzynce.

- A to co jest, Angelo, kasyno?

Angelo i pozostali zarechotali. A potem pytali o jego krzyż i wyrażali nadzieję, że Jimmy czuje się lepiej. Wszyscy w hurtowni Graftonów zawsze lubili Jimmy'ego Morana i z zadowoleniem witali jego powrót. Kiedyś, kiedy pracował tam w chłodni ogórków, zwykł robić pewien śmieszny numer. Udawał mianowicie, że jest niewidomy, gapił się w przestrzeń, wystawiał przed siebie ręce i potykał się, wpadając na wszystkich. „Robię w warzywach i jestem niewidomy - mówił. - Przepraszam pana, czy zechce mi pan powiedzieć, gdzie są ogórki?”

Był tylko jeden człowiek, który się nigdy z tego nie śmiał, cichy, poważny tragarz, który miał na imię Hector i pochodził z Haiti. Jimmy doszedł do takiego punktu, kiedy potrafił robić numer z niewidomym człowiekiem od warzyw tylko wtedy, gdy Hector był w pobliżu, bo uparł się, że chociaż raz rozśmieszy Haitańczyka. Potykał się o nogi tamtego i macał go po twarzy, a jednak Hector tylko tam stał, z rękoma skrzyżowanymi na piersi, bez

uśmiechu. W końcu Jimmy poddawał się i mówił: „Co jest z tobą, Hector? Może to ty jesteś niewidomy?”

- Gdzie ten Haitańczyk Hector? - spytał Jimmy swojego starego kumpla Angela. Worek ze znaczkami był już w połowie pusty. Czuł, że dobrze mu idzie z tą kampanią wyborczą.

- Hector? - spytał Angelo. - Hector jest teraz dystrybutorem.

- Weź nie gadaj! Hector jest dystrybutorem?

- Robi w brokułach.

- Odchodzę na kilka miesięcy i Hector nagle zostaje dystrybutorem?

Jimmy pomaszerował w głąb hurtowni Graftonów, w stronę ogromnych chłodni do przechowywania brokułów, i rzeczywiście był tam Hector, w budce dystrybutora. Każda chłodnia była tak ogromna jak magazyn meblowy, dlatego więc każda potrzebowała dystrybutora. Praca dystrybutora polegała na wypisywaniu grafików oraz list wykazujących, ile towaru jest w każdej chłodni i ile go ubyło razem z każdym zamówieniem. Była to dość łatwa praca. A nawet jeszcze łatwiejsza, jeśli człowiek potrafił liczyć. Jimmy Moran raz nawet został zatrudniony jako dystrybutor marchwi, ale jego kumple wiecznie z nim żartowali i odciągali jego uwagę, przez co nie potrafił wykonywać tej pracy jak należy, dlatego w końcu po paru miesiącach znowu musiał sobie poszukać pracy tragarza na rampie załadunkowej.

Oczywiście dystrybutorzy także pracowali na rampach. Cała różnica polegała na tym, że siedzieli w małych budkach ze sklejki, które wyglądały jak domki dla rybaków łowiących ryby pod lodem. W tych budkach były grzejniki i czasami nawet dywaniki.

Hector był w swojej budce i sprawdzał wykazy, a obok niego jakiś facet jadł hamburgera.

- Hector! - powiedział Jimmy. - Popatrzcie no tylko: Señor Hector! Nasz dystrybutor!

Hector uściskał rękę Jimmy'emu przez okienko w budce. Na ścianie za jego plecami wisiały rozkładówki z czasopism przedstawiające nagie czarnoskóre kobiety. Hector tutaj nawet nie nosił kurtki, tylko zapinaną na guziki koszulę z cienkiej bawełny. W budce dystrybutora było naprawdę ciepło.

- Jak leci? - spytał Jimmy.

- Nie najgorzej.

- Kim jest twój kumpel?

- To Ed. Pracuje w biurze.

Ed i Jimmy uścisnęli sobie ręce.

- No więc co tu robicie, koledzy? - spytał Jimmy. - Wsadzacie brokuły do małych skrzynek i przyklejacie papierek, że to dwadzieścia pięć funtów? Uprawiacie tu jakiś szwindel?

Hector się nie uśmiechnął. Ed też nie.

- No coś ty, Hector, ja tylko żartowałem! A tak nawiasem, kandyduję na przewodniczącego związku.

Jimmy podsunął dwa znaczki w stronę Hectora.

- Po jednym znaczku dla każdego z was — powiedział.

Hector odczytał na głos napis ze znaczka swoim zabawnym akcentem: DICELLO NIE JEST PO NASZEJ STRONIE, WIĘC POZBĄDŹMY SIĘ GO. GŁOSUJ-CIE NA JIMMY'EGO MORANA.

- Stajesz przeciwko DiCello? - spytał facet z biura.

- Zgadza się.

Ed bardzo długo przyglądał się Jimmy'emu Moranowi.

Bez specjalnego pośpiechu przeżuł kęs swojego hamburgera, przełknął i w końcu spytał:

- A do czego ty właściwie zmierzasz?

- A o co pytasz?

- Poważnie. Do czego ty zmierzasz? Chcesz dać się zabić?

- No coś ty?

- Czego ty chcesz? Chcesz się obudzić w bagażniku jakiegoś samochodu? Pytam poważnie.

Jimmy Moran spojrział na Hectora i komicznie wzruszył ramionami. Hector się nie uśmiechnął, a Ed mówił dalej:

- Czego ty chcesz? - spytał. - Chcesz, żeby obciąci ci nogi?

- Nie boję się Joeya DiCello - odparł Jimmy. - I mam nadzieję, że wy dwaj, stare konie, też się go nie boicie.

- A ja tam się go boję i to jak jasna cholera - odparował Ed.

- Joey DiCello nie ma powodu, żeby wojować z takim porządnym facetem jak ja. No coś ty sobie wymyślił? Że mnie zabije i osieroci moje dzieci? Weź się puknij w czoło.

Ed podsunął znaczek kampanijny w stronę Jimmy'ego.

- Zatrzymaj swój znaczek, przyjacielu.

- Głosujcie na mnie, a wtedy wszystko tutaj naprawdę się zmieni.

Hector wciąż się nie odzywał, ale Ed zapytał:

- Masz żonę?

- Tak, mam.

- Tak bardzo jej nie cierpisz, że chcesz zrobić z niej wdowę? Poważnie. O to chodzi?

- E tam, nie będę z wami dyskutował - odparł Jim-

my. - Nie dyskutuję z ludźmi, którzy nie wiedzą, co jest dla nich dobre.

Jimmy zarzucił worek ze znaczkami na ramię i ruszył dalej drogą biegnącą wzdłuż ramp.

- My tutaj głosujemy na DiCello! - zawołał za nim Hector. - Nie jesteśmy głupi!

- No to do diabła z wami! - odkrzyknął radośnie Jimmy.

Potem Jimmy Moran ukradł kilka pięknych haitaryskich mango z ekspozycji i pochował je w kieszeniach kurtki. Nauczył się od Latynosów, że do jedzenia na surowo najlepsze są mango z Haiti, bo ich miąższ nie ma tyłu włókien. Graftonowie zazwyczaj nie mieli dobrych owoców, ale te były wyjątkowe, wspaniałe mango, ze skórkami barwy miętowej zieleni, która właśnie przeobrażała się w mięką, bananową żółć. Zdarzali się ludzie, którzy pracowali całymi latami na targowisku i nigdy nie spróbowali, jak smakuje świeże warzywo czy owoc. To było naprawdę smutne. Wszyscy oni umierali na zawał serca w wieku pięćdziesięciu lat, bo codziennie jedli wołowinę i bekon, zamiast owoców i warzyw, których na targowisku było w bród. Wystarczyło wziąć przyjaciela Hectora, Eda, który siedział przed magazynem pełnym brokułów i jadł hamburgera. Zawał serca, który tylko czyhał, by go dopaść.

Jimmy Moran jadł dla odmiany wszystko, ponieważ uwielbiał warzywa. Jego matka zawsze hodowała wspaniałe warzywa, a on je jadł. Swego czasu pracował przy ustawianiu skrzynek w wielkiej chłodni pełnej świeżych ziół i potrafił nawet zjadać całe pęczki natki pietruszki. Jadł rzodkiewki i kalafior, jakby to były jabłka. Potrafił



wręcz wziąć małego karczocha, obedrzeć z niego twarde, zewnętrzne listki i zjeść resztę w całości i bez niczego. Jadł więcej warzyw niż hipisi. Ludzie uważali go za wariata.

Tej nocy wyszedł z hurtowni braci Graftonów, pojadając haitańskie mango w taki sam sposób, jak to robią Portorykańczycy. Najpierw masował i ugniatał mango kciukami, aż wreszcie wyczuwał pod skórką, że mięsz zrobił się miękki i papkowaty, że osiągnął konsystencję galaretki. A potem wygryzał dziurę na czubku i wysysał zawartość. Słodki jak kokos. Cudzoziemski smak, ale dobry.

Później Jimmy Moran prowadził kampanię w takich hurtowniach, jak „Dulrooney's”, „Evangelisti & Sons”, „DeRosa Importers” oraz „E & M Wholesalers”. Przedstawiał się wszystkim robotnikom i wygłaszał krótkie przemowy na ich użytek. Ucinał też sobie pogawędki: a to z pewnym biednym durniem, który dopiero co wydał oszczędności całego życia na psa myśliwskiego, a to z ojcem nastolatki, która miała raka, a to ze szczęściarzem, który wybierał się na wakacje na Bermudy. Rozmawiał z wieloma facetami, którzy mu mówili, że chyba jest szalony, jeśli chce ubiegać się o stanowisko przewodniczącego przeciwko Josephowi D. DiCello, bydlakowi wspieranemu przez mafię.

Szedł dalej, pojadając minicukinie, które zwędził z ekspozycji przy „Evangelisti & Sons”. Wszystkie były niedłuższe od jego małego palca i miały delikatny, słonawy smak, którego nigdy nie miałyby duże kabaczki. Te cukinie były pyszne na surowo i człowiek nie potrzebował żadnego dipu ani sosu, żeby dodać im smaku. Miniaturowe cukinie stanowiły rzadkość o tej porze roku i dlatego miały

wysoką cenę. Prawdziwy rarytas. Jimmy jadł je, jakby to były orzeszki ziemne.

O czwartej opróżnił swój worek ze znaczkami. Dotarł właśnie do niewielkiej, dopiero co powstałej, bardzo ekskluzywnej hurtowni o nazwie „Bella Foods”, która specjalizowała się w towarach luksusowych i zaopatrywała najlepsze restauracje w Nowym Jorku. Myślał, że nikogo tam nie zna, dopóki nie zauważył swojego starego kumpla Caspera Denniego. Rozmawiali przez chwilę o kampanii Jimmy'ego i o swoich rodzinach. Casper też miał gromadkę dzieci i żonę Włoszkę. I również od wielu lat pracował jako tragarz.

- A teraz gadaj, co ci się stało? Mówili, że miałeś jakiś wypadek? - powiedział Casper.

- Ależ to miasto gadatliwe - zaśmiał się Jimmy. - Operacja krzyża, koleś. A ty kim teraz jesteś, dystrybutorem czy jak?

Casper siedział w schludnej, małej budce pomalowanej na biało, popijał kawę z kubka.

- A gdzie tam - odparł Casper. - Założyłem sobie niewielki biznes, sprzedaję kawę i zapasowe koła do ręcznych wózków.

- Co? - Jimmy znowu parsknął śmiechem.

- Ja nie żartuję, Jimmy. Wspaniała sprawa.

- Weź nie zalewaj.

- Sam sprawdź. Posłuchaj zresztą, w czym rzecz. Ile jest ręcznych wózków na giełdzie?

- Setki. Miliony.

- Tysiące, Jimmy. Tysiące. I wszystkie to tandetne gówna, każdy o tym wie. Ale każdy tragarz potrzebuje ręcznego wózka, prawda? No bo ile skrzynek dasz radę przenieść samemu?

- Powtarzam, nie zalewaj, Casper.
- Jedną skrzynkę, zgadza się? Nawet taki monster jak ty, w swoich najlepszych latach, da radę przenieść co najwyżej dwie skrzynki, dobrze gadam? Za to za pomocą wózka przeniesiesz... no ile?... dziesięć skrzynek? Może nawet dwanaście? Ręczny wózek to bardzo ważne narzędzie pracy, panie Moran, żeby jednostka mogła odnieść ekonomiczny sukces.
- Co ty pieprzysz, Casper? Wybacz, koleś, ale do kogo ty to mówisz?
- No więc, panie Moran, jest środek nocy i w twoim zasranym wózku psuje się koło. Co wtedy robisz?
- Znajduję wózek jakiegoś innego durnia i kradnę go.
- I dostajesz w łeb? To staromodny sposób. Teraz możesz przyjść do mnie. Za pięć dolarów dam ci nowe koło. I jeszcze ci pożyczę młotek i francuza, jeśli mi dasz pięć dolarów w zastaw; odzyskasz tę forszę, jak mi zwrócisz narzędzia. A na koniec sprzedam ci za dolara kubek kawy wart dziesięć centów i tak oto robię sześć dolarów na całej transakcji, a ty masz naprawiony wózek.
- Kto się na to pisze?
- Wszyscy, Jimmy. Wszyscy teraz do mnie przychodzą.
- To się stało podczas ostatnich czterech miesięcy?
- Powiadam ci, Jimmy, wspaniała sprawa. Bez podatków. Bez żadnych związków zawodowych.
- Ty jesteś kimś innym, Casper. Powiadam ci. Jesteś naprawdę kimś innym.
- Jak człowiek się staje takim starym piernikiem jak my, to potrzebuje nowych pomysłów.
- No więc mam pomysł - rzekł ze śmiechem Jimmy. - Mam nowy pomysł. Weźmiesz mnie na współnika, kolego.

Casper też się zaśmiał i walnął Jimmy'ego w ramię.

- Słuchaj no - powiedział - pracowałeś już kiedy przy tym przybytku?

- W tej hurtowni? Nie.

- A widziałeś kiedyś człowieka od grzybów?

- Casper - powiedział Jimmy. - Nie wiem, o czym ty mówisz, stary.

- Nigdy nie widziałeś człowieka od grzybów? No coś takiego! Przecież ty musisz go zobaczyć, Jimmy. Nie wierzę, że nigdy nie słyszałeś o tym facecie. Lubisz wariatów? Chcesz zobaczyć wariata? To musisz koniecznie poznać tego gościa.

Casper wyszedł ze swojej budki i wprowadził Jimmy'ego w głąb ogromnej hali chłodniczej.

- Zakochasz się w nim, Jimmy.

Doszli do samego końca hali i tam Casper zatrzymał się przed szerokim otworem wejściowym, przesłoniętym paskami grubego plastiku, które pomagały w utrzymywaniu stałej temperatury. Casper odgarnął kilka pasków i wszedł do środka niewielkiego, wyziębionego pomieszczenia. Dał Jimmy'emu znak, że ma wejść za nim, uśmiechając się tak szeroko, jakby tam był burdel.

We wnętrzu pomieszczenia Jimmy Moran stanął twarzą w twarz z najwspanialszymi grzybami, jakie kiedykolwiek widział w życiu.

- Popatrz tylko na te skarby, Jimmy - powiedział Casper. - Przyjrzyj się dobrze tym towarom.

Skrzynki były ustawione w równych stosach, liczących nie więcej niż pięć skrzynek, przy czym każda na samej górze była otwarta na pokaz. Tuż przy drzwiach taka otwarta skrzynka zawierała śnieżnobiałe pieczarki, większe od śliwek. Były tam także skrzynki z takimi grzybami jak

shitake, pochwiaki i świeże borowiki, na oko tak doskonałe, że godne podania na ucztę bogów. Jimmy zauważył też pieczarki brunatne, mięsiste i grube jak filety z polędwicy. Wypatrzył również skrzynkę z czarnymi smardzami, małeńkimi i pierzastymi. A także jakieś dziwne, leśne grzyby, podobne do muchomorów, oraz takie, które wypisz-wymaluj przypominały kalafiory. Była też odmiana smardzów o kształcie i barwie koralowców. Zauważył skrzynkę pełną tych ciemnobrązowych, zupełnie płaskich grzybów, które wyrastają z przegniłych pniaków. I jakieś chińskie grzyby, których nazwy nie znał, a także czerwone grzyby w niebieskie kropki, które sprawiały wrażenie trujących. W całym wnętrzu pachniało wilgotnym obornikiem, zupełnie jak w ziemiance pod stodołą.

Jimmy Moran wziął sobie jednego borowika, największego, jakiego w życiu widział. Strasznie chciał go mieć, ale w momencie, kiedy go tylko dotknął, usłyszał coś w rodzaju zwierzęcego warkotu. W jego stronę szedł ogromny i brzydki mężczyzna w kombinezonie i czapie z brązowej wełny, podobny do ogromnego psa.

Jimmy odskoczył z przestraszeniem w tył, a Casper pchnął go wtedy z całej siły i wrzasnął:

- Uciekaj! Gazu!

Jimmy zatoczył się i spanikowany wypadł tyłem z pomieszczenia. Przeleciał przez plastikową zasłonę i wylądował całym ciałem na betonowej posadzce hali. Casper wyskoczył za nim z przechowalni grzybów, zaśmiewając się serdecznie.

Jimmy leżał na plecach, na zimnej posadzce.

- Tu już jesteś bezpieczny, Jimmy. Ten gość od grzybów nigdy tu nie przychodzi. Chryste, co za szurnięty

palant. Nie dotykaj tych grzybów, Jimmy. Że też ja cię nie uprzedziłem, że nie wolno ich dotykać bez pozwolenia.

Jimmy próbował się podnieść, ale jego kręgosłup zawył z bólu, dlatego leżał tam przez jakiś czas, starając się go rozluźnić. Casper podał mu rękę, ale Jimmy odmownie pokręcił głową.

- Dobrze się czujesz, kolego? - spytał Casper.

Jimmy przytaknął.

- Cholera, pewnie coś sobie zrobiłeś w plecy. Zapomniałem o twoim cholernym krzyżu. Boże, przepraszam.

Jimmy znowu przytaknął.

- Co za popapraniec - powtórzył Casper i znowu podał Jimmy'emu rękę. Jimmy przyjął ją tym razem i bardzo ostrożnie wstał. Casper rozchylił plastikowe paski i powiedział: - Weź tylko rzuć okiem na tego palanta.

Jimmy kręcił głową. Oddychał bardzo ostrożnie.

- No zajrzyj. Nie musisz tam wchodzić. Tylko popatrz na tego wielkoluda. Nie dotknie cię, pod warunkiem że zostawisz te grzyby w spokoju. Musisz się dobrze przyjrzeć temu facetowi.

Casper nadal nalegał, więc Jimmy w końcu ostrożnie wetknął głowę do pomieszczenia z grzybami. Mężczyzna był rzeczywiście ogromny i teraz stał spokojnie na samym środku. Nosił brązowy kombinezon i miał długą, brązową brodę. Stał na szeroko rozstawionych nogach, a jego ręce zwisały luźno przy bokach. Jimmy Moran i człowiek od grzybów popatrzyli na siebie. I mimo że tamten już nie warknął i nie zrobił żadnego ruchu, Jimmy Moran cofnął głowę bardzo ostrożnie i równie ostrożnie się oddalił. Razem z Casperem wrócili do budki w korytarzu.

- Najlepsze grzyby na całej przeklętej giełdzie - powiedział Casper.

Jimmy usiadł na skrzyni obok budki i zamknął oczy. Czuł, że plecy mu zupełnie zeszywniały. Siedzenie nie pomagało, więc znowu wstał.

- Właściciel wynajął tego świra kilka miesięcy temu - wyjaśnił Casper. - Kiedyś jeździł na ciężarówkach. Pochodzi skądś z Teksasu, ale nikt nie wie, skąd dokładnie. Oni mają jakąś umowę, on i właściciele. Ten facet nigdy stamtąd nie wychodzi. Siedzę tu noc w noc, Jimmy, i powiadam ci, ten popapraniec w ogóle stamtąd nie wychodzi. Te grzyby, Jimmy, to z ręką na sercu, najlepsze grzyby, jakie w życiu zobaczysz. Właściciele mieli problemy z wiecznymi kradzieżami.

- Jezu.

- A teraz żadnych problemów. Tyle ci powiem. Jeśli zamierzasz coś stąd buchnąć, to najpierw musisz się siłować z tym drągałem.

- Masz aspirynę? - spytał Jimmy.

- Nie, ale daję ci kawę, ty nieszczęsny biedaku. I idź już stąd sobie, Jimmy. Pozbieraj się jakoś. Życzę ci szczęścia w wyborach, choć wariat z ciebie, że startujesz, i myślę, że pewnie ktoś ci wpakuje kulkę w kark. No już, zabieraj swoją kawę i idź stąd. Pospiesz się, bo jeszcze wszyscy pomyślą, że rozdaję coś za darmo. Że nie potrafię kierować swoim własnym biznesem.

Jimmy Moran szedł powoli przez labirynt przylegających do siebie placów parkingowych, szukając swojego samochodu. Podczas marszu machał ramionami, starając się odegnać zeszywnienie z pleców. Przyszło mu na myśl, że pewnie wygląda jak idiota, ale nic go to nie obchodziło. Tak się zresztą składało, że prawie cały czas szedł wzdłuż parkingu przy terenie Koreańczyków, a nic go

to nie obchodziło, co sobie o nim pomyślą Koreańczycy. Targowisko koreańskie było teraz ogromne. Jimmy Moran pomyślał, że któregoś dnia Koreańczycy być może przejmą całą giełdę, która to wizja ani trochę go nie zachwycała. Koreańczycy pracowali o wariackich godzinach i nawet nie mieli związku. Sprzedawali warzywa, o których nikt nigdy nie słyszał.

Był zmęczony. Podczas czterech miesięcy wolnego po raz pierwszy w swoim dorosłym życiu trzymał się ludzkiego rozkładu dnia - spał w nocy, a był na nogach za dnia - i jeszcze się nie przystosował do wstawania o północy. Już świtało. Prawie godzinę zabrał mu powrót do samochodu, do tej silnie świecącej latarni, pod którą go pozostawił. Jego chrysler naprawdę wyglądał pięknie i jak zawsze go zachwycił. W tę pochmurną, dżdżystą noc, pod silnymi strumieniami sztucznego światła, wyglądał jak jakieś morskie zwierzę - niebieski jak woda i potężny, z połyskującymi płetwami. Tylne światła przypominały odblaskowe ślepia przynęty.

W bagażniku miał jeszcze drugi worek ze znaczkami. Planował przejechać się jeszcze do północnej części giełdy, rozdać te znaczki w większych hurtowniach obsługujących duże sieci handlowe i zakończyć działalność na ten dzień. Pojechał więc na północ, mijając długie, długie szeregi tirów ustawionych naczepami do ciemnych zarysów ramp załadunkowych. W kabinach tirów było ciemno i głucho. Kierowcy, przeważnie południowcy tak jak on, spali w środku na ukrytych tam materacach, gdy tymczasem tragarze załadowywali towary: podwozili je tam na wózkach pełnych skrzynek, manewrując po wąskich alejkach między ogromnymi ciężarówkami. Niektórzy zatrzymywali się i wystawiali kciuki w stronę Jimmy'ego Morana,



chwaląc w ten sposób jego piękny wóz. Chwilami bywało groźnie, bo przebiegali mu tuż przed maską, niepomni niczego prócz swego celu.

Napotkał znajomego strażnika, który pieszo patrolował parking. Gęste wyziewy z silnika Diesla sięgały powyżej kolan mężczyzny, przez co wyglądał tak, jakby brodził we mgle. Jimmy zatrzymał się, żeby pogadać. Strażnikiem był zaprzyjaźniony Polak z dzielnicy Jimmy'ego, nazywał się Paul Gadomski. Jimmy odsunął szybę, a Paul oparł się o chryslera i zapalił papierosa.

- Co to jest, rocznik pięćdziesiąt osiem? - spytał Paul.

- Pięćdziesiąt sześć, Pauly.

- Nieźle cacko.

- Dzięki. Weź znaczek - powiedział Jimmy i podał Paulowi znaczek przez okno.

- Co to jest? Chyba nie startujesz przeciwko DiCello?

- Startuję - odparł Jimmy. Boże, ależ był zmęczony. - I chciałbym wierzyć, że mogę liczyć na twój głos, Paul.

- Cholera, ja nie głosuję na wasz związek, Jim. Bądź poważny. Nie pracuję w transporcie. Jestem gliniarzem.

- To ty bądź poważny, Pauly. Nie jesteś gliniarzem, stary.

- Na jedno wychodzi.

- Ochroniarz?

- No cóż, na pewno nie jestem kierowcą ciężarówki.

- Ale ja i tak bym chciał, żebyś nosił znaczek.

- Cholera, Jim. Nie mogę nosić znaczka wyborczego na moim uniformie.

- Przemyśl to jeszcze, Pauly.

- Zaniose go do domu, dam go dzieciakowi do zabawy - odparł Paul. Wsadził znaczek do kieszeni kurtki.

Samotni na wyludnionym parkingu, porozmawiali jeszcze chwilę o innych sprawach. Paul powiedział, że w czasie, gdy Jimmy miał operację, pewnemu kierowcy ktoś nocą poderżnął gardło. Nikogo jeszcze za to nie aresztowano. Jimmy odparł, że nic o tym nie słyszał. Paul wyjaśnił, że ciało znaleziono pod cudzą ciężarówką, jej kierowca, facet, który wiozł banany aż z Florydy, twierdził, że nic nie wiedział o morderstwie, dlatego policja go wypuściła. Paul nie potrafił uwierzyć, jacy łatwowierni są gliniarze. Twierdził, że wyraźnie nie byli zainteresowani wykryciem, co się zdarzyło tamtej nocy. Jimmy odparł, że prawie zawsze tak było, ponieważ gliniarze są zazwyczaj w sojuszu z mafią i skorumpowani jak wszyscy inni. Paul oświadczył, że według jego wiedzy zamordowany facet tego właśnie popołudnia grał na wyścigach i że cały wieczór się przechwalał, że zarobił jakieś dwadzieścia kawałków. Paul dodał jeszcze, że przez dobry tydzień na giełdzie działy się różne wariactwa, bo gliniarze zamknęli niektóre obszary i zadawali wszystkim niewłaściwe pytania. Jimmy stwierdził, że na jego gust to było morderstwo popełnione podczas bójki o miejsce na parkingu i że miałby podejrzenia odnośnie do faceta, który przywiózł banany z Florydy. Pamiętał, że podczas swego pierwszego roku na giełdzie widział faceta pobitego na śmierć łyżką do opon w wyniku kłótni na parkingu. Jimmy był świadkiem rozlicznych kłótni o miejsce na parkingu, które kończyły się bójką.

Paul stwierdził, że w tym miejscu pracuje banda popieprzonych zwierząt. Jimmy zgodził się i obaj życzyli sobie dobrej nocy.

Jimmy Moran jechał dalej. Minął sporą flotyllę ciężarówek-chłodni z supermarketów, które ładowały towar

przy „Bennetti & Perke”, głównej hurtowni korporacyjnej, która zaopatrywała wszystkie wielkie sieci handlowe na Wschodnim Wybrzeżu. Jimmy nie wiedział, kto jest właścicielem „Bennetti & Perke”, ale był to zdecydowanie bardzo, bardzo bogaty człowiek, który prawdopodobnie spał teraz w jakimś wielkim domu nad oceanem.

Każdej nocy przez giełdę przelatywało tyle forsy, że rozum tego nie ogarniał. A już zwłaszcza nie ogarniali tego rozumem ci, którzy nie znali tego miejsca od środka. Ogrodzenia zabezpieczające przed huraganami, zwoje drutu kolczastego i reflektory ochronne nadawały tym terenom wygląd więzienia, ale to żadną miarą nie było więzienie, o czym doskonale wiedział Jimmy i wszyscy inni, którzy tu pracowali. To nie było więzienie. To tak naprawdę był bank.

Kiedy Jimmy Moran był młodym tragarzem, on i jego kumple marnowali mnóstwo czasu na wymyślanie, jak uszczknąć trochę tej forsy. Godzinami próbowali obliczyć, ile pieniędzy przelewa się każdej nocy przez giełdę. Takim rozrywkom, oczywiście, oddawali się młodzi. Starsi ludzie dobrze wiedzieli, że prawdziwych pieniędzy za nic nie da się ukraść, no chyba że jesteś naprawdę bogaty.

Zeszłego lata w „Grafton Brothers” zatrudnił się na pół etatu jako tragarz najstarszy syn Jimmy'ego, Danny. Danny w podobnie jałowy sposób próbował obliczyć, ile pieniędzy ukrywa się na giełdzie, i obmyślał sposób, jak mógłby położyć na nich ręce. Jimmy doskonale o tym wiedział. Danny też próbował wymyślić sposób, jak te pieniądze ukraść, jak je sobie przywłaszczyć, jak zebrać śmietankę. Wczesnym rankiem, kiedy razem wracali do domu, spekulował bezpłodnie na temat pieniędzy. Czy nie byłoby fantastycznie, mówił Danny, drapnąć jednego

nędznego centa z każdego funta towarów sprzedanych na giełdzie w ciągu jednej nocy? Ile to pieniędzy byłoby tygodniowo? A miesięcznie? Rocznie? Czy nie byłoby sprawiedliwe uskubać coś z samej góry? Biorąc choćby pod uwagę fakt, jak ciężko pracowali tragarze i jakie za to główniane dostawali wynagrodzenie?

- Nie masz pojęcia, o czym mówisz - mówił Jimmy synowi. - Przestań o tym myśleć.

- A co z targowiskiem Koreańczyków? - pytał Danny. - U nich za wszystko buli się gotówką. Wystarczyłoby przywalić któremuś z tych facetów i zdobyć fortunę. Każdy taki Koreańczyk nosi przy sobie co najmniej pięć kawałków.

- Nie, Danny. Nikt nie nosi przy sobie takiej gotówki.

- Koreańczycy noszą. Koreańczycy boją się banków.

- Nie wiesz, o czym mówisz.

- To ty nie wiesz, o czym mówisz.

- Powtarzam to, co mówią ci z transportu.

- No to już możesz być pewny, że nie wiesz, o czym mówisz.

Naturalnie ten, komu się wydawało, że okradnie z pieniędzy kogoś na giełdzie, był durniem, bo tam mnóstwo ludzi nosiło przy sobie broń i noże. I wiecznie jeden zabijał drugiego za nic, ot tak sobie. Durniem był ten, kto rozmyślał o tych wszystkich pieniądzach, które zarabiali tu inni ludzie. Już od samego myślenia można się było nabawić bólu w klatce piersiowej.

Jimmy zaplanował wcześniej, że zaparkuje przy „Bennetti & Perke”. Uważał, że to dobre miejsce, gdzie mógłby rozdać swój drugi worek ze znaczkami kampanijnymi, ale teraz nie był tego taki pewny. Krzyż naprawdę dawał

mu się we znaki i nie bardzo sobie wyobrażał, jak miałby dźwigać ten ciężki worek. A skoro już o tym mowa, to nie bardzo też sobie wyobrażał, jak to będzie, kiedy znów podejmie pracę tragarza, za dwa dni, jak to już sobie załatwił. Jak on będzie targał skrzynki z owocami i warzywami? Jak będzie to robił? No jak?

Dlatego Jimmy Moran pojechał dalej. Było po piątej trzydzieści rano i w plecach łupało go naprawdę okrutnie. Okrążył „Benet & Perke”, a potem wyjechał z giełdy. Postanowił, że pojedzie prosto do domu. Opuści sobie tę kampanię. Jechał i rozmyślał po raz pierwszy od lat o swoim dawnym przyjacielu, Martinie O'Ryanie.

Od marca 1981 roku do stycznia 1982 roku Jimmy pracował na okresie próbnym jako zaopatrzeniowiec w dyskontowej sieci artykułów spożywczych o nazwie „Apple Paradise”. Tę posadę załatwił mu stary kumpel, Martin O'Ryan; stanowiła wspaniałą okazję do zrobienia kariery, a zresztą to już i tak był spory awans dla Jimmy'ego, że odszedł z rampy i został zaopatrzeniowcem. Zaopatrzeniowcy pracowali w biurach nad placem giełdowym i naprawdę dobrze im się wiodło.

Przyjaciół Jimmy'ego, Martin O'Ryan, zaliczał się do prawdziwych speców w dziedzinie załatwiania towaru. Podczas zawierania transakcji telefonicznych zachowywał się jak szurnięty, jak lew negocjując najlepsze ceny z transportowcami, farmerami, importerami i dystrybutorami. Tamtego roku Martin zarobił dużo pieniędzy dla „Apple Paradise” oraz dla siebie.

- Co ty tam masz?! - darł się Martin do telefonu. - Potrzebuję lodowej!... Dwadzieścia pięć dolarów? Dwadzieścia pięć dolarów? A weź się pieprz! Wezmę, ale

za osiemnaście!... Dasz mi za osiemnaście albo przyjdę tam i spalę twój zasrany dom!... Dasz mi za osiemnaście albo wydrę ci twoje zasrane płuca!... Dasz mi za osiemnaście albo wyłupię ci oczy, osobiście przyjdę do twojego domu i oślepię twoją... OK, wezmę za dwadzieścia.

Potem Martin rozłączał się i zaczynał podobną rozmowę z kimś innym.

Martin O'Ryan i Jimmy Moran zostali umieszczeni w tym samym biurze, przy biurkach ustawionych naprzeciwko siebie. Byli najlepszymi kumplami. To właśnie z Martinem Jimmy zaprzyjaźnił się zaraz po przyjeździe z Wirginii ze swoją matką, kiedy był dwunastoletnim wieśniakiem, zaczęli razem jako tragarze, razem zapisali się do związku i byli na swoich weselach. Jimmy kochał Martina, ale nie umiał się skupić na swoich transakcjach telefonicznych, bo po drugiej stronie pomieszczenia tamten stale coś wrzeszczał. („Przywieź mi ciężarówkę ziemniaków, ty nędzny gnoju, ty zakłamany, wszawy pedale, bo inaczej osobiście cię przelecę!”)

Martin był najmilszym facetem na świecie, ale to, co robił, mocno rozpraszało uwagę. Pod koniec roku Martin dostał ogromną premię i firma zatrudniła go oficjalnie, a Jimmy nie dostał ani premii, ani dalszego zatrudnienia. Ostatecznie zresztą nie stało się nic złego. Jimmy dość szybko znalazł sobie inną pracę, znowu jako tragarz przy rampie.

Martin był naprawdę jednym z najfajniejszych facetów na świecie i obaj z Jimmym bardzo się kochali, ale nie widzieli się od jakiegoś czasu.

Jimmy musiał zatankować, ale wiedział, że mała stacja benzynowa w jego dzielnicy nie będzie jeszcze otwarta,

dlatego nie pojechał do domu zwykłą drogą. Zamiast tego jeździł w kółko, szukając stacji całodobowej, i takim oto sposobem wjechał na drogę numer 95.

Znał tę drogę. W połowie lat osiemdziesiątych pracował przez jakiś czas jako dostawca dla „Parthenon Produce”, niewielkiej hurtowni należącej do dwóch Greków, handlującej wyselekcjonowanymi warzywami. Była to najprzyjemniejsza praca, jaką kiedykolwiek miał. Dostarczał najlepszej jakości zieleninę - głównie rukolę i rukiew wodną - którą odbierał na Giełdzie Owocowo-Warzywnej w Bronksie, a potem jechał drogą numer 95, by dostarczyć towar do wszystkich eleganckich sklepów na Long Island Sound i dalej, aż wreszcie docierał do Ridgefield w Connecticut (miasteczka, które oboje z Giną nazywali Bogatkowem) około ósmej albo dziewiątej rano, kiedy bogaci ludzie właśnie wychodzili do pracy.

Lubił to robić. Wręcz był szczęśliwy w tej pracy, ale Grecy sprzedali swój biznes w 1985 roku. Zaoferowali mu możliwość kupienia tej dostawczej ścieżki na własność, ale Jimmy Moran w owym czasie nie miał takich pieniędzy.

Jimmy Moran minął New Rochelle, potem Mount Vernon i wreszcie wjechał do Connecticut. Był bardzo wczesny ranek i wyraźnie się wypogadzało. Podczas jazdy rozmyślał o tym, że gdyby tak zarabiał więcej pieniędzy na giełdzie, to już dawno temu przeniósłby się z żoną i wszystkimi dziećmi do Connecticut. Ciągłe o tym gadał: o tych szerokich trawnikach, spokojnych szkołach, wysokich, smukłych kobietach. Ironią losu było to, że brat Jimmy'ego Morana, Patrick, ożenił się z siostrą Giny, Louisą, i oboje od razu przeprowadzili się do Connecticut. Ale Patrick i Louisa nie mieli dzieci i było im łatwiej.

Przenieśli się do Danbury, gdzie kupili sobie ładny, mały domek z patio.

Siostra Giny, Louisa, jako nastolatka była naprawdę seksowną dziewczyną. Słyszała w okolicy z tego, że jest niezłym ziółkiem, i brat Jimmy'ego Morana, Patrick, zawsze szalał na punkcie Louisy Lisante. Jimmy natomiast zawsze wolał Ginę. Latem 1970 roku, kiedy Jimmy dostał swoją pierwszą pracę w charakterze tragarza na giełdzie, widywał Ginę i Louise Lisante, jak czekały na przystanku na autobus, kiedy on wracał do domu z pracy. Zawsze nosiły szorty i sandały, bo dojeżdżały do restauracji blisko plaży, gdzie pracowały sezonowo jako kelnerki. Jimmy zwykł kraść na giełdzie piękne, dojrzałe holenderskie pomidory i zostawiać je na progu domu rodziny Lisante, w charakterze przycisku do liścików miłosnych, które pisał do Giny: *Kocham Ginę... Gina jest piękna... Gina ma wspaniałe nogi... Chciałbym, żeby Gina wyszła za mnie.*

Jimmy rozmyślał o Ginie, Patricku i Louisie, kiedy jechał do Ridgefield w Connecticut. Mimo że wcale tego nie zaplanował, jechał tą drogą dokładnie o tej samej godzinie co w czasach, kiedy pokonywał ją dla „Parthenon Produce”, i dotarł do Ridgefield akurat wtedy, kiedy mieszkańcy miasteczka wychodzili do pracy. Minęło prawie dziesięć lat, odkąd ostatni raz był w Ridgefield. W tamtych latach, kiedy już wszystko dostarczył, lubił sobie potem pojeździć po najbogatszych dzielnicach i poprzyglądać się domom. Te domy wydawały mu się tak bezczelnie niestrzeżone, toteż zawsze nachodziła go pokusa, typowa dla młodego wieku, żeby je obrabować. Choć właściwie to wcale nie pragnął zawartości tych domów, tylko samych domów. Szczególnie tych dużych, z kamienia.

Dom, o którym Jimmy Moran zawsze szczególnie ma-



rzył, był wprost ogromny. Znajdował się w połowie mili od centrum miasteczka - wielki, kryty łupkiem dwór na szczycie stromego wzgórza, z owalnym podjazdem i białymi kolumnami. Jimmy podjeżdżał tam w niektóre wczesne poranki, kiedy już rozwiózł swoją delikatesową zieleninę. Jego trzytonowy wóz dostawczy, własność „Parthenon Produce”, nieznośnie warkotał za każdym razem, kiedy zmieniał bieg na niższy. We wszystkie te poranki nigdy, ani razu nie zobaczył tam w pobliżu ani człowieka, ani też żadnego samochodu, zawsze więc stwierdzał, że to jakaś zbrodnia, że taki ogromniasty dom stoi pusty. Wspaniale utrzymany, a jednak pusty, i Jimmy zawsze sobie wyobrażał, że się po prostu do niego wprowadzi. Ciekawe, co by było, gdyby tak zrobił? Gdyby tak na chłama przejął go na własność? Myślał sobie: Co by też wszystkie moje dzieciaki mogły robić, mając tyle miejsca w tym wielkim domu?

Tego ranka zaparkował chryslera po przeciwległej stronie ulicy biegnącej pod tym domem, który, jak widział, ani na jotę się nie zmienił. Wcześniej zrobił sobie przystanek w Stamford, by zatankować, i kupił aspirynę w sklepie na stacji. Chryste, ale też bolał go krzyż! Jak on miał wrócić na rampę już za dwa dni? No jak?

Otworzył fiolkę i zjadł garść aspiryn - rozgryzał je i połykał bez wody. To był powszechnie znany fakt, że rozgryziona aspiryna, mimo że obrzydliwa w smaku, działa prędzej niż całe tabletki, które przez dłuższy czas tkwią nienaruszone i bezużyteczne w kwasie żołądkowym człowieka. Zjadł kilka aspiryn i przypomniała mu się ich noc poślubna. Miał wtedy ledwie dziewiętnaście lat, a Gina była jeszcze młodsza.

- Ile chcesz mieć dzieci, Jimmy? - spytała go tamtej nocy.

- Twoje cycki będą się robiły większe, jak będziesz w ciąży, prawda? - odparł.

- Chyba tak.

- W takim razie wezmę dziesięcioro albo jedenaścioro, Gina - powiedział.

W rzeczy samej ostatecznie mieli szóstkę, co już i tak było głupotą. Sześcioro dzieci! Sześcioro dzieci, a Jimmy robił w płodach rolnych! O czym oni myśleli? Mieli trzech chłopaków i trzy dziewczyny. Dziewczyny miały włoskie imiona, a chłopacy irlandzkie, taki dumny żarcik wymyślony przez Jimmy'ego. Szóstka dzieci!

Ból w krzyżu, który zaczął się od zeszywnienia i przeszedł w skurcze, teraz jeszcze bardziej się spotęgował. To był straszny ból, umiejscowiony tam, gdzie miał operację, od czasu do czasu nasilający się gorącym pulsowaniem, które wstrząsało całym jego ciałem, zupełnie jak szlochanie. Wysypał jeszcze kilka aspiryn na dłoń i popatrzył na wielki dom. Pomyślał o swoim dziadku, który przestrzelił silnik wozu kompanii węglowej, pomyślał o swoim stryju, który został skrytobójczo zabity przez ochroniarzy detektywów na usługach kompanii za organizowanie strajku, pomyślał o pylicy płuc. Pomyślał o swoich lekarzach, o Josephie D. DiCello, o człowieku od grzybów, o Hectorze i o swoim bracie Patricku, którego ostatnio widywał bardzo rzadko, bo Connecticut było tak daleko.

Rozgryzał aspiryny i liczył okna w wielkim domu po drugiej stronie ulicy. Jimmy Moran nigdy wcześniej nie wpadł na pomysł, by policzyć w nim okna. Wylizał językiem okruchy aspiryny spomiędzy zębów i naliczył trzydzieści dwa okna. Tylko z samej ulicy było widać trzydzieści dwa okna! Myślał i myślał, a potem zaczął mówić.

- Nawet dla takiego jak ja, z szóstką dzieci i żoną, to musi być grzech mieć taki dom. Na pewno.

Jimmy Moran myślał i myślał, ale już nic innego nie wymyślił. Tylko to przychodziło mu do głowy.

- Nawet dla takiego jak ja - powtórzył - to na pewno byłby grzech.

# Słynna sztuczka z połamanym i odzyskanym w całości palącym się papierosem

**N**a Węgrzech rodzina Richarda Hoffmana zajmowała się wytwarzaniem Wody Różanej Hoffmana, produktu, który w tym czasie był wykorzystywany zarówno do celów kosmetycznych, jak i medycznych. Matka Hoffmana pijała wodę różaną na niestrawność, a ojciec ochładzał nią i perfumował pachwiny po ćwiczeniach fizycznych. Służba płukała obrusy Hoffmanów w zimnej kąpieli z dodatkiem wody różanej, tak że nawet kuchnia nią pachniała. Kucharz dodawał jej odrobinę do ciasta, w którym zanurzał grasicę cielęcą. Na wieczorne przyjęcia budapeszteńskie damy skrapiały się kosztownymi importowanymi wodami kolońskimi, natomiast Woda Różana Hoffmana służyła wszystkim kobietom do codziennej pielęgnacji i była równie niezbędna jak mydło. Węgierscy mężczyźni mogli pozostawać w związku małżeńskim przez całe dziesięciolecia i nie zdawać sobie sprawy z tego, że ta wyrafinowana woń kwitnących róż to wcale nie jest naturalny zapach skóry ich małżonek.

Ojciec Richarda Hoffmana był prawdziwym dżentelmenem, ale matka okładała służbę. Jego dziadek po mieczu był pijakiem i awanturnikiem, a dziadek po kądzieli pochodził z Bawarii, gdzie polował na dziki, i tam, kiedy miał

dziewięćdziesiąt lat, zginął stratowany przez własne konie. Kiedy ojciec Hoffmana zmarł na suchoty, matka przekazała cały rodzinny majątek w ręce przystojnego Rosjanina, szarlatana o nazwisku Katanowski, zwykłego sztukmistrza i nekromantę, który obiecał madame Hoffman spotkania ze zmarłymi. Jeśli chodzi o samego Richarda Hoffmana, to wyjechał do Ameryki, gdzie zamordował dwie osoby.

Hoffman wyemigrował do Pittsburgha podczas drugiej wojny światowej, gdzie ponad dziesięć lat pracował jako pikolak. Miał okropny, dokuczliwy sposób odzywania się do klientów.

- Jestem z Węgry! - warczał do nich. - Ty też jesteś Węgry? Jeśli ty Węgry, to jesteś we właściwe miejsce!

Latami bajdurzył taką łamaną angielszczyzną, nawet kiedy nauczył się już świetnie języka i można go było wziąć za miejscowego hutnika. Jednak właśnie dzięki temu rytualnemu poniżaniu się otrzymywał szczodre napiwki i oszczędził dość pieniędzy, żeby kupić restaurację i nocny klub o nazwie Pałac Faraona, w którym każdego wieczoru pokazywano sztuczki magiczne, występował komik i tańczyły dziewczęta. Lokal był bardzo popularny wśród hazardzistów i nowobogackich.

Kiedy Hoffman miał około pięćdziesiątki, zgodził się przesłuchać pewnego młodego człowieka, niejakiego Ace'a Douglasa, do roli drugiego magika. Ace nie występował wcześniej w nocnych klubach, nie mógł pochwalić się profesjonalnymi fotografiami ani referencjami, ale jego głos brzmiał tak pięknie przez telefon, że Hoffman postanowił go obejrzeć.

Na popołudniowe przesłuchanie Ace pojawił się w smokingu. Jego eleganckie pantofle błyszczały imponująco,

a papierosy" wyjmował ze srebrnej papierošnicy z wyraźnie wygrawerowanymi własnymi inicjałami. Był szczupłym, atrakcyjnym mężczyzną o jasnobrązowych włosach. Kiedy minę miał poważną, wyglądał niczym bożyszcze z popołudniówek, a kiedy się uśmiechał, wyglądał jak przyjazny ratownik z kąpieliska. Tak czy owak, wydawał się zbyt sympatyczny jak na człowieka, który miałby wykonywać dobre sztuczki magiczne (inni magicy Hoffmana celowo starali się wyglądać groźnie), a jednak dał wspaniały i zabawny pokaz, ani trochę nieskażony tą panującą powszechnie w sztuce magicznej modą na głupie chwytły. (Ace nie utrzymywał na przykład, jakoby był potomkiem wampira lub człowiekiem wyposażonym w moce pochodzące z grobowca Ramzesa, ani że został porwany jako dziecko przez Cyganów lub wychowany przez misjonarzy w tajemniczym Oriencie.) Nie miał nawet asystentki, w przeciwieństwie do innych magików Hoffmana, którzy wiedzieli, że podskoki panienci w siatkowych pończochach potrafią uratować najbardziej kiepską sztuczkę. Co więcej, Ace miał dość rozsądku i klasy, by nie nazwać się Wielkim albo Wspaniałym Kimś.

Na estradzie, z gładko przyczesaną fryzurą i w białych rękawiczkach, Ace Douglas zachowywał się z niewymuszoną swobodą Sinatry.

Tego popołudnia, kiedy w Pałacu Faraona odbywało się przesłuchanie Ace'a Douglasa, pewna starsza kelnerka, znana jako Duża Sandra, szykowała bar na wieczór. Przyglądała się przez kilka minut występowi, po czym podeszła do Hoffmana i szepnęła mu do ucha:

- Czasami nocą, kiedy jestem sama w łóżku, myślę sobie o mężczyznach.
- Nie wątpię, Sandro - zauważył Hoffman.

Zawsze tak mówiła. Była niesamowitą, bezwstydną kobietą i kilkakrotnie zdarzyło mu się uprawiać z nią seks.

- A kiedy już zacznę myśleć o mężczyznach, to myślę dokładnie o kimś takim jak on - dodała.

- Podoba ci się? - spytał Hoffman.

- Jeszcze jak.

- Myślisz, że spodoba się paniom?

- Jeszcze jak - powtórzyła Sandra, wachlując się wymownie. - Na Boga, tak.

Nie minęła godzina, a Hoffman zwolnił swoich dwóch pozostałych magików.

Od tego czasu Ace Douglas pracował w Pałacu Faraona każdego wieczoru, kiedy lokal był otwarty. Otrzymywał najwyższe stawki w Pittsburghu. Nie były to czasy, kiedy szanujące się młode kobiety przychodziły do lokali bez męskiego towarzystwa, niemniej Pałac Faraona stał się takim miejscem, gdzie szanujące się kobiety - nadzwyczaj atrakcyjne, młode, niezamężne szanujące się kobiety - zaczęły przychodzić ze swoimi najlepszymi przyjaciółkami i w swoich najlepszych kreacjach, żeby oglądać występ magika Ace'a Douglasa. A mężczyźni przychodzili do Pałacu Faraona, żeby oglądać te młode szanujące się kobiety i kupować im drogie koktajle.

Hoffman miał własny stół z tyłu sali i po występie magika on i Ace Douglas zabawiali przy nim młode damy. Dziewczęta zakładały Ace'owi przepaskę na oczy, a Hoffman wybierał jakiś przedmiot ze stołu, który magik miał rozpoznać.

- Widelec - oświadczał Ace. - Złota zapalniczka.

Co bardziej podejrzliwe dziewczęta otwierały torebki i wyciągały mniej typowe obiekty - fotografie rodzinne, lekarstwa przepisane na receptę, mandat za wykroczenie

w ruchu drogowym - i wszystko to Ace bez trudu odgadywał. Dziewczęta śmiały się, powątpiewały w skuteczność przepaski i zakrywały mu oczy wilgotnymi dłońmi. Miewały na imię Lettie i Pearl, i Siggie, i Donna. Wszystkie uwielbiały tańczyć, wszystkie nie rozstawały się ze swoimi eleganckimi etolami, z których były wyraźnie dumne. Hoffman przedstawiał je wolnym albo niekoniecznie wolnym, ale zainteresowanym biznesmenom. Późną nocą Ace Douglas odprowadzał te młode szanujące się panienki na parking, wysłuchując uprzejmie tego, co miały do powiedzenia, a jeśli niepewnie trzymały się na nogach, wspierał je dyskretnie, kładąc dłoń na plecach.

Pod koniec każdego wieczoru Hoffman mówił ze smutkiem:

- Ja i Ace oglądamy tyle dziewcząt, które przychodzą i odchodzą...

Ace Douglas potrafił zmienić naszyjnik z pereł w białą rękawiczkę, a zapalniczkę w świecę. Potrafił wyciągnąć jedwabną apaszkę ze spinki do włosów. Jednak najlepszy numer wykonał w roku 1959, kiedy z przyklasztornej szkoły wyczarował swoją młodszą siostrę i zaproponował ją na małżonkę Richardowi Hoffmanowi.

Miała na imię Angela. W szkole mistrzowsko grała w siatkówkę, miała nogi jak gwiazda filmowa i ślicznie się śmiała. W dzień ślubu była w dziesiątym dniu ciąży, choć znała się z Hoffmanem zaledwie dwa tygodnie. Wkrótce potem urodziła córkę, której dali na imię Esther. Na początku lat sześćdziesiątych doskonale się im wszystkim wiodło.

Esther skończyła osiem lat i Hoffmanowie uczcili jej urodziny specjalnym przyjęciem w Pałacu Faraona. Tego wieczoru w sali koktajlowej czaił się złodziej.



Nie wyglądał na złodzieja. Ubrany był przyzwoicie i obsługiwano go jak innych gości. Wypił kilka martini. Potem, w samym środku pokazu magii, przeskoczył przez kontuar, odtrącił barmana, jednym uderzeniem pięści otworzył kasę i wybiegł z Pałacu Faraona z rękoma pełnymi banknotów, dziesiątek i dwudziestek.

Klienci zaczęli krzyczeć, co Hoffman usłyszał aż w kuchni. Pognał za złodziejem na parking i chwycił go za włosy.

- Ty mnie okradasz?! - wrzasnął. - Ty, kurwa, mnie okradasz?!

- Odwal się, koleś - powiedział złodziej. Nazywał się George Purcell i był pijany.

- Ty, kurwa, mnie okradasz?! - wrzasnął znowu Hoffman.

Pchnął George'a Purcella na żółtego buicka. Tymczasem niektórzy klienci wyszli na zewnątrz i od drzwi lokalu przyglądali się wydarzeniom. Ace Douglas też wyszedł. Minął gości i już na parkingu zapalił papierosa. Przyglądał się, jak Hoffman chwytą złodzieja za koszulę i ciska go na maskę stojącego obok cadillaca.

- Daj mi spokój! - opędał się Purcell.

- Ty, kurwa, mnie okradasz?! - ryczał Hoffman.

- Rozdarłeś mi koszulę! - teraz już wrzeszczał wstrząśnięty Purcell. Spoglądał na swoją rozerwaną koszulę, a Hoffman znów przyciskał go do boku żółtego buicka.

- Richardzie? - odezwał się Ace Douglas. - Może byś nie przesadzał? - (Buick należał do niego i był fabrycznie nowy. Hoffman tymczasem walił rytmicznie głową Purcella w drzwi pojazdu.) - Richardzie? Przepraszam. Przepraszam, Richardzie. Proszę, nie niszcz mi samochodu, Richardzie.

Hoffman opuścił złodzieja na ziemię i usiadł mu na klatce piersiowej. Odzyskał oddech i się uśmiechnął.

- Już nigdy - radził leżącemu - nigdy. Nigdy nie próbuj mnie okradać.

Nadal siedząc na klatce piersiowej Purcella, zaczął spokojnie zbierać dziesiątki i dwudziestki, które upadły na asfalt, i podawać je Ace'owi. Potem wsunął rękę do tylnej kieszeni spodni mężczyzny i wyciągnął stamtąd portfel. Wyjął z portfela dziewięć dolarów, bo były to akurat wszystkie pieniądze, jakie tam znalazł. Purcell nie posiadał się z oburzenia.

- To moje pieniądze! - protestował. - Nie możesz zabierać moich pieniędzy!

- T w o j e pieniądze? - Hoffman uderzył otwartą dłońią głowę Purcella. - T w o j e pieniądze? T w o j e pieprzone pieniądze?

Ace Douglas klepnął lekko w ramię Hoffmana.

- Richardzie? - powiedział. - Przepraszam. Poczekajmy po prostu na policję, dobrze? Co ty na to, Richardzie?

- T w o j e pieniądze? - Teraz Hoffman okładał Purcella portfelem po twarzy. - Jeśli ty, kurwa, mnie okradasz, to w ogóle nie masz pieniędzy! Jeśli, kurwa, mnie okradasz, wszystkie twoje pieniądze należą do mnie!

- O Jezu - odezwał się Purcell. - Skończ już, dobra. Zostaw mnie, dobra?

- Puść go - powiedział Ace Douglas.

- T w o j e pieniądze? Wszystkie twoje pieniądze należą do mnie! - ryczał Hoffman. - Ty cały do mnie należysz! Jak, kurwa, mnie okradasz, twoje pieprzone buty należą do mnie!

Podniósł nogę Purcella i ściągnął mu but. Był elegancki,

brązowy, skórzany, z naszywanym ozdobnym dziurkowanym noskiem. Uderzył nim mężczyznę w twarz, po czym zerwał mu drugi but. Trzepnął nim go kilkakrotnie, aż mu się znudziło. Potem już tylko siedział na jego klatce piersiowej, łapiąc oddech, przytulając do siebie oba buty i kiwając się posępnie.

- O Jezu - jęknął Purcell. Warga mu krwawiła.

- Może już wstaniesz, Richardzie - zaproponował Ace.

Po jakimś czasie Hoffman poderwał się i pomaszerował do Pałacu Faraona, unosząc ze sobą buty złodzieja. Spodnie od fraka miał rozerwane na kolanie, poła koszuli zwiślała smętnie na zewnątrz. Goście cofnęły się pod ściany, żeby zrobić mu przejście. Poszedł do kuchni i wrzucił buty Purcella do jednego z wielkich kubłów na śmieci, które stały obok zlewozmywaków. Potem pomaszerował do swojego biura i zatrzasnął za sobą drzwi.

Pomywaczem był młody Kubańczyk o imieniu Manuel. Z kubła na odpadki wyjął buty z ozdobnymi noskami i jeden z nich przyłożył sobie do podeszwy stopy. Wydawało mu się, że pasuje, więc zdjął to, co miał na nogach, i włożył buty Purcella. Manuel chodził w plastikowych sandałach i teraz je wyrzucił. Chwilę później przyglądał się z satysfakcją, jak szef kuchni wylewa cały kocioł zimnego sosu na jego sandały, a kiedy wrócił do zmywania, pogwizdywał sobie zadowolony, że spotkał go taki szczęśliwy traf.

Zjawił się policjant. Założył George'owi Purcellowi kajdanki i przyprowadził go do gabinetu Hoffmana. Ace Douglas wszedł za nimi.

- Chce pan wnieść oskarżenie? - spytał policjant.

- Nie - odparł Hoffman. - Darujmy sobie.

- Jeśli nie wnosi pan oskarżenia, to muszę go wypuścić.

- Niech go pan wypuszcza.  
- Ten człowiek mówi, że zabrał mu pan buty.  
- To przestępca. Przyszedł do mojej restauracji bez obuwia.

- On zabrał mi buty - oświadczył Purcell. Kołnierzyk koszuli miał przesiąknięty krwią.

- W ogóle nie miał butów. Popatrzcie na jego stopy. Nie ma butów.

- Zabrałeś moje pieniądze i moje cholerne buty, ty bydlaku. Buty za dwadzieścia dolarów!

- Proszę zabrać złodzieja z mojej restauracji - wycodził Hoffman.

- Panie władzo? - odezwał się Ace Douglas. - Przepraszam, ale ja byłem tutaj przez cały czas i ten człowiek rzeczywiście nie miał nic na nogach. To wółczęga, proszę pana.

- Przecież mam przyzwoite skarpetki! - krzyknął Purcell. - Popatrzcie na mnie! Popatrzcie na mnie!

Hoffman wstał i opuścił biuro. Policjant, prowadząc George'a Purcella, szedł za nim. Idąc przez salę restauracyjną, Hoffman zatrzymał się, żeby zabrać swoją córkę Esther z jej urodzinowego przyjęcia. Wziął ją na ręce i wyszedł przed lokal.

- A teraz słuchaj. Jeśli jeszcze kiedyś mnie okradniesz, zabiję cię - zagroził Purcellowi.

- Spokojnie - powiedział policjant.

- Nawet jak cię zobaczę na ulicy, to cię, kurwa, zabiję.

- Chcesz złożyć skargę, kolego - odezwał się policjant - to ją złóż. A jeśli nie, to zachowaj spokój.

- Nie lubi, jak go okradają - wyjaśnił Ace Douglas.

- Zwierzę - mruknął Purcell.

- Widzisz tę dziewczynkę? - zaczął znowu Hoffman. - Moja córeczka kończy dzisiaj osiem lat. Jeśli będę szedł ulicą z moją córeczką i cię zobaczę, zostawię ją po jednej stronie ulicy i przejdę na drugą stronę, i zabiję cię na jej oczach.

- Dość tego - oświadczył policjant. Wyprowadził George'a Purcella z parkingu i zdjął mu kajdanki.

Policjant i złodziej odeszli razem. Hoffman stał na schodkach Pałacu Faraona, trzymając Esther na ręce, i krzychał:

- Zmusisz mnie do zabicia ciebie na oczach mojej córeczki? Co z ciebie za człowiek? Szaleniectwo! Zniszczysz życie mojej małej! Okropny człowiek!

Esther szlochała. Ace Douglas zabrał ją z ramion Hoffmana.

Tydzień później złodziej powrócił do Pałacu Faraona. Było południe i panował tam całkowity spokój. Kucharz gotował rosół, a Manuel, pomywacz, sprzątał magazyn z suchymi produktami. Hoffman był w swoim biurze, zamawiał u hurtownika warzywa. Purcell, zupełnie trzeźwy, pomaszerował wprost do kuchni.

- Domagam się moich cholernych butów! - wrzasnęła, waląc w drzwi biura. — Kosztowały dwadzieścia dolarów!

I wtedy Richard Hoffman wyszedł ze swojego gabinetu i tłuczkiem do mięsa zatłukł George'a Purcella na śmierć. Manuel, pomywacz, próbował go powstrzymać, ale jego też Hoffman zatłukł na śmierć tym samym tłuczkiem.

Esther nie odznaczała się szczególnym talentem do sztuki iluzjonistycznej. Dłonie miała niezgrabne. Nie była to jej wina, po prostu wada wrodzona. Bo pod każdym innym względem była bystrą dziewczynką.

Jej wuj, Ace Douglas, przez trzy lata z rzędu był mi-

strzem Ameryki w prestidigitatorstwie ocenianym z bliska. Zdobył swoje tytuły, nie używając żadnych rekwizytów i narzędzi, poza jedną srebrną monetą jednodolarową. Podczas pewnych zawodów dematerializował ją i przywracał do rzeczywistości przez piętnaście oszłamiających minut, a złożona z ekspertów komisja sędziowska w ogóle nie dostrzegła, że moneta przez większość tego czasu spoczywa na jego kolanie. Kładł ją tam, gdzie błyszczała sobie widoczna dla każdego, kto by tylko zechciał odebrać na chwilę wzrok od dłoni Ace'a. Tymczasem oni mieli wzrok przykuty do jego dłoni, przekonani, że on cały czas wymachuje im tą monetą przed nosem. Nie byli głupcami, ale dawali się nabrać na jego symulowane chwyt, pozorowane upuszczenia, fałszywe przesunięcia i całą grę niezauważalnych manewrów. Ace Douglas znał ruchy, którym sam nigdy nie nadał żadnej nazwy. Był mistrzem zmyłki. Nie pozwalał na sceptycyzm. Jego palce były równie swobodne i szybkie jak myśli.

Tymczasem sztuczki Esther Hoffman były żałośnie przyziemne. Wykonywała „słynny numer z tańczącą laską”, „słynny numer ze znikającym mlekiem” i „słynny numer ze szepiąjącymi się chińskimi pierścieniami”. Wydobywała papużki z żarówek i gołębie z płonącej patelni. Występowała na urodzinowych przyjęciach, gdzie potrafiła doprowadzić do kwitowania jakiegoś malucha. Dawła pokazy w szkołach podstawowych, gdzie potrafiła przeciąć i przywrócić do poprzedniego stanu krawat dyrektora. Jeśli dyrektorem była kobieta, Esther pożyczła sobie jej pierścionek, gubiła go, a potem odnajdywała w kieszeni jakiegoś ucznia. Jeśli dyrektorka nie nosiła biżuterii, Esther przebijała po prostu mieczem jej szyję, podczas gdy dzieciarnia na widowni podnosiła wrzask zachwytu.

Proste, niczym nie wyróżniające się sztuczki.

- Jesteś młoda - powtarzał Ace. - Rozwiniesz się.

Jednak ona się nie rozwijała. Zarabiała więcej pieniędzy, ucząc małe dziewczynki gry na flecie, niż robiąc sztuczki iluzjonistyczne. Była świetną flecistką, co doprowadzało ją do szału. Bo po co jej te nieprzydatne zdolności muzyczne?

- Masz szybkie palce — mówił jej wuj. — Twoim palcom niczego nie brakuje. Jednak tutaj nie chodzi o szybkość, Esther. Z monetami nie ma potrzeby się spieszyć.

- Nienawidzę monet.

- Powinnaś manipulować monetami tak, jakby cię bawiły, Esther. Nie tak jakbyś się ich bała.

- Przy monetach mam takie uczucie, jakbym nosiła rękawice kuchenne.

- Z monetami nie zawsze jest łatwo.

- Nigdy nikogo nie potrafię nabrać. Nie potrafię zmylić.

- Tu nie chodzi o zmylenie, Esther. Chodzi o naprowadzanie.

- To, co ja mam, to nie są dłonie - skarżyła się jego siostrzenica. - To są łapy.

Było prawdą, że Esther niezdarnie obchodziła się z monetami i kartami i że nie miała wielkiej szansy na zostanie zręczną iluzjonistką. Nie miała do tego talentu. Brakowało jej też swobody. Widziała fotografie swojego wuja, kiedy jako młody mężczyzna występował w Pałacu Faraona, jak ubrany w smoking, ze spinkami przy mankietach koszuli, opiera się o elegancką marmurową kolumnę. Nie istniały takie sztuczki magiczne, których nie mógłby wykonywać pod samym nosem patrzących. Mógł siedzieć na krześle otoczony ze wszystkich stron najbardziej napastliwymi

spośród widzów - takimi, co to rzucali mu przeróżne wyzwania albo chwyтали za ramię w połowie manewru - i potrafił od któregoś z tych typków pożyczyć jakiś zwykły przedmiot, by go zdematerializować. Kluczyki samochodowe tych facetów w dłoni Ace'a zmieniały się w nicość. Rozpływały się.

Występ Ace'a w nocnym klubie Pałacu Faraona był hołdem złożonym eleganckim występom, tym, które wiążą się z monetami, kartami, kostką do gry, kieliszkami do szampana i papierosami. Przemyczał odpowiednie aluzje i zachęty do picia alkoholu, grzeszenia, do uprawiania hazardu i wydawania pieniędzy. Odzwierciedlał zmienność losu. Mógł wykonać numer złożony wyłącznie ze sztuczek z papierosami, zaczynając od pojedynczego papierosa pożyczonego od jakiejś damy z widowni. Przepuszczał go przez monetę i podawał tę monetę owej damie. Przełamywał papierosa na pół, po czym przywracał go do poprzedniego stanu, połykał, wykaśływał w towarzystwie sześciu innych, pomnażał je i pomnażał, aż w końcu trzymał zapalone papierosy pomiędzy wszystkimi palcami, sterczały mu z ust, wyłaniały zza uszu, wystawały ze wszystkich kieszeni - dziwiło go to? Wręcz przerażało! - a potem, na jedno skiniecie głową, wszystkie te papierosy znikają poza tym pierwszym, pożyczonym. Tego palił dystygowanie podczas głośnego aplauzu.

Esther miała też zdjęcia ojca z tego samego okresu, kiedy był właścicielem Pałacu Faraona. Wyglądał elegancko w smokingu pomimo krępej budowy. Odziedziczyła jego grube nadgarstki.

Kiedy Richard Hoffman wyszedł z więzienia, wprowadził się do Ace'a i Esther. Ace miał już wtedy wspaniałą posiadłość na wsi, wysoki, żółty wiktoriański dom, za nim



całą milę lasów, a przed nim trawnik jak u jakiegoś barona. Ace Douglas zbił na magii spory majątek. Zarządzał Pałacem Faraona od czasu aresztowania Hoffmana i ostatecznie, za zgodą Hoffmana, sprzedał go z wielkim zyskiem znanemu restauratorowi. Esther mieszkała z Ace'em od ukończenia szkoły i miała dla siebie całe piętro. Młodsza siostra Ace'a, Angela, rozwiodła się z Hoffmanem, także za jego przyzwoleniem, i przeprowadziła ze swoim nowym mężem na Florydę. Hoffman nie zgodził się tylko na jedno, żeby córka chociaż raz odwiedziła go w więzieniu, i w rezultacie nie widzieli się przez długie czternaście lat. W więzieniu Hoffman stał się jeszcze bardziej przysadzisty. Wydawał się niższy od tego, jakim pamiętali go Ace i Esther, zauważyli też, że nabrał ciała. Zapamiętał gęstą brodę, pobłyskującą pięknym rudawym odcieniem. Łatwo się wzruszał do łez, a przynajmniej stale wyglądał tak, jakby się za chwilę miał wzruszyć do łez. Pierwsze tygodnie pod jednym dachem nie były zbyt łatwe ani dla Esther, ani dla Hoffmana. Ich rozmowy były króciutkie i wyglądały mniej więcej tak:

- Ile masz lat? - pytał ją Hoffman.

- Dwadzieścia dwa.

- Moje podkoszulki są od ciebie starsze.

W innej rozmowie Hoffman powiedział:

- Faceci, których poznałem w więzieniu, to najsympatyczniejsi ludzie na świecie.

- Tak naprawdę, tato, to chyba tak nie jest - odparła Esther.

I tak dalej.

W grudniu tamtego roku Hoffman poszedł na występ córki, który odbywał się w miejscowej szkole podstawowej.

- Nie jest za dobra - oznajmił potem szwagrowi.

- Uważam, że jest niezła - odparł Ace. - Podoba się dzieciom i sama dobrze się bawi.

- Jest okropna. Za wiele w tym aktorstwa.

- Być może.

- Mówi: PRZYPATRZCIE SIĘ! To okropne. PRZYPATRZCIE SIĘ temu! PRZYPATRZCIE tamtemu!

- Przecież to dzieci - powiedział Ace. - Dzieciom trzeba wyjaśnić, że właśnie zamierzasz wykonać sztuczkę i że ją już wykonałeś, ponieważ są tak podekscytowane, że nie bardzo wiedzą, co się dzieje. Nie wiedzą nawet, kto to jest iluzjonista. Nie potrafią się zorientować, czy właśnie robisz sztuczkę magiczną czy tylko tam stoisz.

- Uważam, że jest bardzo nerwowa.

- Możliwe.

- Mówi: PRZYPATRZCIE SIĘ TEJ PAPUŻCE!

- Jej numery z papużkami są niezłe.

- W tym nie ma dostojności - oświadczył Hoffman. - Ona nikogo nie przekonuje.

- Tu nie chodzi o dostojność, Richardzie. Chodzi o dzieci.

W następnym tygodniu Hoffman kupił córce dużego białego królika.

- Jeśli występujesz dla dzieci, powinnaś mieć królika - oświadczył.

Esther uściskała ojca.

- Nigdy nie miałam królika - ucieszyła się.

Hoffman wyjął z klatki królicę. Była nienaturalnie wielka.

- Czy ona jest kotna? - spytała Esther.

- Nie, nie jest. Jest tylko wielka.

- To zdecydowanie zbyt duży królik jak na sztuczki magiczne - zauważył Ace.

- Nie wymyślili jeszcze takiego dużego kapelusza, z którego by można wyciągnąć tego królika - dodała Esther.

- Można ją zwinąć do całkiem małych rozmiarów - powiedział Hoffman. Wziął królicę w ręce tak, jakby była akordeonem, a potem ścisnął ją w wielką białą kulę.

- Wygląda, jakby to lubiła - powiedział Ace, a Esther wybuchnęła śmiechem.

- W każdym razie jej nie przeszkadza. Ma na imię Bonnie. - Hoffman chwycił królicę za skórę na karku, jakby była kotem. Kiedy tak zwisała mu z ręki, była większa od szopa.

- Skąd ją wzięłeś? - spytała Esther.

- Z gazety! - oświadczył jej ojciec i się rozpromienił.

Esther lubiła Bonnie bardziej niż swoje gołębie i papużki, które były co prawda atrakcyjne, ale w zasadzie były tylko ptakami, które miały szczęście dobrze wyglądać. Ace też lubił Bonnie. Pozwalał jej wędrować po całym swoim wielkim wiktoriańskim domu, nie zważając na jej bobki, które były małe, suche i niedrażniące. Szczególnie lubiła siedzieć pośrodku kuchennego stołu i z tego miejsca przyglądać się z powagą Ace'owi, Esther i Hoffmanowi. Było to bardzo kocie zachowanie.

- Czy ona zawsze będzie taka krytyczna? - spytała kiedyś Esther.

Wypuszczona na dwór Bonnie bardziej przypominała psa. Miała zwyczaj wylegiwać się ułożona na boku w plamie słońca, a kiedy ktoś się zbliżał, podnosiła na tę osobę leniwe spojrzenie, jak to robią znudzone i ufne psy. W nocy spała z Hoffmanem. On leżał na boku, zwinięty jak dziecko, a Bonnie układała się na nim, w najwyższym punkcie, którym na ogół było jego biodro.

Jednak do występów Bonnie się nie nadawała. Była o wiele za duża, żeby dało się nią manipulować z wdziękiem na estradzie; ten jeden jedyny raz, kiedy Esther wyciągnęła ją z kapelusza, zwiślała w jej rękach ospale i dzieci z tylnych rzędów były przekonane, że jest sztuczna. Wyglądała jak wielka zabawka, jak jedno z ich własnych, kupionych w sklepie wypchanych zwierząt.

- Bonnie nigdy nie będzie gwiazdą - zawyrokował Hoffman.

- Rozpieściłeś ją, Richardzie - oświadczył Ace - tak jak magicy od dziesiątków lat rozpieszczają swoje urocze asystentki. Rozpieściłeś ją, sypiając z nią w jednym łóżku.

Tamtej wiosny do dużego wiktoriańskiego domu stojącego obok dużego wiktoriańskiego domu Ace'a Douglasa wprowadził się pewien młody prawnik z małżonką (młodą prawniczką). Wszystko to stało się bardzo szybko. Wdowa, która mieszkała tam kilkadziesiąt lat, zmarła we śnie i w ciągu zaledwie kilku tygodni dom sprzedano. Nowi sąsiedzi mieli wielkie ambicje. Mężczyzna, Ronald Wilson, zadzwonił do Ace'a i spytał, czy w okolicy występują jakieś problemy, o których powinien wiedzieć, w związku z systemem melioracyjnym lub też ze spowodowanymi mrozem rozstępami gruntu. Miał szczególne plany dotyczące ogrodu i altany na tyłach domu. Jego żona, Ruth-Ann, kandydowała na stanowisko sędzi do spraw spadkowych hrabstwa. Oboje byli wysocy i bardzo dobrze wychowani. Dzieci nie posiadali.

Trzy dni po wprowadzeniu się Wilsonów Bonnie zniknęła. Stało się to błyskawicznie. Była na werandzie, a po chwili jej nie było.

Hoffman szukał jej całe popołudnie. Za radą Es-

ther spędził wieczór, chodząc w tę i z powrotem drogą, sprawdzając z latarką, czy nie potrącił jej jakiś samochód. Nazajutrz przeczesał las za domem, godzinami nawołując królicę. Zostawił na werandzie miskę z pokrojonymi jarzynami i świeżą wodę. W ciągu nocy kilka razy wstawał, żeby sprawdzić, czy Bonnie nie pojawiła się na werandzie i nie zajada naszykowanym dla niej pokarmem. W końcu zwinął się w koce i położył na bujanej kanapie, pełniąc straż przy jarzynach. Spał tam przez tydzień, zmieniając pokarm każdego ranka i wieczoru, żeby świeżo pachniał.

Esther zrobiła plakat z wyrysowaną podobizną Bonnie (która w jej wykonaniu przypominała spaniela) i z podpisem: ZAGINAŁ DUŻY KRÓLIK. Przyczepiła kserokopie na słupach telefonicznych w całym mieście i dała stosowne ogłoszenie do gazety. Hoffman napisał list do sąsiadów, państwa Wilsonów, i wsunął go im pod drzwi. Opisywał umaszczenie i wagę Bonnie, podał datę i godzinę jej zniknięcia i prosił o wszelkie ewentualne informacje na ten temat. Wilsonowie nie odezwali się, wobec czego następnego dnia Hoffman zadzwonił do drzwi ich domu. Otworzył je Ronald Wilson.

- Dostaliście mój list? - spytał Hoffman.
- O króliku? - odezwał się Ronald. - Znalazł się?
- To królicca. Należy do mojej córki. Dostała ją w prezencie. Widzieliście ją?
- Nie wyszła chyba na drogę, co?
- Czy Bonnie jest u was, panie Wilson?
- Królicca ma na imię Bonnie?
- Tak.
- Jak Bonnie mogłaby się dostać do naszego domu?
- Może macie wybitą szybę w piwnicy?
- Myśli pan, że ona jest w piwnicy?

- A szukał pan jej tam?
- Nie.
- Czy ja mogę poszukać?
- Chce pan szukać królika w naszej piwnicy?

Dwaj mężczyźni patrzyli sobie w oczy przez jakiś czas. Ronald Wilson miał na głowie biret bejsbolówkę, którą teraz zdjął i przejechał ręką po czubku łysiejącej głowy. Włożył czapkę z powrotem.

- Pańskiego królika nie ma w naszym domu, panie Hoffman - oświadczył.

- W porządku - odparł Hoffman. - W porządku. Jasne.

Wrócił do domu. Usiadł przy kuchennym stole i czekał, aż pojawią się Ace i Esther, żeby im oznajmić:

- Zabrali ją - powiedział. - Wilsonowie zabrali Bonnie.

Hoffman zaczął budować wieżę w lipcu. Pomiędzy domem Ace'a Douglasa i domem Wilsonów stał rząd dębów, których liście zasłaniały Hoffmanowi widok na dom sąsiadów. Przez kilka miesięcy spędzał noce na poddaszu, skąd zaglądał przez lornetkę do domu Wilsonów, szukając Bonnie, jednak drzewa zasłaniały mu widok pokoiów na parterze, co było ogromnie frustrujące. Ace zapewniał go, że jesienią liście opadną, ale Hoffman obawiał się, że do jesieni Bonnie będzie już martwa. Nie mógł się z tym pogodzić. A odkąd Ruth-Ann wezwała policję, nie miał prawa wchodzić na teren nieruchomości Wilsonów i zaglądać do okien piwnicznych. Nie wolno mu też było pisać listów z pogrózkami ani telefonować. Przynrzekł Ace'owi i Esther nie robić żadnej z tych rzeczy.

- Jest zupełnie niegroźny — Esther zapewniła sąsiadkę. Choć wcale nie była tego taka pewna.

Ronald Wilson usłyszał gdzieś, że Hoffman siedział w więzieniu, skontaktował się z urzędnikiem od zwolnień warunkowych, który z kolei skontaktował się z Hoffmannem i dał mu do zrozumienia, że lepiej zrobi, jak zostawi Wilsonów w spokoju.

- Gdybyście tylko mu pozwolili poszukać u was królika - Ace Douglas zasugerował delikatnie Wilsonom - bardzo szybko by się to skończyło. Dajcie mu pół godziny, żeby się mógł rozejrzeć. On się zamartwia, że może Bonnie siedzi w waszej piwnicy jak w pułapce.

- Nie przeprowadziliśmy się tutaj po to, żeby wpuszczać morderców do własnego domu - oświadczył Ronald Wilson.

- On nie jest mordercą - zaprotestowała bez przekonania Esther.

- Przeraza moją żonę.

- Nie chcę przerażać pańskiej żony - powiedział Hoffman.

- On jest naprawdę niegroźny - przekonywała ich Esther. - Może byście mu kupili nowego królika.

- Pan przeraża moją żonę - powtórzył Ronald. - Nie jesteśmy panu winni żadnego królika.

Późną wiosną Hoffman ściął najmniejszy dąb stojący pomiędzy dwoma domami. Zrobił to w poniedziałkowe popołudnie, kiedy Wilsonowie byli w pracy, Esther występowała na przyjęciu dla skautek, a Ace robił zakupy. Wiele tygodni wcześniej Hoffman kupił piłę łańcuchową i trzymał ją w ukryciu. Drzewo nie było duże, ale padło skosem na tyły domu Wilsonów, omijając co prawda altanę, ale niszcząc spory narożny kawałek ogródka.

Przyjechała policja. Po dłuższych dyskusjach Ace Douglas zdołał udowodnić, że chociaż dąb rósł pomiędzy

dwoma posiadłościami, to jednak znajdował się na jego terenie i miał prawo go ściąć. zaproponował hojne odszkodowanie za poczynione szkody. Tego samego wieczoru Ronald Wilson pojawił się ponownie w domu Ace'a, ale nie chciał nic mówić, dopóki Ace nie poprosił szwagra, żeby wyszedł z kuchni.

- Czy rozumie pan naszą sytuację? - spytał sąsiad.

- Rozumiem - odparł Ace. - Doskonale rozumiem.

Mężczyźni siedzieli jakiś czas naprzeciwko siebie przy kuchennym stole. Ace zaproponował Ronaldowi kawę, za którą ten podziękował.

- Jak możecie z nim mieszkać? - spytał Ronald.

Ace nie odpowiedział, tylko nalał sobie kawy. Otworzył lodówkę i wyjął karton z mlekiem, które powąchał, a potem wylał do zlewu. Po czym powąchał kawę w filiżance i też ją wylał do zlewu.

- Czy to pański chłopak? - spytał Ronald.

- Czy Richard jest moim chłopakiem? Nie. To dobry przyjaciel. A do tego szwagier.

- Coś takiego - powiedział Ronald. Obracał obrączkę na palcu, jakby ją sobie przykręcał.

- Kupno tego pięknego starego domu miało być spełnieniem marzeń, prawda? - spytał Ace Douglas. Udało mu się to powiedzieć w sposób przyjacielski, współczujący.

- Owszem, tak myśleliśmy.

- A tymczasem to koszmar, prawda? Sąsiadowanie z nami.

- Tak, owszem.

Ace Douglas się roześmiał i Ronald Wilson mu zawtórował.

- Prawdę mówiąc, to kompletny pieprzony koszmar.

- Przykro mi, że twoja żona się nas boi, Ronaldzie.



- No cóż.  
- Naprawdę mi przykro.  
- Dziękuję. To dość trudna sytuacja. Ona czasami wpada w lekką paranoję.

- Cóż - odezwał się Ace, znowu przyjacielsko i współczująco. - Kto by pomyślał? Paranoiczka! W tej okolicy?

Obaj mężczyźni ponownie się roześmiali. Tymczasem w pokoju obok Esther rozmawiała z ojcem.

- Dlaczego to zrobiłeś, tato? Takie piękne drzewo. Mężczyzna płakał.

- Bo jest mi tak smutno - powiedział w końcu. - Chciałem, żeby oni to poczuli.

- Poczuli, jak ci jest smutno? - spytała.

- Poczuli, jak mi jest smutno - potwierdził. - Jak mi smutno.

W każdym razie w lipcu zaczął budować wieżę.

Ace miał starego pick-upa i codziennie po południu Hoffman jeździł nim na wysypisko w poszukiwaniu desek i innych materiałów. Zbudował podstawę wieży z sosny i wzmocnił ją kawałkami stalowej ramy jakiegoś łóżka. Pod koniec lipca wieża miała ponad dziesięć stóp wysokości. Nie zamierzał budować w jej wnętrzu schodów, więc był to masywny zwarty sześcian.

Wilsonowie zadzwonili do urzędu architekta miejskiego i Ace Douglas został ukarany mandatem za budowanie bez zezwolenia i zażądano, by bez zwłoki przerwał prace.

- To tylko taki domek na drzewie - kłamała Esther urzędnikowi.

- To wieża obserwacyjna - poprawił ją ojciec. - Żebym mógł zajrzeć do domu sąsiadów.

Urzędnik obdarzył go długim nieprzeniknionym spojrzeniem.

- Tak - oznajmił Hoffman. - To jest właśnie wieża obserwacyjna.

- Rozbierzcie ją - powiedział urzędnik do Esther. - Rozbierzcie ją natychmiast.

Ace Douglas posiadał znaczną bibliotekę literatury na temat dawnej magii, włącznie z kilkoma księgami, które Hoffman przywiózł ze sobą z Węgier podczas drugiej wojny światowej, a które już wtedy były stare i cenne. Hoffman kupował te rzadkie książki od Cyganów i handlarzy z całej Europy za resztki rodzinnych pieniędzy. Część z nich napisano po niemiecku, część po rosyjsku, jeszcze inne po angielsku.

Ta kolekcja odkrywała sekrety magii salonowej, popularnej rozrywki wykształconych dżentelmenów z przełomu wieków. W książce nie mówiono o sztuczkach, lecz o „odwracaniu uwagi”, co czasami było magicznym trikiem, a kiedy indziej prostym eksperymentem naukowym. Często odwracanie uwagi obejmowało hipnozę albo coś, co wyglądało na hipnozę, albo też udział wykwalifikowanego współpracownika wśród skądinąd podatnej na sugestie publiczności, bez którego sukces byłby niemożliwy. Dżentelmen mógł za pomocą dymu i lustra wywołać w salonie ducha. Mógł czytać z ręki albo wprowadzać w stan lewitacji tacę. Dżentelmen mógł po prostu pokazywać, jak jajko stoi na czubku albo jak magnesy raz się odpychają, raz przyciągają, albo jak prąd elektryczny wprawia w ruch małe urządzenie mechaniczne.

Książki były przepięknie ilustrowane. Hoffman подарował je Ace'owi Douglasowi jeszcze w latach pięćdziesiątych, bo przez jakiś czas miał nadzieję, że tam, w Pittsburghu, uda się odtworzyć tę zaginioną europejską

magię. Miał nadzieję, że urządzi w niewielkiej części Pałacu Faraona coś w rodzaju typowego dla węgierskiej wyższej klasy średniej tradycyjnego salonu, a Ace'a ubierze we frak i rękawiczki z koźlęcej skórki. Ace przestudiował te książki. Doszedł jednak do wniosku, że nie ma możliwości odtworzenia większości sytuacji i sposobów odwracania uwagi widzów. Wszystkie te dawne sztuczki wymagały obecności zwyczajnych przedmiotów codziennego użytku, a te, jak się okazało, przestały już nimi być. Potrzebne było pudełko parafiny, szczypta tabaki, krztyna wosku pszczelego, spluwaczka, dewizka zegarka, korkowa kulka, kawałek mydła do czyszczenia skóry. Nawet gdyby można było zgromadzić te składniki, dla współczesnego widza niewiele by znaczyły. Byłaby to magia muzealna. Nie zrobiłaby na nikim wrażenia.

Dla Hoffmana było to niemałe rozczarowanie. Jako młody człowiek przyglądał się tego rodzaju pokazom urządzanym w salonie matki przez rosyjskiego czarodzieja, szarlatana i kanciarza nekromantę, niejakiego Katanowskiego. Matka, niedawno owdowiała, nosiła ciemne suknie przybrane niebieskimi wstążkami o zielonkawym odcieniu, dokładnie w kolorze, jaki miały słynne flakoniki Wody Różanej Hoffmana. Miała twarz stanowczej regentki. Jego siostry, w dziecięcych fartuszkach, patrzyły na Katanowskiego oniemiałe ze zdziwienia. Zebrani całą rodziną w salonie słyszeli to wszyscy. Sam Hoffman — z oczyma szczypiącymi od fosforowego dymu — też to słyszał: wyraźny głos niedawno zmarłego ojca wydobywający się z mrocznych ust szarlatana. Ojciec przynoszący im słowa pociechy (w perfekcyjnym węgierskim, bez śladu obcego akcentu!). Przejmujące dreszczem, intymne nawoływanie do wiary.

Dla Hoffmana było więc to wielce niefortunne, że Ace Douglas nie może odtworzyć tamtej sytuacji. Chciałby zobaczyć, na czym to polegało. Bo musiało przecież być jakimś prostym oszustwem, choć bardzo starym. Hoffman chciałby usłyszeć ponownie udawany głos swojego ojca, wysłuchać pełnego wyjaśnienia sztuczki i - jeśli byłoby to konieczne - usłyszeć go raz jeszcze.

Pierwszego września Hoffman obudził się o świcie i zaczął przygotowywać pick-upa do drogi. Wiele miesięcy później, podczas procesu, adwokat Wilsonów starał się wykazać, że Hoffman zgromadził już wcześniej na skrzyni samochodu istny arsenał broni, przeciwko któremu to (niepopartemu dowodami) zarzutowi Ace i Esther gorąco protestowali. Oczywiście, miał tam różne narzędzia - kilka szpadli, duży młot i siekiere - ale nawet jeśli były to przedmioty groźne, to na pewno nie zamierzał ich użyć w niecnym celu.

Hoffman kupił ostatnio kilkadziesiąt rolek czarnej taśmy do izolacji przewodów elektrycznych i o świcie zaczął nią oklejać nadwozie samochodu. Owijał je dookoła jedną warstwą taśmy, na nią kładł następną, a potem jeszcze raz, jak opancerzenie.

Esther miała rano jedną lekcję gry na flecie, wstała więc wcześniej, żeby zdążyć zjeść płatki. Przez kuchenne okno zobaczyła, jak ojciec okleja taśmą samochód. Reflektory i lampy tylne już były zakryte, tak samo drzwi. Wyszła na zewnątrz.

- Tato? - odezwała się.

- Jadę tam - powiedział jej ojciec, głosem niemalże przeproszającym.

- Chyba nie do Wilsonów?

- Ruszam po Bonnie - odparł.

Esther wróciła do domu nieco roztrzęsiona. Obudziła wuja, który wyjrzawszy przez okno swojej sypialni, zadzwonił na policję.

- Och, tylko nie policja - powiedziała Esther. - Nie policja...

Ace ją przytulił i jakiś czas tak trzymał.

- Płaczesz? - spytał.

- Nie - skłamała.

- Nie płaczesz?

- Nie. Jest mi tylko smutno.

Kiedy taśma się skończyła, Hoffman okrążył auto i stwierdził, że nie ma jak się dostać do środka. Wziął ze skrzyni młot i uderzał nim lekko w szybę po stronie pasażera, aż pokryła się cała pajęczyną pęknięć. Wtedy delikatnie wepchnął ją do wnętrza. Kryształki szkła spadły cicho na fotel. Przepchnął się do środka, po czym zauważył, że nie ma kluczyków, więc wydostał się na zewnątrz przez wybite okno, poszedł do domu i znalazł kluczyki na kuchennym stole. Esther chciała zejść na dół, żeby z nim porozmawiać, ale Ace jej zabronił. Zszedł natomiast sam i powiedział:

- Przykro mi, Richardzie, ale wezwałem policję.

- Policję? - spytał Hoffman wyraźnie urażony. - Tylko nie policję, Ace.

- Przykro mi.

Hoffman milczał długo. Wpatrywał się w szwagra.

- Ale przecież ja ruszam po Bonnie - oświadczył w końcu.

- Lepiej, żebyś tego nie robił.

- Kiedy oni ją mają - powiedział Hoffman i się rozpłakał.

- Nie wierzę, że ją rzeczywiście mają, Richardzie.

- Przecież ją ukradli!

Hoffman porwał swoje kluczyki i nie przestając szlochać, wdrapał się znowu do swojego oklejonego taśmą samochodu. Podjechał do domu Wilsonów i okrążył go kilkakrotnie. Przejechał przez rosnącą w ogrodzie kukurydzę. Z domu wybiegła Ruth-Ann Wilson, wyrwała kilka cegieł obramowania ścieżki i popędziła za Hoffmanem, rzucając nimi w jego pick-upa i wrzeszcząc.

Hoffman podjechał samochodem do pochyłych drzwi piwnicy domu Wilsonów. Próbował na nie wjechać, ale jego pick-up nie miał dość mocy i koła zapadały się w mokrą murawę. Naciskał klakson, trąbił przeciągle i żałośnie jak róg mgłowy.

Kiedy przyjechała policja, Hoffman nie chciał wyjść z auta. Położył tylko dłonie na kierownicy, pokazując, że nie jest uzbrojony.

- On nie ma żadnej broni! - krzyczała Esther z wnętrza domu Ace'a Douglasa.

Dwóch funkcjonariuszy obeszło pick-upa i obejrzało go dokładnie. Młodszy postukał w okno kierowcy i poprosił Hoffmana, żeby opuścił szybę, ale ten odmówił.

- Każcie im wynieść ją na dwór! - krzyknął. - Niech wyniosą królicę, a ja wyjdę z kabiny! Co za okropni ludzie!

Starszy policjant przeciął scyzorykiem taśmę na drzwiach po stronie pasażera. Wreszcie mógł otworzyć drzwi, a kiedy to zrobił, sięgnął po Hoffmana i wyciągnął go na zewnątrz, kalecząc sobie i jemu rękę o potłuczone szkło. Hoffman leżał potem rozciągnięty na trawie, twarzą do ziemi. Założono mu kajdanki i wsadzono do radiowozu.

Ace i Esther pojechali za policyjnym samochodem na komisariat, gdzie policjanci zabrali Hoffmanowi pasek

i zdjęli odciski palców. Hoffman miał na sobie tylko podkoszulek, a cела była mała, pusta i zimna.

- Czy mogę pojechać do domu i przywieźć ojcu kurtkę? - spytała Esther starszego z policjantów. - Albo koc?

- Może pani - odpowiedział jej starszy z policjantów i poklepał ją po ramieniu współczującym gestem przedstawiciela władzy. - Jak najbardziej.

Wróciwszy do domu, Esther obmyła twarz i wzięła aspirynę. Zadzwońiła do matki swojej uczennicy i odwołała poranną lekcję. Matka chciała umówić się na inny termin, ale Esther obiecała jej tylko, że zadzwoni później. Zauważyła na blacie kuchennym karton z mlekiem i wstawiła go do lodówki. Umyła zęby. Zmieniła buty na cieplejsze jesienne i z szafy w ścianie wyciągnęła lekki wełniany koc dla ojca. Wtedy usłyszała jakiś hałas.

Dotarło do niej, że to dźwięk pracującego silnika samochodowego. Podeszła do okna salonu i odsunęła zasłonę. Na podjeździe domu Wilsonów stała furgonetka z oznaczeniami świadczącymi o tym, że należy do Towarzystwa Ochrony Zwierząt. Szyby pojazdu były okratowane.

- Ojejku - powiedziała do siebie na głos Esther.

We frontowych drzwiach domu Wilsonów pokazał się mężczyzna w białym kombinezonie niosący dużą drucianą klatkę. W klatce siedziała Bonnie.

Esther nigdy wcześniej nie była w budynku TOZ-u i tego dnia też nie weszła do środka. Zaparkowała w pobliżu tamtej furgonetki, za którą pojechała, i patrzyła, jak mężczyzna w kombinezonie otwiera tylne drzwi i wyciąga klatkę. W tej klatce siedziały trzy szare kocięta. Zaniósł je do środka, zostawiwszy drzwi pojazdu szeroko otwarte.

Kiedy mężczyzna znalazł się w budynku, Esther wysiadła z auta i podeszła szybko do otwartych drzwi z tyłu furgonetki. Znalazła klatkę z Bonnie, otworzyła ją bez trudu i wyciągnęła królicę. Bonnie była dużo chudsza niż wtedy, kiedy Esther widziała ją ostatni raz, i spoglądała pustym wzrokiem, nie rozpoznając jej. Zniosła ją do swojego auta i pojechała z powrotem na komisariat.

Kiedy znalazła się już na tamtym parkingu, wsadziła sobie królika pod lewą pachę. Wysiadła i owinęła się całą tym lekkim wełnianym kocem, który zabrała dla ojca. Szybkim krokiem weszła do budynku. Minęła tego starszego policjanta, który rozmawiał właśnie z Ace'em Douglasem i Ronaldem Wilsonem. Przechodząc obok mężczyzn, podniosła prawą rękę i powiedziała uroczystym głosem:

- Hawk, blade twarze.

Wuj uśmiechnął się do niej, a starszy policjant machnął ręką, żeby szła dalej.

Cela mieściła się na końcu korytarza i miała słabe oświetlenie. Hoffman od kilku tygodni kiepsko sypiał, na dodatek było mu zimno i miał pokaleczoną rękę. Oprawki okularów mu pękły i od rana bezustannie płakał. Patrząc na zbliżającą się Esther, owiniętą w lekki szary wełniany koc, i zobaczył w niej postać własnej matki, która w ostre budapeszteńskie zimy nosiła ciepłe peleryny i poruszała się z tą szczególnego rodzaju godnością.

Esther podeszła do celi i przez kraty wyciągnęła rękę do ojca, który wstał i przykuśtykał bliżej. W na wpół szalonym momencie prawie już sobie wyobraził, że ta odziana ciepło zjawa jest rzeczywiście jego matką, a kiedy wyciągnął rękę, ona uśmiechnęła się do niego.

Tym uśmiechem Esther skierowała jego spojrzenie ze



swojej ręki na twarz i w tym momencie, cofając ramię, sięgnęła między fałdy koca i z wdziękiem wyciągnęła stamtąd królika. Wsunęła Bonnie, teraz znacznie szcuplejszą, pomiędzy metalowymi prętami do celi i trzymała ją dokładnie w tym miejscu, w którym chwilę przedtem znajdowała się jej pusta dłoń. Tak krótką chwilę przedtem, że kiedy Hoffman oderwał wzrok od jej uśmiechu, zobaczył królika w miejscu, w którym przedtem królika nie było. Jak w prawdziwych czarach coś pojawiło się dosłownie znikąd.

- Przypatrz się - powiedziała Esther.

Richard Hoffman przypatrzył się jedwabistemu królikowi i rozpoznał w nim Bonnie. Wziął ją w swoje kanciaste dłonie. A potem, kiedy już ją trzymał, wtedy tak naprawdę przypatrzył się swojej córce Esther.

I zobaczył wyjątkowo utalentowaną młodą kobietę.

## Najlepsza żona

**K**iedy Rose miała szesnaście lat i była w piątym miesiącu ciąży, wygrała konkurs piękności południowego Teksasu, a przesądził o tym jej pełen wdzięku spacer po wybiegu, w ślicznym granatowym kostiumie kąpielowym. Było to tuż przed wojną. Ledwie jedno lato wcześniej była chudą dziewczynką z podrapanymi kolanami, a tutaj nagle ciąża obdarzyła ją takim wspaniałym ciałem. Zupełnie jakby nowe życie formowało się w jej udach i pośladkach, i piersiach, a nie w brzuchu. Można by pomyśleć, że to miękkie brzemię macierzyństwa rozłożyło się równo i proporcjonalnie po całym jej ciele. Te części, których nie udało się upchnąć w granatowy kostium kąpielowy, wypływały na zewnątrz dokładnie w takiej ilości, żeby rozchwiać równowagę emocjonalną wielu sędziów i widzów. Została bezsporną królową piękności.

Również ojciec Rose dostrzegł te wyjątkowe kształty, jakich nabrała jego córka, i zaczął się martwić, o pięć miesięcy za późno, jak upilnować te wdzięki. Wkrótce po konkursie jej stan stał się oczywisty. Ojciec wysłał ją do pewnego ośrodka w Oklahomie, gdzie pozostała do czasu porodu, który trwał cztery dni i zakończył się wydaniem na świat martwego synka. Nie mogła już mieć dzieci,

jednak piękną figurę zachowała i ostatecznie wyszła za mąż, znowu za sprawą pełnego wdzięku spacerowania w ślicznym kostiumie kąpielowym.

Męża poznała dopiero po zakończeniu wojny. Tymczasem mieszkała jeszcze w Oklahomie. Nabrała upodobania do pewnego typu wysokich, uśmiechniętych miejscowych mężczyzn w ciemnych kapeluszach. Nabrała również upodobania do pewnych mężczyzn wierzących i praktykujących, i mężczyzn leworęcznych, i wojskowych, rybaków, listonoszy, przedstawicieli legislatury, strażaków, rozbójników, monterów wind i meksykańskich pikolaków z restauracji, w której pracowała (nazywających ją z szacunkiem La Rubia - Blondyna - jakby była osławionym bandytą lub szulerem).

Wyszła za mężczyznę, którego kochała najbardziej. Był miły dla kelnerek i dobry dla psów i zupełnie nie interesowały go jej słynne upodobania. Był mężczyzną okazałym, z zadkiem jak u wielkiego zwierzęcia... umięśnionym i owłosionym. Wykręcał numery telefonów ogryzkiem ołówka, bo palce nie mieściły mu się w dziurkach tarczy. W jego wielkich ustach papierosy wyglądały jak drzazgi z wykałaczek. Nie zasnął, jeśli nie czuł ciepłej pupy Rose przytulonej mocno do brzucha. Przygarniał ją do siebie, jakby była szczenięciem. Kiedy kupili sobie telewizor, przez całe lata oglądali wspólnie z kanapy wieczorne teleturnieje i on szczerze bił brawo uczestnikom, którzy wygrywali samochody i łodzie. Cieszył się razem z nimi. Klaskał, wyciągnąwszy sztywno przed siebie ramiona, tak jak to robią tresowane foki.

Ostatecznie przeprowadzili się do Minnesoty. Mąż Rose kupił pachnące piżmem stado owiec i niewielki, ciasny domek. Przeżyli razem czterdzieści trzy lata, aż zmarł na atak serca. Był sporo od niej starszy i żył długo.

Rose uważała, że o jego życiu można śmiało powiedzieć: „Tak! Było dobre!” Jej żałoba świadczyła o uznaniu dla niego i przywiązaniu.

Kiedy odszedł, owce okazały się dla niej zbyt wielkim obciążeniem i wszystkie sprzedała, po kilka sztuk naraz. A kiedy już wszystkie zniknęły - rozrzucone po wielu stanach jako ulubieńcy domowi nowych właścicieli lub wykorzystane na wełnę, karmę dla psów albo kotlety z sosem miętowym - Rose została kierowcą autobusu miejscowego przedszkola. Była wtedy cholernie blisko siedemdziesiątki.

Rose nie miała już pamięci do imion i nazwisk, ale wzrok jej pozostał dobry i była kierowcą ostrożnym, jak zresztą zawsze wcześniej. Dostała świetną trasę. Najpierw odbierała autobus z zajezdni za żwirowiskiem, po drugiej stronie podwójnych torów kolejowych. Jako pierwszego zabierała chłopca z sąsiedztwa, który mieszkał przy stacji benzynowej w pobliżu jej domu. Potem jechała po płacziwego chłopca. Po nim zabierała dziewczynkę, którą matka zawsze ubierała w sztruksowe kamizelki, następnie chłopca przypominającego wyglądem Orsona Wellesa, dalej dziewczynkę zde gustowaną, potem nucącego sobie chłopca, później dziewczynkę oblepioną plastrami. Mostem obok domu dziewczynki z plastrami przejeżdżała rzekę, by znaleźć się na drodze biegnącej przez wzgórze. Tam wsiadali kolejno czarnoskóra dziewczynka, chłopiec z miną wyrażającą wdzięczność, rozpychający się chłopiec, druga czarnoskóra dziewczynka i dziewczynka zadyszana. Ostatni przystanek był dla nieobecnego chłopca.

Trzynaścioro pasażerów. Dwanaścioro, jeśli nie liczyć chłopca nieobecnego, ale Rose starała się tego nie robić.

Tamtego konkretnego ranka, o którym jest ta opowieść, nie było jednak chłopca z sąsiedztwa, płacznego chłopca ani dziewczynki w sztruksowej kamizelce. Rose pomyślała sobie: Grypa? Jechała dalej i nie zobaczyła ani chłopca przypominającego Orsona Wellesa, ani zdegowanej dziewczynki, ani nucącego chłopca, i wtedy zaczęła się zastanawiać: Ospa wietrzna? Kiedy przy moście też nie było dziewczynki, a także żadnego innego dziecka przy drodze przez wzgórze, pomyślała z zażenowaniem: Czyżby dziś była niedziela? I wtedy uświadomiła sobie, że nie widziała innych kierowców w zajezdni za żwirownią ani innych szkolnych autobusów przejeżdżających przez podwójne tory kolejowe. Prawdę mówiąc, nie spotkała na drodze ani jednego samochodu. Nie były to co prawda jakieś drogi główne, ale na pewno drogi w miarę uczęszczane. Zawsze ktoś po nich jeździł. I Rose pomyślała sobie, dość lekko: Czyżby Armagedon?

Przejechała jednak swoją trasę do samiutkiego końca. I dobrze zrobiła, bo zobaczyła, że przed podjazdem domu nieobecnego chłopca tym razem ktoś stoi. Okazało się, że czekało na nią dwoje ludzi. Zatrzymała autobus, włączyła zgodnie z przepisami stosownie światła migające, otworzyła drzwi i wpuściła czekających do środka. Byli to dwaj starcy, niski i wysoki. Z trudem wdrapali się po stopniach do autobusu.

- Dzisiaj kursik dla was, panowie? - spytała.

Usiedli na miejscach tuż za nią.

- Pachnie tu czystością i świeżością, dzięki Bogu - odezwał się jeden z nich.

- Używam płynu uniwersalnego do łazienek - pochwaliła się Rose. - Co tydzień.

- Moja słodka Rosie - powiedział ten wyższy - wyglądasz fantastycznie.

Bo rzeczywiście tak wyglądała. Do pracy wkładała codziennie kapelusz i białe rękawiczki, jakby wiozła te dzieci do kościoła albo na jakiś ważny piknik.

- Mogłabyś być pierwszą damą - ciągnął wysoki. - Mogłaś wyjść za prezydenta.

Zerknęła na niego w swoim szerokim, dobrze odbijającym lusterku wstecznym i dała delikatnie wyraz zaskoczeniu, rozpoznając mężczyznę. Spojrzała na niższego i znowu wyraziła swoje zaskoczenie. Bo oto miała za sobą Tate'a Palinkusa i Dane'a Ladda. Tate był tym facetem, który przed wojną, w południowym Teksasie, zrobił jej dziecko. Dane był natomiast sanitariuszem, którego często całowała i do którego się czuliła, kiedy dochodziła do siebie po porodzie w ośrodku dla samotnych matek. To też było przed wojną.

- A niech mnie licho! - powiedziała. - Nie sądziłam, że któregoś z was jeszcze kiedyś zobaczę. I to na dodatek w Minnesocie. Jak miło.

- Czy ten Tate Palinkus - odezwał się Dane - to nie jest straszny palant i bezbożny drań? Właśnie mi opowiadał, co ci zrobił.

- Rose - westchnął Tate. - Nie wiedziałem wtedy, że jesteś w ciąży. Dowiedziałem się o tym dopiero po latach, kiedy się tam o ciebie rozpytywałem. Taka jest prawda, Rose.

- Tate - powiedziała - ty łobuzie!

- Żeby tak się zabawiać z piętnastolatką - powiedział Dane. — To chyba najgorsze, co słyszałem.

- Danie Ladd - powiedziała Rose - ty gagatku!

- Była piekielnie ładną dziewczyną - powiedział Tate.

- Nie musisz mi tego przypominać — odrzekł mu na to Dane.

Rose zmieniła bieg i zawróciła autobus.

- Wy dwaj tak mnie zaskoczyliście, że mało głowy nie straciłam.

- Nie trać tej swojej ślicznej główki - powiedział Dane. - Nie trać swojego ślicznego ciała.

Jechali dalej. Jak się okazało, na początku podjazdu domu zadyszanej dziewczynki stał ktoś oparty o skrzynkę na listy. Jeszcze jeden starzec. Rose zatrzymała się i wpuściła go do środka.

- Złotko - powitał ją, dotykając róna kapelusza. Był to Jack Lance-Hainey, dziekan Kościoła prezbiteriańskiego. Kiedyś prowadził kampanię kandydata na senatora z Oklahomy. W latach czterdziestych zabierał Rose na pikniki, z koszami pełnymi prawdziwej porcelany i prawdziwych sreber jego małżonki. To on nauczył Rose, jak podczas uprawiania seksu zajmować pozycję u góry i jak podnosić słuchawkę telefonu w hotelowych pokojach i mówić: „Tu żona pana Lance-Haineya. Proszę przysłać butelkę toniku na mój okropny, przeokropny ból głowy”.

Jack usiadł po drugiej stronie przejścia, kapelusz położył obok siebie.

- Panie Ladd - skinął głową. - Co za piękny ranek.

- Owszem - zgodził się Dane. - Żyjemy we wspólnym kraju.

- To rzeczywiście wspólny kraj - przyznał Jack Lance-Hainey i dodał: - I ciebie witam, Tate, ty płodny i lubieżny stary obwiesiu.

- Nie wiedziałem wtedy, że jest w ciąży, Jack - wyjaśniał Tate. - Dowiedziałem się wiele lat później. Z radością bym się z nią ożenił.

- No, no, no... - mruknęła Rose pod nosem. - To coś całkiem nowego, panie Palinkus.

Pokonywała więc swoją trasę wstecz i odkrywała, że na drogę wysypali się jej dawni kochankowie. Zabierała wszystkich po kolei. Przy domu czarnoskórej dziewczynki zabrała swojego kuzyna z Missisipi, Carla, z którym się raz spotkała, na łóżku ciotki, podczas rodzinnego zjazdu z okazji Święta Dziękczynienia. Przy skrzynce na listy rozpychającego się chłopca czekał mały tłumek starych mężczyzn. Byli to jej wszyscy listonosze, bez mundurów. Wszyscy oni kiedyś jeździli przestronnymi furgonetkami, w których wozili zapasowe brezentowe worki, na których mogła się położyć. Nie pamiętała ich nazwisk, jednak mężczyźni z autobusu chyba dobrze ich znali, bo wszyscy witali się i pozdrawiali z profesjonalną uprzejmością.

Przy domu chłopca z wdzięczną miną zabrała dwóch starszawych weteranów, których pamiętała jako rekrutów z różowymi, ogolonymi na zero głowami i wielkimi uszami, które aż kusiły, by pociągając za nie, sterować chłopcami. Weterani usiedli za Dane'em i Tate'em i zaczęli rozmawiać o gospodarce. Jednemu brakowało ręki, drugiemu nogi. Ten bez ręki przyłożył nagle Tate'owi tą ręką, która mu pozostała.

- Z ciebie to taki wredny stary fiut, co to robi dziewczynom dziecko i bierze nogi za pas, nie? - spytał.

- On twierdzi, że nie wiedział o tej ciąży - oświadczył Jack Lance-Hainey, a wszyscy listonosze gruchnęli niedowierzająco śmiechem.

- Wtedy nie wiedziałem, że jest w ciąży - wyjaśniał znów cierpliwie Tate. - Dowiedziałem się dopiero wiele lat później.



- Mój Boże - odezwała się Rose. - Ja sama ledwo to zauważyłam.

- To dziecko przysłużyło się twojej figurze - zauważył Tate, a przez autobus przetoczył się szmer aprobaty.

Przy domu czarnoskórej dziewczynki zabrała mężczyznę tak otyłego, że go nie rozpoznała, i musiał jej się ponownie przedstawić. Był pierwszym mężem jej siostry, powiedział.

- Coach! Ty rozrabiako! - przywitała go Rose.

Był kiedyś mechanikiem od wind i wieczorami spotykał się z Rose w warsztacie, gdzie uczył ją, jakie sztuczki stosować przy tasowaniu kart i jak się całować z otwartymi oczyma.

- Te stopnie są zabójcze - oświadczył z twarzą zaczerwienioną od wysiłku.

- Co ty powiesz, Coach? - rzucił jedenonogi weteran.

Przed domem dziewczynki z plastrami zebrała się grupka pochodzących z trzech stanów barmanów, w których się kiedyś durzyła, a przed domem nucącego chłopca zobaczyła policjanta z drogówki, z którym spędziła noc w Oklahoma City, kiedy oboje byli młodzi. Był teraz w towarzystwie poławiacza krewetek i gościa, który jeździł samochodami straży pożarnej. Obaj przepuścili go do autobusu pierwszego, bo uważali, że ma ranę.

- Witam szanowną panią - zwrócił się do niej policjant z drogówki i uśmiechnął się szeroko. Potem nazwał Tate'a Palinkusa zbukiem, wszarzem, padalcem, oprychem i worem nawozu, za to, że zaszła przez niego w ciążę, kiedy była jeszcze dziewczynką, która nie potrafiła odróżnić bezwartościowego sukinkota od patery na owoce.

Przy podjeździe do domu zde gustowanej dziewczynki

czekał na nią sędzia sądu okręgowego z Arizony. Usiadł z przodu autobusu, obok Jacka Lance-Haineya. Zapewnił Rose, że nadal wygląda wspaniale i w każdej chwili przyjąłby ją pod swoją sędziowską togę.

- Wysoki sędzie - odparła - jesteśmy już oboje starzy.
- Jesteś rozkoszna, Rose - odpowiedział.

Hanka Spellmana zastała, jak czubkiem buta kopął w kamienie obok drogi przed domem chłopca przypominającego Orsona Wellesa. Wsiadł do autobusu, a obecni powitali go wesołymi okrzykami, bo byli szczerze uradowani jego widokiem. Kiedyś Hank sprzedawał i instalował piece i zawsze był człowiekiem lubianym. Zwykł tańczyć z Rose u niej w piwnicy i wybijał rytm na jej biodrze. Przesuwał rękoma po całym jej ciele. Chwytał w garście pośladki Rose i szeptał: „Jeśli mnie nie będzie w pobliżu, a ty koniecznie zechcesz mnie znaleźć, możesz zacząć od szukania mnie tutaj, na swoim tyłku”.

Tam, gdzie zawsze czekała dziewczynka w sztruksowej kamizelce, stał wysoki starzec w ciemnym kapeluszu. Kiedyś był dentystą Rose. Miał wtedy kryty basen i pokojówkę, która przez całą noc, bez najmniejszego komentarza, przynosiła mu ręczniki i koktajle. Musiał wesprzeć się przy wsiadaniu na lasce, a szkła okularów miał grube jak kromki chleba. Powiedział Rose, że jest piękna i ciągle ma cudowną figurę.

- Bardzo dziękuję - odrzekła Rose. - Mam szczęście, jeśli chodzi o wygląd. Kobiety w mojej rodzinie na ogół starzeją się na dwa sposoby. Większość z nich wygląda, jakby wypaliła za dużo papierosów albo jakby zjadła za dużo pączków.

- A ty wyglądasz, jakbyś całowała zbyt wielu chłopców - zauważył mechanik od wind.

- Mogłabyś zostać pierwszą damą - powtórzył Dane.
- Najpierw byłaś moją damą - dodał Tate w zamyśleniu.

Przy płocie ze sztachet, którym ogrodzony był dom płacznego chłopca, zebrało się czterech byłych meksykańskich pikolaków. Byli teraz starzy i wyglądali identycznie, każdy ubrany w odprasowany biały garnitur, każdy z piękną białą czupryną i białym wąsem.

- La Rubia - witali ją kolejno. Ich angielszczyzna ani trochę nie poprawiła się od czasów młodości, ale weteran bez ręki walczył podczas wojny domowej w Hiszpanii i bardzo dobrze radził sobie z tłumaczeniem.

Jeszcze nigdy w jej autobusie nie było tak tłoczno. To nie był duży autobus. Przeznaczono go dla przedszkolaków i szczerze mówiąc, tylko dla przedszkolaków z grupy porannej. Firma przewozowa wysłała Rose na świetną trasę, starając się jednocześnie, żeby nie była zbyt forsowna. Na ogół kończyła pracę koło południa. Zbliżała się do siedemdziesiątki i choć nie była kobietą słabą ani otepiałą, to jednak się męczyła. Dlatego dali jej tylko tych trzynastu dzieci mieszkających w pobliżu jej własnego domu. Wykonywała świetną robotę, naprawdę doskonałą robotę. Wszyscy to przyznawali. Była ostrożnym i uprzejmym kierowcą. Jednym z najlepszych.

Tamtego dnia przejechała całą swoją trasę do tyłu, ze wszystkimi swoimi dawnymi kochankami upchniętymi w autobusie dla przedszkolaków. Przejechała całą tę drogę, nie zobaczywszy ani jednego dziecka i nie minąwszy się z ani jednym samochodem. Z pewnym zażenowaniem doszła do wniosku, że chyba to jednak niedziela. Nigdy wcześniej nie popełniła takiego błędu i nie zamierzała wspominać o nim swoim dawnym kochankom, bo gotowi

byli pomyśleć, że zaczyna jej się wszystko gmatwać w głowie. Przejechała więc całą tę trasę wstecz aż do pierwszego przystanku przed domem przy stacji benzynowej tuż obok jej domu. Tam też czekał jakiś potężny starzec. Okazało się, że to jej mąż. Ci starzy mężczyźni w autobusie, którzy tak świetnie się nawzajem znali, nigdy jeszcze nie spotkali jej męża. Kiedy wsiadł do autobusu, przyglądali mu się spokojnie i z szacunkiem, a Rose zamknęła za nim drzwi i powiedziała:

- Panowie, przedstawiam wam mojego męża.

A wyraz twarzy jej męża był taki, jaki miewają ludzie, którym zgotowano przyjęcie-niespodziankę. Nachylił się, żeby pocałować ją w czoło, i był tego dnia pierwszym mężczyzną, który jej dotknął.

- Moja słodka przylepka, moja Rose - przywitał ją.

Ona pocałowała go w policzek, który pachniał piżmem, owcami, pachniał znajomo.

Pojechała dalej. On poszedł środkiem autobusu, który kołysał się jak łódź, i przyjmowano go jak gościa honorowego. Dawni kochankowie przedstawiali się po kolei i za każdym razem mąż Rose powtarzał:

- A tak, oczywiście, jakże miło mi pana poznać - z podziwem i z radością, trzymając lewą rękę na sercu.

Widziała w swoim szerokim, dobrze odbijającym lusterku wstecznym, jak poklepują go po plecach i się uśmiechają. Weterani salutowali, policjant z drogówki też mu zasalutował, a Jack Lance-Hainey pocałował go w rękę. Tate Palinkus przeprosił za to, że stał się sprawcą ciąży Rose, kiedy była jeszcze dzieciakiem z południowego Teksasu, a siwowłosi meksykańscy pikolacy bardzo się stawali pozdrowić go po angielsku. Sędzia z sądu okręgowego oświadczył, że jest zachwycony, mogąc w imieniu wszyst-

kich pogratulować Rose i jej mężowi długiego i uczciwego małżeńskiego pożycia.

Rose jechała dalej. Wkrótce znalazła się na przejeździe kolejowym tuż przed zajezdnią autobusową przy zwirowni. Jej autobusik mieścił się idealnie pomiędzy dwoma torami i zatrzymała się na tym wąskim kawałku, ponieważ zauważyła, że z obu stron nadjeżdżają pociągi. Jej mąż i jej dawni kochankowie opuścili szyby w oknach i wychyliwszy się jak przedszkolaki, patrzyli. Pociągi były pomalowane na jaskrawe kolory jak dziecięce zabawki, a wagony miały na bokach wypisane drukowanymi literami nazwy przewożonych ładunków: ANANASY, BUTY, CUKIERKI, DIAMENTY, EKRANY, FOTELE, GAŁGANKI, HAF-TKI... niekończący się ciąg składników życia.

Patrzyli długo. Jednak te wagony poruszały się powoli i ciągle się powtarzały, w innym, nieznanym porządku alfabetycznym. Starsi panowie w końcu się znudzili, podciągnęli szyby autobusu Rose, żeby zaznać odrobiny ciszy. Odpoczywali i czekali, bo przecież utknęli pomiędzy dwoma wlokącymi się pociągami. A Rose, która tego ranka wstała wcześniej, wyjęła kluczyk ze stacyjki, zdjęła kapelusz i rękawiczki i się zdrzemnęła. Jej dawni kochankowie zafascynowani rozmawiali z sobą o jej mężu. Mówili szeptem, ale do niej i tak docierały niektóre słowa albo ich urywki. „Ma” usłyszała i „łże” wpadło jej w ucho, i „ożenek”. A te strzępki wyrazów wyszeptane razem łączyły się w dźwięk przypominający całe słowo „małżonek”. W każdym razie to właśnie słyszała, zapadając w drzemkę, w obecności tych wszystkich zebranych razem i siedzących za nią mężczyzn, tak szczerze uradowanych jej widokiem.